

Marek Koszur

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik
niesformatowany
ponad 4000 ściągnięć pliku w dniu premiery

08/2025 Sierpień 2025

Szczecin i Świat (& Mars)

ISBN: 978-83-974443-6-2

cena: 25,00



Zamek bez wyjścia

czyli mury bez
Ducha

Herb jak garb

czyli Gryf Pomorski
na wycieraczce do
butów

Ludzie i jachty

80 lat pod żaglami
AZS (2)

Bez/morze szczecińskie

czyli - mamy gest!

Achtung, Achtung...

czyli 100 lat radia w
Stettinie



Spójrz... Tak było.
A jak jest dziś?

Zachwyciłbyś się tym miastem, wędrowcze? Nabralbyś pokory wobec jego potęgi? Ta rycina potwierdza, że tak właśnie wyglądało jedno z najpotężniejszych miast wielkiego regionu. Jak czara wypełniona treścią, której brzegi zwierczone są falami dwóch mórz. Regionu, który rozkwitał dzięki potędze hanzeatyckiej determinacji.

To panorama Szczecina. Na szczycie niemal klifowego wzniesienia, tam, w koronie całego Pomorza powinien znajdować się... Zamek. I jest. Ledwie go widać, nie dlatego, że tak zamierzał ukazać go artysta, tylko dlatego, że Zamek nigdy nie pełnił roli centrum Księstwa Pomorskiego. Instytucjonalnie - tak, ale kulturowo? Także dziś, gdyby nie białe ściany budowli, Zamek przepadłby w cywilizacyjnej szarości Szczecina, tak jak zniknęła z pola widzenia pięknie odrestaurowana Baszta Panieńska, znana też jako Baszta Siedmiu Płaszczy. Obiekt prywatny. Niewybaczalne posunięcie, a z drugiej strony - los baszty porównać mogę do cudem uratowanego rozbitka na morzu.

Śmiem twierdzić, że obiekt został oddany przez władze miasta z powodu dziedzicznej przypadłości szczecińskiego zarządzania - **historycznej impotencji**. Składa się na nią zwyczajne intelektualne lenistwo, brak odpowiedzialności za dobra historyczne, a nade wszystko niemoc, która zamiast trudu dla pięknego efektu wybiera nonszalanę i bylejałość. Ta niemoc jest skutkiem zwykłego nieuctwa, braku świadomości historycznej, poszanowania tradycji, potrzeby kultywowania rodowodu.

Gorzej - wbrew „badaniom” tzw. naukowców, którzy twierdzą, że trzecie pokolenie Szczecinian wykazuje cechy przywiązania do regionu - nigdy nie wyszliśmy z sieroctwa, a proces naszego przysposobienia do pomorskiej rodziny się nie powiódł. Z tego też

powodu Zamek - jak cały Szczecin - do dziś **„nie żyje” w nas samych. Nie jest nasz.**

Pierwsze powojenne pokolenie potraktowało to miejsce jak łup. Drugie - nie zajmowało się takimi „bzdurami” jak patriotyzm czy potrzeba identyfikacji z miejscem. W takim klimacie wychowane pokolenie trzecie - nie odczuwa potrzeby „przynależności” i wynikającego z niej, twardego jak kamień, obowiązku odpowiedzialności za przeszłość.

Gryfici. Pomorze. Polskość...?

Wybrzmiały te słowa tak szybko, jak dźwięk fałszywych monet rzuconych na kamień. Dziś - gdy określenia te pojawiają się w sferze medialnej - nie lśnią, nie błyszczą szczerością i dowodem przywiązania mieszkańców miasta i regionu do jego historii.

Nie, nie jesteśmy nawet sierotami pokoleniowymi. Bo nigdy nie byliśmy, nie czuliśmy się synami - choćby kamiennej tylko Matki. A jej dom, Zamek, nie promieniuje, nie integruje nas jako Rodzinę. On jest. Stoi. Kosztuje. Rodzi uduchowione słowa i zdania, ale bez treści. Jest miejscem, z którego nie czerpaliśmy jednoczącej nas mocy. **On nie jest nasz. On tylko do nas należy.** Jak grobowiec „rodzinny”, przejęty dlatego, że już tu był; nie do końca zrujnowany, przez lata służył pokrętej propagandzie, łamiącej prawdę, lecz pięknie brzmiącej - piastowskiej.

Jest w nas jakaś niewytłumaczalna siła: potrafimy podnosić ruiny do ich majestatycznego, sprzed zatracenia, kształtu - ale ducha w te miejsca tchnąć już nie umiemy.

Po osiemdziesięciu latach zarządu nad Zamkiem - jest on niezmiennie piękny. Nie widać blizn. Lecz w nocy nie slychać, by regulował rytm naszego spokojnego snu.

Reprodukcja: Stettin, Lütke, Eduard Ludwig (1801-1850); źródło: <https://zbc.szkolnictwo.pl/>

Dokąd? Donikąd...!



Miasto bez mitu. Gryf, który "żyje" już tylko na szalikach

Gryf w Szczecinie jest wszędzie – i nie ma go nigdzie. W herbie województwa, na szalikach kibiców piłkarskich oraz – szczerze mówiąc – w logotypach instytucji (ale ilu?) pojawia się jako znak graficzny.

Jednak jako opowieść o rodowodzie i żywej tradycji – praktycznie nie istnieje. Gryfici, jeśli dziś są wśród nas obecni, to nie dlatego, że świadomie i atawistycznie ich przywołujemy,

lecz dlatego, że innej proveniencji po prostu nie mamy.

Gryfici – słowiańska dynastia książęca, która panowała na Pomorzu Zachodnim ponad 500–600 lat, mniej więcej od XI do 1637 r. (śmierć ostatniego męskiego potomka, Bogusława XIV).

Ich państwo to Księstwo Pomorskie – obejmowało tereny dzisiejszego woj. Zachodniopomorskiego, część Meklemburgii, Rugii, aż po okolice Gdańska/Słupska (ziemia słupsko-sławieńska).

Nazwa dynastii pochodzi od gryfa w herbie. Od XII wieku czerwony gryf jest ich godłem rodowym, a od Bogusława X (XVI w.) symbolem całego zjednoczonego księstwa.

Szczecin był jedną z głównych siedzib dynastii. Zamek Książąt Pomorskich to ich rezydencja renesansowa – do dziś (teoretycznie) kluczowe miejsce pamięci o Gryfitach. Ich groby znajdują się m.in. w katedrze św. Jakuba i w krypcie zamkowej.

Tradycja „z obowiązku instytucjonalnego”

Zamek Książąt Pomorskich oraz Muzeum Narodowe w Szczecinie funkcjonują dziś w roli dość niewdzięcznej. To na nich – a nie na władzach miasta, nie na systemie edukacji, nie na strategiach promocyjnych regionu – spoczywa ciężar „utrwalania pamięci” o dynastii Gryfitów. Ciężar, który w normalnie funkcjonującej wspólnocie powinien być rozłożony szeroko i naturalnie. Tu jest obowiązkiem zastępczym. **Bo dziejami Gryfitów nikt się dziś naprawdę nie przejmie.**

Zamek, historyczna siedziba rodu, opowiada dziś o sobie w wystawie stałej „Historia Zamku” i wydarzeniach poświęconych Gryfitom.

Muzeum Narodowe ma „Złoty wiek Pomorza. Sztukę na dworze książąt pomorskich”, jedną z najważniejszych kolekcji związanych z mecenatem Gryfitów – tu: drzewa genealogiczne, insygnia i biżuteria oraz galeria portretów. Otwarta w 2011 roku.

Na papierze – wszystko, niby, wygląda imponująco. W praktyce – bywa odbierane jak realizowanie ustawowego obowiązku. Trzeba mieć wystawę o Gryfitach – mamy. Trzeba oprowadzać wycieczki – oprowadzamy. Trzeba zrobić album „Szlakiem Gryfitów” – zrobiony.

Szlak Gryfitów – międzynarodowy szlak dziedzictwa kulturowego (Pol-



ska, Niemcy, Dania, Szwecja). Łączy zamki, kościoły fundowane przez Gryfitów, nekropolie i muzea z nielicznymi już pamiątkami.

Nie znalazłem ani jednego „normalnego” biura podróży (w stylu Itaka / TUI / DER / FTI / Rainbow, ani dużego polskiego i niemieckiego touroperatora), które miałyby w katalogu produkt sprzedawany pod marką „Szlak Gryfitów / Route of the Griffins / Gryfittenroute”.

Co dziś funkcjonuje pod tą nazwą?

Zamieniłem się w potencjalnego turystę. Zaczęłem budować plan wycieczki. Chcę poznać miejsca, ich historię, sprawdzić czy funkcjonuje świadomość pomorska, coś równie nieuchwytnego - jak przywiązanie do miejsca. To właśnie podejście zasugerował mi jeden z Czytelników poprzedniego numeru TVSiódemki, zrazu zbulwersowany jego okładką, ale w efekcie bodaj trzech rozmów - pogodzony z faktem ujętym we wstępie tego felietonu: gryf jako opowieść i nasz rodowód - praktycznie nie istnieje. Jest tylko **ekspонатem muzealnym**.

Znalazłem:

• Instytucjonalny produkt regionu, a nie komercyjnych biur:

- Szlak Gryfitów to oficjalny szlak dziedzictwa kulturowego woj. Zachodniopomorskiego, opisany w materiałach ZROT / WZP i w przewodniku „Szlak Gryfitów. Bałtycki przewodnik turystyczny. Śladami dynastii książąt pomorskich w Polsce, Niemczech, Danii i Szwecji”.

- Szlak jest jednym z „Dream Tours” w projekcie Baltic Heritage Routes, promowanym przez samorząd województwa, nie przez prywatne biura podróży. Promowanym - nie znaczy: realizowanym.

• Lokalne spacery i akcje miejskie, ale organizowane przez instytucje publiczne, nie biura turystyczne:

- Województwo Zachodniopomorskie organizuje „Walks along the Route of the Griffins in Szczecin” – cykl 6 spacerów z darmowym przewodnikiem. Teoria z elementami praktyki (incydentalnej).

- Żegluga Szczecińska / VisitSzczecin ma w ramach Transgranicznych Spacerów Miejskich pojedynczy spacer pt. „Szlak Gryfitów”. Zaplanowano ostatnio 19 spacerów. Media milczą o ich przebiegu.

• Mali, niszowi gracze / oferta punktowa, a nie pełnoprawny produkt turystyczny:

- Pensjonat w Darłównie wymienia „Szlak Gryfitów” po prostu jako jedną z atrakcji regionu, a nie jako markową wycieczkę, którą sprzedaje (**control kopiuj-control wklej**).

- Kajakowe firmy i Centrum Żeglarskie posługują się nazwą „(Kajakowy) Szlak Gryfitów” jako roboczą nazwą trasy wokół Zalewu, ale to

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik niesformatowany
Do druku oddano 23 stycznia 2026 roku.

Redakcja: Marek Koszur, Małgorzata Wrzosek
Sekretarz redakcji: Julia Nadolna

Wydawca: MK NET - TV Siódemka,
Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin,
Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl

Komplet numerów 1-6 w cenie 100PLN do
zamówienia na stronie www.tvsiodemka.pl

Łoża Koneserów TVSiódemki - link do gestu
wspierającego nasze działania - www.tvsiodemka.pl/sklep

pojedyncze inicjatywy instruktora / ośrodka, nie szeroko rozpoznawalny produkt rynkowy.

• Branża widzi potencjał – ale głównie w raportach, nie w katalogach:

- W analizach Polskiej Organizacji Turystycznej POT i publikacjach naukowych Szlak Gryfitów figuruje jako - cytuję: **modelowy szlak dziedzictwa kulturowego o wysokim potencjale produktowym** (najwyższe wskazania w badaniach wśród {ilu?} szlaków tematycznych na Pomorzu Zachodnim).

Ale to wciąż „produkt w budowie” – coś, co świetnie wygląda w pdf-ach i na konferencjach, a dużo gorzej w realnej ofercie touroperatorów (wysoki potencjał produktowy - językowa groźba!)

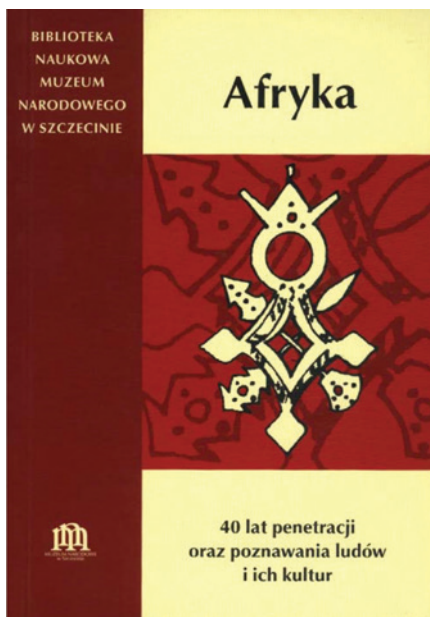
Czyli: nazwa „Szlak Gryfitów” funkcjonuje głównie w języku urzędowo-projektowym i w słowotwórczych (koszmarnie brzmiących) działaniach samorządu, okazjonalnie w ofertach lokalnych przewodników i ośrodków (spacery, spływy, eventy), ale **nie istnieje jako atrakcyjna wycieczka, sprzedawana przez biura podróży w Polsce, Niemczech czy szerzej - w Europie.**

Powtórzę - prasa lokalna i portale informowały o jesiennym, w 2024 roku spacerze z przewodnikiem. Ale nikt nie raportował i nie relacjonował, nie oceniał tej imprezy. Odbędzie się? W jakim gronie? Jeden raz, trzy razy?

Tak "sprzedawany" jest wzorcowy szlak modelowego organizatora - samorządu województwa. Kolejne mistrzostwo w rzeźbieniu słowem (pustym).

Afrykański Szczecin

Tymczasem przez dziesiątki lat "twarzą" Muzeum – zwłaszcza w pamięci najmłodszych – była Afryka, a nie gryf i Gryfici. „W afrykańskiej wiosce”, „Sztuka Afryki – między maską a fetyszem”, „Dzieci magii. Afrykańskie lalki i marionetki” – to właśnie te wystawy, budowane m.in. na kolekcjach gromadzonych i przywożonych przez marynarzy Polskiej Żeglugi Morskiej, stały się najbardziej rozpoznawalnym elementem szczecińskich ekspozycji. Nigdy nie dowiedziałem się: gdzie, kiedy i kto tak skutecznie "wytatuował" nam Afrykę w miejscu naturalnej, pomorskiej tradycji.



Niedawno zaczęto stare wystawy zamykać lub je „porządkować”, co lokalna prasa ujęła znamienne: „Pożegnanie z Afryką” – po pół wieku afrykańska wioska znikła z oferty, ekspozycje powędrowały do magazynów. Na zawsze?

Nic mi nie wiadomo, aby w Kapsztadzie, tamtejsza ludność pozostawała pod wpływem romansu Bogusława i Anny lub podobnych opowieści o np. pomorskiej czarownicy i spaleniu jej na stosie.

Paradoks polega

na tym, że w mieście bez własnej, przepracowanej mitologii regionu to właśnie egzotyka stała się łatwiejszym tematem niż historia własnego księstwa. Afryka pozwalała przez lata odsunąć od siebie niewygodne

pytanie: co właściwie łączy nas z Gryfitami?

Ba! Muzealnicy, archeolodzy, etnografowie i etnolodzy sami wyprawiali się drogą morską na Czarny Kontynent. Do dziś (i pewnie już nigdy) nie zostały wyjaśnione okoliczności związane z katamaranem "Wyspa Szczęśliwych Dzieci". Dyrektor muzeum, Władysław Filipowiak wiał się jak piskorz, gdy pytałem o sens, cel, o koszty eksploatacji jednostki, operującej u afrykańskich wybrzeży.

Zbiory afrykańskie Działu Kultur Pozaeuropejskich Muzeum Narodowego w Szczecinie - czytam na stronie muzeum - należą do jednych z większych w Polsce. Liczą około 8 tysięcy obiektów etnograficznych oraz 25 tysięcy zabytków archeologicznych.

Ale nie ma ani słowa o randze i znaczeniu kolekcji oraz badań szczecińskich naukowców na tle szerszym, europejskim, światowym. Czy ktoś tam wie o naszych zasobach? Są one ważne? Zjeżdżają tu specjaliści ze świata by w oparciu o szczeciński dorobek "odkrywać" kulturę Afryki? A kultury dokumentowane przez Szczecinian - czy "zazdroszczą" nam zbiorów i chętnie przejęłyby je od nas, bo sami takiego bogactwa nie posiadają?

Nie, to nie złośliwość ani sarkazm. **To pytanie o sens.** Dziś afrykańskie kolekcje leżą w magazynach. Ostatnia sesja i publikacja związana z czterdziestoletnią wówczas aktywnością w badaniach afrykańskich pochodzi z 2002 roku. Innych śladów nie znalazłem.

Po PRL-u została ziemia, ale bez opowieści

PRL, z całym swoim ideologicznym bagażem, poważnie traktował jedno: mit piastowski. Ziemię zachodnie i północne – w tym Pomorze – zostały wciśnięte do narracji o naszym „powrocie do macierzy”, od Mieszka po Bolesława Krzywoustego.

Po 1989 roku ta opowieść rozpadła się niemal z dnia na dzień. Został geopolityczny fakt granicy na Odrze – ale nie pojawiła się nowa, uczciwa mitologia regionu. Szczecin, stolica dawnego Księstwa Pomorskiego, pozostał mentalnie „miastem przybyszów”.

Jesteśmy już trzecim pokoleniem po 1945 roku, a wciąż zachowujemy się tak, jakbyśmy tu dopiero przyszli i to tylko „na chwilę”.

Nie budujemy ciągłości:

- nie osławiamy przedwojennej, „nie naszej” przeszłości,
- nie przepracowujemy tradycji Gryfitów jako własnej,
- nie tworzymy nowych, codziennych rytuałów, które tę tradycję utrwałyby w świadomości i odruchach miasta.

Gryf w herbie województwa, w materiałach promocyjnych Zamku i Muzeum, na klubowym proporczyku lokalnej drużyny piłkarskiej - to jest pusty znak graficzny. Jestem przekonany, że fan "gryfa na piłkarskiej koszulce" czy (jak wyżej) "cudnej" maskotki - przytulanki (chyba podchmieleonego kibica) ma dziś większą, żywszą relację z smokiem z „Gry o tron” niż z historycznym gryfem Bogusława X.



Brema "ważyła" swoje tradycje, Szczecin mnoży ledowe piksele

Przywołuję Bremę, jak historycznie Szczecin - hanzeatycką metropolię, która przez wieki - ważyła gości miasta. Instytucja Stadtwaage

– miejskiego domu wagi – była jednym z centralnych symboli miejskiej tożsamości: tam ważono towary sprowadzane przez kupców, tam materializowała się uczciwość i potęgą hanzeatyckiego grodu. Czy dziś Brema żyje z takich rytuałów i znaków. Nie. Rolanda i ratusz – wpisano na listę UNESCO jako symbol wolności miasta i jego samorządowej tradycji. W miejscu straceń czarownic, ludzie ciągle pamiętają o tym, by czartowi splunąć w twarz. Nie tylko my nie tyle uciekamy, co nie dążymy do podtrzymywania tradycji.

Albo Bremer Eiswette – coroczny „zakład lodowy”. Tradycja przenosi nas do roku 1228. Wtedy to kupcy przyjmowali zakłady, czy lód na rzece jest na tyle mocny, że bezpiecznie można się po nim przedostawać z towarami na drugi brzeg. 6 stycznia wybierano „najlżejszego” krawca w mieście i posyłano go, by sprawdził, czy Wezera płynie, czy też jest ciągle zamrożona. Wokół tej bzdurnie prostej czynności zbudowano tradycję, która co roku gromadziła mieszkańców i przypominała im, że są z Bremy, a nie znikąd. Ale i ta tradycja odeszła w przeszłość.



Powyżej: Zdjęcia z początku lat 90. XX wieku, zrobione przez Janka Kuczerę dla mojego, telewizyjnego Magazynu MORZE. Dziś w Bremie nikt już nie pamięta tego obyczaju, nie wiadomo, kim był wagowy. Kiedy zakończył sprawowanie swojego urzędu. Nikt też już dziś bremerńskiego krawca nie wysyła na drugi brzeg rzeki, by sprawdzić, czy jej środkowy nurt jest już żeglowny, że wiosna przyszła naprawdę. Aż trudno uwierzyć...

Takich lokalnych rytuałów jest/było w Europie mnóstwo: miejskie dzwony wyznaczające święta i zgromadzenia, odczytywanie rocznych mów burmistrza, oparte o wielowiekowy zwyczaj, drobne „obrzędy gościnności” wobec ważnych przybyszów.

Szczecin - po latach trwania w tożsamościowym marazmie, teraz obwiesza się LED-ami tak, jak afrykańska księżniczka - koralikami.

Zamiast zakorzenionych rytuałów mamy „eventy” i „atrakcje”. Ot, choćby wielkie koło młyńskie **Wheel of Szczecin** (jak mawiali Gryfici), oraz karuzele, które pojawiają się sezonowo w ramach tzw. **Holiday Park** na Łasztowni. Koło jest największą atrakcją i nowym symbolem miasta. Koło młyńskie, największe w Polsce (ok. 55-60 m), to główny punkt widokowy, a karuzele to element dodatkowy, sezonowy.



Kiedyś turyści wyjeżdżali ze Szczecina z obrazem masztów statków, dźwigów portowych, sylwetek jednostek cumujących przy Wałach Chrobrego – choćby muzealnych, jak na znalezionej w Internecie fotografii Liceum Morskiego - „Kapitan Maciejewicz” (*od 1973 roku jako hulk szkolny: na pokładzie urządzono sale lekcyjne i zaplecze, a uczniowie byli tam w dużej mierze „skoszarowani”*), wpisanych w realną, powojenną mitologię miasta-portu. Dziś tę przestrzeń w naszych oczach wypełniają kolorowe lampki karuzeli, *ferry wheel* błyskający jak logotyp galerii handlowej. I *curiosum* - świecące Morskie Centrum Nauki. O kolorowym koszmarze dźwigozaurów nie wspominam.

To, że miasto oddaje zmiernych LED-owym atrakcjom i ucieka od własnej, symbolicznej, historycznej przestrzeni – to jest polityka. Wyjątkowo tandetna. Bardzo konsekwentnie realizowana w Szczecinie: polityka nieposiadania polityki kulturalnej.

Władze, które nie mają pomysłu – i elity, które nie protestują

Władze miejskie i samorządowe od lat nie prezentują żadnej spójnej, długofalowej strategii opowiadania o tożsamości Pomorza Zachodniego.

Nie ma konsekwentnego programu edukacyjnego wokół Gryfitów – poza tym, co robi zamek i muzeum. Nie ma miejskiego rytuału, który np. raz w roku wyprowadzałby na ulice ducha epoki Gryfitów, w sposób niekiczowaty – bez przebieranek Bogusława w rajstopy i sobolowe futra. Nie ma architektonicznej polityki ochrony nocnego pejzażu miasta – zgody na to, co może być „dominantą”, a co staje się, po prostu, kolejnym jarmarkiem.

Skandaliczna jest raczej nie pojedyncza karuzela, tylko błoga zgoda, że może sobie ona stanąć gdziekolwiek i na takich samych prawach, jak tradycyjne dominanty: Wały Chrobrego, Zamek, Katedra.

Gdzie w tym głos: architekta miasta, środowiska plastyków i projektantów, muzealników, którzy – przynajmniej teoretycznie – powinni być strażnikami pamięci?

Jeżeli w debacie publicznej dominują wypowiedzi typu: „ludzie to lubią”, „dzieci się cieszą”, to znaczy, że elity kultury abdykowały z roli tych, którzy mają prawo i obowiązek mówić:

„Nie, to jest nie do przyjęcia w tym miejscu. Światło, które góruje nad panoramą miasta, ma mieć sens, a nie tylko mnożyć lajki na Instagramie”.

Miasto przybyszów, które wyrzeka się własnego rodowodu

Trzeba to powiedzieć brutalnie: wciąż, po tylu latach, boimy się faktu, że jesteśmy spadkobiercami „nie naszej” historii.

Łatwiej zaakceptować Wały Chrobrego jako pocztówkowy widoczek („ładne, niemieckie, przedwojenne”) niż wejść w opowieść o tym, że możemy być **następcami**:

- i hanzeatyckiej tradycji portu,
- i księstwa Gryfitów,
- i powojennego etosu ludzi morza, którzy - owszem - przywozili tu maski z Afryki, ale przede wszystkim swoje biografie z Lwowa, Wilna, centralnej Polski.

W efekcie:

- nie mamy ciągłości rodowej – bo mało kto ma tu korzenie dłuższe niż dwie, trzy generacje;
- nie chcemy mieć ciągłości miejsca – bo wtedy trzeba by powiedzieć: „tak, to jest nasze księstwo, nasz zamek, nasza trudna historia niemiecko-słowiańska, nasz gryf”.

Zamiast tego wybieramy wieczne zawieszenie: udajemy, że jesteśmy „nowocześni”, „europejscy”, „otwarceni”, ale bez lokalnego mitu, który by to - jako fundament - uniósł. Pozostają nam głównie świecidełka.

Co zamiast przebieranek w rajstopy Bogusława?

Nie chodzi o to, żeby raz w roku ubierać prezydenta czy marszałka w renesansowy kostium i kazać im machać nam z balkonu.

Jeżeli mówimy poważnie o kontynuowaniu tradycji Gryfitów, to mamy na myśli:

- trwałe znaki w przestrzeni – dyskretne, ale konsekwentne: tablice, mała architektura, wytyczone w mieście „ścieżki z gryfem w nazwie”, które nie są **jednorazowym i martwym** projektem, tylko elementem miejskiego systemu orientacji.
- rytuały miejskie – choćby jeden dzień w roku, kiedy:
 - zamek, katedra, Muzeum, teatr, szkoły i klub piłkarski grają do jednej, Pomorskiej bramki,
 - opowiada się o Gryfitach w teatrze ulicznym ale bez cepelii: słuchowiska, mapping na fasadach, koncerty muzyki dworu pomorskiego przeplatane współczesnym rapem, cokolwiek – byle zakorzenione w lokalnej historii
- język edukacji – od podręcznika regionalnego po scenariusze lekcji w szkołach: dziecko ze Szczecina powinno wiedzieć o Bogusławie X co najmniej tyle, ile wie o smoku wawelskim.
- konsekwencja urbanistyczna – przyjęcie zasady, że nocny pejzaż miasta nie jest tylko darmową powierzchnią reklamową, ale czymś, co ma opowiadać historię miejsca.

Tradycja Gryfitów to nie jest luksusowy dodatek do promocji regionu. To jest jedyny rodowód, jakim Pomorze dysponuje. Innego nie mamy.

Dopóki władze będą się bały podjąć tę opowieść, a instytucje

kultury będą traktować ją jako „obowiązek statutowy”, dopóty gryf pozostanie tylko sympatycznym stworem z herbu – mniej realnym w zbiorowej wyobraźni niż przystojniak z filmu „Jak wytresować smoka”.

Szczecin pozostaje miastem, które najkonsekwentniej w Polsce realizuje jedną strategię: **strategię braku strategii**.



Fontanna

Jest jeszcze jedna mała historia, która dobrze pokazuje, jak to wszystko działa – i jak mogłoby działać lepiej. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy przy deptaku Bogusława ustawiono fontannę (dziś już rozebraną), ale wiem, gdzie i kiedy narodził się sam pomysł „źródłka”.

Wszystkiemu „winien” jest profesor Kazimierz Kozłowski, wtedy dyrektor Archiwum Państwowego. Siedzieliśmy z Pawłem Frąckowiakiem ze Szczecińskiego Centrum Renowacji. Głowiliśmy się, jak ożywić tę część ulicy Bogusława, z której zniknął ruch kołowy, a jeszcze nie pojawiły się modne ogródki kawiarniane. Wokół trwały remonty kamienic, spekulowano, kto się tam wprowadzi?

I wtedy Kazimierz, jak zawsze trochę ściszoną głosem, prawie na jednym wydechu, powiedział: „Chłopaki, duktem leśnym, który (mniej więcej) wtedy właśnie przebiegał, Bogusław wracał z polowania. I (mniej więcej) w połowie dzisiejszej ulicy jego imienia, na skraju lasu, trafił na studnię. Piękna Anna nabierała z niej wodę. ‘Napoisz mojego konia?’ – zapytał książę. Białogłowa splonęła, koniom dała wody, a księciu serce. I dlatego – tu, w miejscu ich poznania – wy teraz, panowie, zbudujcie fontannę. Na pamiątkę początku tej romantycznej historii. No, na mnie już czas”. I pobiegł dalej, szerzyć swoją szczególnego rodzaju misję popularyzowania dziejów pomorskich. A my poczuliliśmy się, jakby ktoś właśnie włożył nam w ręce relikwię, a nie anegdotę.

Ja wtedy zajmowałem się budowaniem sieci kamer wideo, które miały wysłać obraz z deptaka w świat. Równolegle prowadziliśmy zresztą pierwsze na świecie (tak, tak – naprawdę pierwsze) transmisje wideo z Opery na Zamku. Strona szczecińskiej opery miała adres: opera.pl. Serwer stał w wieżowcu RiTV, oprogramowanie i nadzór przygotowała prywatna firma, chyba o nazwie „Panoramix” (wybacz mi, jeśli przekreślę). Do transmisji można się było dołączyć przez modem telefoniczny – ten, który tak pięknie skwierczał przy logowaniu. Ówczesna technologia pozwalała na przyłączenie maksymalnie sześćdziesięciu internautów naraz. Chętnych było co najmniej sto razy więcej.

Ta opowieść o fontannie (powyżej: moment burzenia, zdjęcie z profilu radnego Andrzeja Radziwinowicza) jest dla mnie esencją szcze-



Zed o Szczecinie

Fontanna, działająca czy nie, była ważnym meblem miejskim, a w tym miejscu nawet dość ikonicznym. Jej likwidacja jest błędem. Na zieleni jest mnóstwo miejsca, chociażby pod budynkami. Tu brzmi to raczej jako pretekst do zburzenia.

cińskiego paradoksu: z jednej strony profesor, który z niczego potrafi wydobyć lokalną legendę Bogusława oraz Anny i przekuć ją w konkretny, przestrzenny znak – fontannę. Z drugiej – pionierskie eksperymenty technologiczne, pierwsze streamingi, które mogły uczynić z miasta ważny punkt na ówczesnej, „internetowej” mapie kultury. Obie te energie – opowieść o Gryfitach i cyfrowa innowacja – spotkały się na kilku metrach deptaka. Problem polega na tym, że do dziś nikt nie zadał sobie trudu, by z tego związku zrobić świadomą oś tożsamości, a nie kolejne miejsce na sezonową budę z piwem i ledowe światelka.

Była sobie raz księżniczka...

Niezwykle istotne znaczenie, choć propagandowo o zasięgu wręcz mikroskopijnym, mają publikacje, przygotowywane przez Zamek, z pracami profesora Edwarda Rymara na czele. Właśnie ukazał się tom „Bogusław X Magnus książę pomorski (1454–1523)”.

Ten wybitny znawca dziejów Pomorza jest autorem biografii książąt pomorskich z dynastii Gryfitów, publikował szczegółowe opracowania historyczne o rodzie, który rządził Pomorzem przez wieki, ukazując ich politykę, życie i znaczenie dla regionu. Uzupełnieniem – podcasty „Niesamowici Gryfici”.

Jaki jest odbiór tych prac?

W moim radiowym archiwum przechowuję nagrania zrealizowane z Czesławem Piskorskim, w swoim czasie wybitnym znawcą i popularyzatorem historii Pomorza – jego opowieści o Gryfitach, baśnie i legendy pomorskie, w równie udany sposób uzupełniał Ryszard Kotla, nasz zachodniopomorski encyklopedysta.

Bogate są treści archiwum, ale martwa jest żywa tradycja.

Poczet, jak płyta nagrobna naszej pamięci...

Inną, bardzo atrakcyjną ale znów o mniej niż skromnym oddziaływaniu jest praca sędziego Macieja Strączyńskiego (fotografia na następnej stronie) „Poczet Książąt Pomorskich. Dynastia Gryfitów 1119-1637”

Ta bibliofilsko wydana opowieść, z serią „portretów z wyobraźni” Sylwii Godowskiej mogłaby w wersji „uczeniowskiej” stanowić lekturę uzupełniającą, fakultatywną w szkołach podstawowych i średnich. A i wśród przedszkolaków – oczywiście! Nie przypominam sobie, aby Teatr Lalek Pleciuga w swojej niewiarygodnie długiej, ponad 70 letniej historii miał kiedykolwiek w repertuarze opowieści o Gryfitach? Jeśli



się myślę - przepraszam i proszę o przypomnienie. Wiele było spektakli o książkach i królewiczach, nawet portugalskich, ale o Bogusławie X? O Annie Jagiellonce?



Gwałt historyczny

Tak właśnie, bez chwili zawahania, bez skrywanej obawy Michał Józef Kawecki, twórca i gospodarz Szczecińskiego Salonu Poezji podsumował w październiku 2024 roku wypowiedź swojego gościa, sędziego Macieja Strączyńskiego. Ten bowiem, ze swadą trybuna, rewolucjonisty, uniesionym głosem protestował przeciw nieuzasadnionej historycznie, mylącej nazwie **Pomorze Zachodnie**.

- Coś takiego nie istnieje. To twór administracyjny. Pomorze, Pomern, Pomeranie - tak, ale nie Pomorze Gdańskie czy Zachodnie! **Pomorze było i jest jedno.**

- Czyli - powtórzę - mówiąc: zachodniopomorskie, dokonujemy historycznego gwałtu.

-To jest taki sam gwałt jak Macedonia i Macedonia Północna. Wymuszony przez Greków. A Polacy rozszerzają nazwę Pomorze nawet na Kujawy. I robią województwo kujawsko-pomorskie. Dobrze, że nie ma województwa pomorskiego.

- Gryfici pamiętali, że są Pomorzanami i braćmi krwi, nigdy nie walczyli ze sobą i razem bronili swoje ziemie. Dla nich Pomorze było ojczyzną, dziedzictwem i całym życiem, zaś oni dla Pomorza władcami dającymi niepodległość.

- Ja sobie uświadomiłem teraz tę lukę w mojej strukturze tożsamości, tej self-identity, Tyś z Sylwią (Sylvia Godowska, autorka portretów "z wyobraźni" książąt pomorskich - podkr. red.) mi ją rozszerzył! - mówił M.J. Kawecki.

- Profesor Zygmunt Boras, polski historyk, w książce o Gryfitach pisze, komentując moment śmierci Bogusława XIV Towarzyskiego, z takim głębokim uczuciem, że oto zgasła ta nasza nadzieja ostatnia na naturalnego spadkobiercę korony i szlachetne drzewo Gryfitów, pod którego gałęziami cały czas Pomorze kwitło, a teraz jest wyrwane z korzeniami. To są słowa głębokiej rozpacz człowieka, który utracił ojczyznę. *Młodzi nie tańczą już na zabawach, a starzy nie siedzą spokojnie na przyzbach.* Profesor pyta: *dlaczego tak zgrzeszyliśmy? Pomorze jest jak dama, która kiedyś damą była, a dziś służyć musi.* Otóż książęta pomorscy są po prostu także moi. Dla mnie władcy Polski zaczynają się od Władysława IV jako moi, bo wtedy już nie było Pomorza. Już nie było naszego niepodległego księstwa. Do tego

momentu dla mnie moim władcą nie jest Władysław Jagiełło, tylko Świętopełk I. On jest dla mnie mój. Gdy piszę o naszych książętach, o naszych władcach, mam na myśli Pomorze, a nie Polskę. Tak jestem zakodowany, ja tak mam. Mnie to raduje!

Zebrani (16 osób?) oklaskami spointowali słowa Macieja Strączyńskiego.



MACIEJ STRĄCZYŃSKI

Poczet Książąt Pomorskich



PORTRETY
SYLWIA GODOWSKA

Na stronę stowarzyszenia Pommerscher Greif e.V. trafiłem wiele lat temu. Mówi się, że to organizacja „heraldyczna” — i coś w tym jest, bo wprost nawiązuje do tradycji Pommer-sche Vereinigung für Stamm- und Wappenkunde, założonej w 1923 roku w Stettinie.

W 2000 roku powstała grupa entuzjastów, ale też historyków, kolekcjonerów i — co szalenie ważne — dawnych mieszkańców Pomorza, które dziś jest integralną częścią terytorium Polski. Stowarzyszenie zajmuje się (nieraz na poziomie naprawdę uniwersyteckim) badaniem przeszłości tych ziem.

A w gruncie rzeczy — umacnianiem tożsamości pomorskiej, dla której ogniwem spajającym jest gryf. Herb. Znak. Symbol. Imię.

Najdobitniej członkowie stowarzyszenia ujęli swoją misję (albo — jeśli ktoś woli — posłannictwo) w hasle otwierającym stronę internetową:

Wenn Pommern, dann Greif!

To gra słów i jednocześnie motto odwołujące się do historycznej tożsamości Pomorza. Z jednej strony mamy „Greif” jako gryfa — zwierzę herbowe, symbol regionu. Z drugiej: niemieckie skojarzenia językowe. W niemiecku istnieje czasownik greifen („sięgnąć”, „chwycić”, „ujmować”), z formami: greift, griff, gegriffen. Jednak w hasle „Wenn Pommern, dann Greif!” słowo Greif nie pochodzi od czasownika — jest rzeczownikiem: „gryf”.

To motto podkreśla coś bardzo prostego: trudno myśleć o Pomorzu bez gryfa jako znaku rozpoznawczego.

I to hasło nie jest puste. Nie jest sloganem-zapchajdziurą, sprawozdawczym wytrychem mającym uzasadnić dotacje na „działalność statutową”. Ono zostaje w głowie.

Przeglądając stronę Pommerscher Greif, można się o tym przekonać na każdym kroku. Choćby w notatce z jesieni 2025 roku.

Pomorska Pottmütze

Dawniej pomorska Pottmütze była czymś w rodzaju znaku rozpoznawczego rybacko-chłopskiej społeczności z Mönchgutu — tej wąskiej, piaszczystej mierzei na południowo-wschodnim krańcu wyspy Rugii (Rügen). Dziś, choć minęły czasy, gdy była codziennym nakryciem głowy, przeżywa swój renesans jako symbol lokalnej tożsamości i świadectwo tradycyjnego rzemiosła. (zdjęcie: <https://www.landesmuseum-mv.de>)

Pottmütze wywodzi się z XVIII–XIX wieku i była powszechnie noszona przez Fischerbauern — rybaków i chłopów. Chroniła głowy przed ostrym, bałtyckim wiatrem. Ta ciepła dziergana czapka powstawała z mocnej, szorstkiej wełny pomorskich owiec. Wełnę często barwiono; z przędzy dziergano wzorzyste czapki, zwieńczone dużym pomponem. W takich wsiach jak Gager czy Göhren czapka była nierozłącznym elementem ubioru mężczyzn — nosili ją dzień i noc, czasem pełniła nawet



funkcję szlafmocy.

Od codzienności do stroju regionalnego

W drugiej połowie XIX wieku Pottmütze zaczęła znikać z codziennego użytku, wypierana przez prostsze Seglemützen — tkaninowe czapki żeglarskie. Barwne dziergane nakrycia głowy odeszły z codziennej garderoby, ale nie z pamięci kulturowej. Znalazły stałe miejsce w tradycyjnych strojach ludowych i trafiły do muzeów; w Stralsundzie czy w zbiorach Mönchguter Museen można dziś podziwiać oryginały z barwnymi i naturalnie barwionymi wzorami.

Nowe życie tradycji

W ostatnich latach Pottmütze zyskała „drugie życie” dzięki pasjonatom rękodzieła, takim jak Cornelia Müller-Gödecke. Zgłębiając historyczne wzory, opublikowała instrukcję, dzięki którym miłośnicy robótek ręcznych mogą odtworzyć tę tradycyjną czapkę własnoręcznie. Warsztaty w Greifswaldzie czy Göhren pomagają przekazywać tę



wiedzę dalej, a lokalne stowarzyszenia (np. Heimatverband Mecklenburg-Vorpommern) udostępniają materiały i ulotki o historii tej niezwykłej czapki. (powyższa rekonstrukcja na podstawie: Baltische Studien Neue Folge, Bd. 39, 1937).

Proste, logiczne, konsekwentne — i w pewnym sensie... polityczne. To działalność z jasno określonym celem, ze wskazaniem środków i metod. Działalność świadoma, konsekwentna, skuteczna. A co najważniejsze: wynikająca z naturalnej potrzeby przynależności do określonego kręgu kulturowego.

Polscy prezydenci — powie ktoś — prześcigają się w umacnianiu patriotyzmu w polskiej świadomości. Co drugie słowo w ich wystąpieniach to: „polski”, „polska”, „polskiego”, „polskiemu”. Zawsze z dopowiedzeniem: „ja, jako prezydent” — odmienianym przez przypadki.

Słuchać się tego nie da. Bo słowa te brzmią jak... głośnie cisza. Nie noszą treści, jedynie zagubione gdzieś, kiedyś, norwidowskie głuche echo...

My, na naszym Pomorzu, bywamy jak te dzieci we mgle: tożsamościowe sieroty. Znajdy, które — zamiast odnieść się do nowych realiów z miłością i je zaakceptować — długo uciekały w stylistykę: „poniemieckie”, „szwabskie”, czasem wręcz „hitlerowskie”. **Zaakceptowaliśmy własną kulturę „nieobecność”**: sieroctwo, pustkę. Nie chłonimy już dogasających płomieni wielowiekowych tradycji tych ziem — tradycji dumnych i bohaterskich, przesiąkniętych etosem pracy na morzu i na ziemi.

Nie przynieśliśmy tu swoich pieśni i klechd. Zastanym - pozwoliliśmy odejść. Rzuciliśmy je w ogień, rozbiliśmy o bruk, zakopaliśmy. My — potomkowie (z miejsca i z wichury losów) Gryfitów.

Panie prezydencie, panie marszałku, panowie radni — jakże jesteście w tej sferze bezradni. Bez charakteru i bez poczucia czegoś, co człowiek dostaje „w pakiecie urodzinowym”: bycia częścią wspólnoty, ogniwem łańcucha, kamieniem milowym przy drodze budowanej przez kolejne pokolenia.

Taka polityka świadczy o bezideowości. Jest skutkiem braku świadomej, konsekwentnej edukacji i dbałości o wspólnotowość — plemienną, lokalną, regionalną. Ludzie „spoza kręgu” stają się banitami; wygnaćcami z wyboru — albo, częściej, z braku wyobraźni.

Remont Zamku Książąt Pomorskich – zakończony. Kwoty dotacji i lata trwających prac – wirują w głowie przeciętnie ubudżetowanego Szczecinianina. Nie ma w regionie willi, której budowa pochłonięłaby takie fundusze, a jej wykorzystanie było skrajnie odmienne od kosztów utrzymania.



Ale kto rozrzutnemu zabroni?

Zamiast wstępu

Przywołam kilka faktów z okresu panowania Gryfitów, które pomogą nam w lepszym rozumieniu obecnej sytuacji. Wplotę je w całość opowieści, by posłużyły z jednej strony za komentarz historyczny, a z drugiej - pokazywały istotne cechy charakteru, honoru i konsekwencji w postępowaniu naszych przodków *in spe*. Świadomie popełniam tu pewien błąd logiczny, bowiem sformułowanie „nasi przodkowie *in spe*” dosłownie znaczyłoby „nasi przodkowie, którzy dopiero mają się stać naszymi przodkami”, a to jest niemożliwe. Czyżby? W Szczecinie wszystko jest możliwe. Szczególnie - każda niedorzeczność. A wynika owa specyfika Szczecinian z ich prąsności intelektualnej.

Przez osiemdziesiąt lat nie zdobyliśmy się na jasną deklarację, **jakie i czyje tradycje chcemy kontynuować, ale i kultywować?**

Niech drastyczność przytoczonych opisów nikogo nie przestraszy.

Mają one jedynie ukazać metody, jakimi Gryfici egzekwowali reguły życia nie tylko dworskiego. Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie siedziba rodu Gryfitów, którzy panowali nad Pomorzem Zachodnim przez ponad pięć wieków – od XIII do połowy XVII stulecia – aż kipi od osobliwych książęcych charakterów i dworskich dziwactw. I tu pełna zgoda. Nie inaczej jest dzisiaj. Że dziś nie ma księcia? Prawda. Są inni. A każdy pretenduje do tytułu przynajmniej arcyksięcia.

Mówiono, że Barnim III „Wielki”, który zapoczątkował budowę kamiennego zamku w XIV wieku, był w opozycji wobec miejskich patrycjuszów – tych samych, którzy w rozwijającym się Szczecinie zaczęli tworzyć swoją solidnie ugruntowaną elitę społeczną.

A dziś? **Obserwujemy jedynie relacje między kacykowe.**

Z kolei pruski król Fryderyk II Wielki umieścił na Zamku mennicę i bił swoją monetę – co lokalni gawędziarze nazywali pół żartem, pół serio „książęcą drukarnią srebra”. Z braku surowca, biznes nikomu nie przyniósł korzyści. Na szczęście my mamy fundusze europejskie.

Książęta byli mecenasami sztuki, ale cechowała ich też rozwiązłość i - o zgrozo! - brak zainteresowania ścieżkami rowerowymi. Nie to co ich współcześni (w swoim mniemaniu) następcy. Ci zrezygnowali z

gronostajów i buławy. Atrybutem ich władzy jest pompka rowerowa.

I tu pojawia się problem... Bo czy nasz cyklista, jak jeden z jego przodków — Każko Słupski — miałby realną szansę zostać królem Polski? To wspomniane przez historyków i regionalistów pytanie pojawia się w kontekście związków dynastycznych Gryfitów z europejskimi rodami i ich aspiracjami politycznymi. Nasi cykliści jeżdżą do Brukseli, co prawda, nie rowerami (a szkoda), ale nie wydaje mi się, by którykolwiek z nich miał szansę na jakąkolwiek "szansę". Szczególnie matrymonialną.

Liczne i rozliczne są te niekiedy dość potargane i porozrywane nici tradycji oraz wspólnoty celów, które w sposób - dla mnie - nie do końca oczywisty sytuują nas w pozycji jedynych i bezpośrednich ale tylko administracyjnych potomków książąt pomorskich.

Przywołam kilka epizodów z przeszłości także dlatego, że w przemówieniach i manifestach – na przykład marszałka Olgierda Geblewicza – często przewijają się sformułowania tak odkrywcze i głębokie, jak te ze znanego refrenu: "majteczki są w kropeczki".

"Zamek Książąt Pomorskich to nie tylko budowla — to wielowiekowy materialny dowód historii, tożsamości Pomorza Zachodniego i dlatego warto inwestować w jego konserwację, odbudowę i rozwój".

"...ten zamek trzeba remontować, bo jest świadectwem historii Pomorza Zachodniego, miejscem pamięci, istotnym elementem tożsamości regionu i elementem dziedzictwa kulturowego".

Podczas uroczystości oddania do użytku części zamkowych pomieszczeń, pan marszałek o Gryfitach chyba nie wspomniał. Nawet z rozpędu. Żadne media ani strona Zamku nie cytują takich słów. O Gryfitach, w komentarzu, wspomina marszałkowski portal, relacjonując wydarzenie. Jaki mógłby być powód tego pominięcia Gryfitów? Czyżby trema, skromność czy retoryczna nieporadność w doniosłej chwili? Otóż nie! To nie Gryfici byli i są tu najważniejsi.

Swego czasu pan marszałek wyjawiał naszej redakcji coś, co mogłoby spokojnie trafić do annałów kabaretu w kategorii: dyplomacja. Powiedział, że przemówień nie przygotowuje, nie pisze i nie archiwizuje. Gdyby uznać to za oficjalną strategię komunikacyjną Urzędu Marszałkowskiego, wychodzi na to, że przemawia do nas raczej "podmuchaem wiatru" – ku uciesze wszystkich „wiatraków” tej ziemi – a tym samym zdejmując z barków biednych kronikarzy ciężar analizy swoich wystąpień. Bo gdyby jednak przyszło im grzebać w jakimkolwiek tekście, to nie byłoby to tylko tekst „nieuczestny”, ale równie ulotny i niewyraźny jak echo tańczącego wiatru w pustym dziedzińcu.

Takie podejście do własnej retorycznej twórczości politycznej można by uznać za właściwe... na festiwalu improwizacji. W publicznej roli polityka postawa taka zdradza retoryczną bezradność, która jest prosta jak spirala i skuteczna jak parasol w wichurę. Nie ma w takiej postawie ani cienia sprytu, nawet takiego cieniutkiego, koniunkturalnego. Nie ma też przebiegłości. Zamiast tego dostajemy niewymuszoną improwizację, która w felietonie być może mogłaby kogoś bawić, ale w publicznej roli polityka bardziej przypomina wersję *free jazz* - bez rytmu i metrum. To taki przepis na polityczne kotlety mielone. My, wam, żeby, po to, ponieważ, dlatego, w związku, wobec, dzięki funduszom europejskim. I od początku: my, czyli ja, wy czyli my, my i wy, razem.

Cytuję, za stroną marszałkowską, fragment wystąpienia na konferencji prasowej.

– Możemy powiedzieć z dumą: Zamek Książąt Pomorskich jest wizytówką na wjeździe do Szczecina i znowu króluje nad miastem, jak przed wiekami. To wielki dzień. Po 8 latach przerwy

znowu oddamy Zamek do użytkowania dla mieszkańców, udostępnimy Salę Bogusława i inne znajdujące się w tej części przestrzenie oraz taras widokowy, z którego rozprzestrzenia się przepiękny widok na rozlewisko Odry. Inwestycja kosztowała prawie 100 mln zł. Sam kontrakt to 85 mln zł, ale były także prace dodatkowe, których w tego typu obiektach nigdy nie brakuje. Połowa tej kwoty to fundusze unijne zarówno z poprzedniej, jak i tej perspektywy finansowej. Fundusze Europejskie umożliwiają na(m) wiele działań pro gospodarczych, pro rozwojowych, ale też pozwalają nam chronić dziedzictwo kulturowe. Dzięki tej inwestycji mieszkańcy zyskają wiele ciekawych przestrzeni, które dotychczas nie były dostępne.

Banały, komunały, dyrdymały, w kółko powtarzane refreny, frazy jak z kazania zaspanego kanonika, który nie wie, czy to roraty z lampionami czy niespory, pełne przedwieczornych ziewnięć.

Wiem, powtarzam się, ale - jak mawiał trener Górski: tak się gra, jak przeciwnik pozwala. A ten, urzędniczo i stylistycznie jest wyjątkowo koślawy. "... oddamy Zamek do użytkowania dla mieszkańców".

Gdyby zaś dać szkolniakom ten tekst do logicznej analizy, pospadaliby z krzesel. Oklepiane zwroty, powierzchowne stwierdzenia i to w karykaturalnej formie: "zamek wizytówką na wjeździe", "znowu króluje" - a co robił przez ostatnie lata, włóczył się po świecie, czy stał tam gdzie stoi? "To wielki dzień".

Dalej. Osiem lat przerwy, osiem lat remontu - osiem lat twórczych cierpień, bólu oczekiwania na uroczysty dzień otwarcia. Wytrwaliśmy. Nikomu do głowy nie przyszło, aby po zakończeniu remontu dokonać analizy rzeczywiście poniesionych kosztów? Ile kryje się za nimi milionów roboczogodzin, opłacanych nie z prywatnej, ale do prywatnej (głównie hiszpańskiej) kieszeni. Tu nie ma żadnej sugestii. Jest tylko pytanie o weryfikację. O te koszty nieoczekiwane i niespodziewane. Tyle wiemy. Zaryzykuję przypuszczenie, że w czasach Gryfitów remont taki trwałby kwartał, pół roku. Ale my mamy gest, gestora i kasę!

Zatem - jak się wtedy, w czasach Gryfitów żyło? Jak żyje się i rządzi dziś w Szczecinie? Jak opieszałość i megalomanię traktowano? Tak jak dziś u nas? Jak odnoszono się do ról społecznych i powinności. Jak karano i napiętnowano tych, którzy nie mieścili się w regułach twardo opisanych i egzekwowanych przez prawo książęce. **Czy tamto prawo miałoby zastosowanie w Szczecinie roku 2026?**

Niech wydarzenia utrwalone w pomorskich kronikach posłużą także za przestrogę. Bo kontynuować pomorskie tradycje to postępować jak nasi przodkowie. A oni byli konsekwentni. Jak w małżeńskiej przysiędze: *biore sobie ciebie za żonę...* Mówiąc te słowa decydujemy się na związek bez warunków wstępnych. Żonę poślubiemy nie w odniesieniu do wybranych jej cudności, rysów charakteru czy niewinnych kaprysów. Bierzymy babę taką, jaka ci ona jest. Czy podobnie jest z rodowodem i przeszłością? Czy jesteśmy, chcemy być potomkami Gryfitów? Akceptujemy wszystkie ich zasady postępowania? Dość zresztą powszechne w ówczesnym świecie.

Oczywiście - żartuję!

Ale tylko w stosunku do faktów - nie w odniesieniu do zasad.



Stralsund, 1453: łamanie kołem (Landvogt Raven Barnekow)

„...złamano go kołem, a jego ciało wpleciono w koło. Stało się to w roku 1453.”

Koło nie tylko zabija – ono "opowiada" historię na długo po egzekucji. Kronika dodaje jeszcze w tym samym fragmencie, że szczątki latami pozostawały „na kole” – jakby miasto chciało, żeby wyrok utrwalił się w społecznej pamięci, żeby przechodzić co pewien czas podnosił wzrok i przypominał sobie, jak kończą się „zdrady” i konflikty w hanzeatyckiej scenerii. Na przykład: Magistrat versus Samorząd.

Za co konkretnie skazano Barnekowa? W źródłach niemieckojęzycznych sprawa wygląda na pierwszy rzut oka jednoznacznie, choć im bliżej szczegółu, tym więcej widać politycznego napięcia. W kluczowym przekazie – biogramie burmistrza Stralsundu Ottona Voge (Fuge) w Allgemeine Deutsche Biographie, dziś udostępnianym w serwisie Deutsche Biographie – pojawia się zarzut, że Raven von Barnekow, landwójt rugijski i zaufany człowiek księcia Warcisława IX, został oskarżony o zdradę. Według tej relacji miał brać udział w spisku, którego celem było siłowe „ujarzmienie” Stralsundu: otwarcie bram miasta i obalenie burmistrza w trakcie zjazdu stanów. Źródło ujmuje to dosłownie jako zamiar użycia przemocy wobec miasta i jego zwierzchności: „des Verrathes, daß er die Stadt Stralsund und deren Obrigkeit vergewaltigen wolle”.

Dalszy ciąg tej opowieści jest równie brutalny. Stralsund kazał Barnekowa aresztować, a wraz z nim – jak dopowiada tradycja kronikarska – jego sekretarza Heinricusa i notariusza Wannemera. Postawiono ich w stan oskarżenia o zdradę, a po uznaniu winy wykonano karę uznawaną wówczas za „zwyczajową” dla tego typu czynów: „Schleifung und Rad” – wleczenie i łamanie kołem. W przekazach nie ma wątpliwości co do samego faktu egzekucji, choć już jej sens i sprawiedliwość stają się przedmiotem sporu.

Bo w późniejszych opracowaniach i lokalnej pamięci poja-

wia się mocna kontrnarracja: Barnekow miał paść ofiarą fałszywych oskarżeń i politycznej rozgrywki. Jego śmierć „odpokutowano” symbolicznie – m.in. poprzez formy upamiętnienia. Jedną z nich jest wiązany z jego imieniem Sühnestein lub Sühnekreuz w Reinbergu, kamienny „głaz pokutny” ustawiony przy murze cmentarnym, z motywem Ukrzyżowania i inskrypcją odczytywaną jako „orate pro Ravno van Barneko”. Ten kamień nie jest dowodem niewinności, ale świadectwem tego, że sprawa Barnekowa szybko wyszła poza ramy sądowego wyroku i stała się elementem pamięci, żalu i symbolicznego zadośćuczynienia.

Odnosząc tę historyczną sytuację do warunków współczesnych moglibyśmy założyć, że oto prezydent zamachuje się na marszałka. Ten prezydenta łamie kołem, a potem... wiadomo - historia sama kołem się toczy.

Moglibyśmy podać wiele przykładów rywalizacji między książętami, a władzami miejskimi, wzajemnego się zwalczania, ale i nieodczownego sojuszu: bogate miasto hanzeatyckie Stettin oraz żądny pieniędzy książę, który ma papier i pieczęci, a więc stanowi prawo, nakłada podatki. Jak się tu z takim nie dogadać? Ano - trzeba!

Zatem - remont zakończony...

Nie zagłębiałem się w detale. Ale trafiłem na takie wyliczenie:

Ponad 104 mln zł – to łączny koszt inwestycji podany przy otwarciu; w tej kwocie ok. 91 mln zł to prace budowlane, a reszta to m.in. ekspertyzy, nadzory/kontrakty inżynierskie i **koszty towarzyszące**.

Ok. 85 mln zł brutto – to wartość kontraktu/robót wskazywana przez wykonawcę (Mostostal Warszawa) i część mediów; w komunikacie Zamku wyjaśniano, że były też **prace dodatkowe**.

Świetne dopełnienie kalkulacji: **koszty towarzyszące i prace dodatkowe**. Tylko gumka od reform 9tych w kropeczki) nie pozwala rozciągać się bez granic... odpowiedzialności i moralności.

Gdyby ktoś miał te 104 miliony na zakup domu, zafundowałby



sobie rezydencję Gwyneth Paltrow (Brentwood, Los Angeles) albo posiadłość Diane Keaton (Sullivan Canyon). No, ale – **(jak zachować powagę w tym miejscu felietonu?)** – kupilibyśmy mury, płoty, basen, sypialnie, tarasy, oscarowe statuetki, ale nie legendę Gryfitów, która w Hollywood nikogo nie interesuje, a u nas – praktycznie nie funkcjonuje,



choć ten i ów się nieustannie do niej odwołuje. Sam nie wie - dlaczego?

Już widzę te setki palców złamanych podczas stukania nimi w czoło, z równie ekspresywnymi komentarzami na mój pogląd, że **wydajemy miliony na remonty obiektów, bez których... dałoby się żyć**. A fakt, że je mamy nie ma żadnego wpływu na to, by poziom naszego życia przenieść nie w stratosferę, ale choćby na blaszaną platformę mostu rowerowo-pieszego w Siekierkach, który urasta do rangi symbolu i konkurenta dla Wałów Chrobrego. Oto siła perswazji pana marszałka.

Tu - ciekawostka. Jak wyobrazić sobie 100 milionów?

100 milionów złotych w samych 100-złótkach zajęłoby objętość $\approx 1,05 \text{ m}^3$

Skoro wdepnąłem w ten grząski grunt – brnę dalej. Stawiam proste pytanie: gdyby remont taki w swoim obiekcie przeprowadzał prywatny inwestor – musiałby mieć (skąd?) ten metr sześcienny pieniędzy, a po zakończeniu prac – wszystkie zainwestowane środki – co do grosza – powiększyć o godny zysk z tej inwestycji. Bo remont ma w prywatnej wersji sens tylko wtedy, gdy gwarantuje powodzenie finansowe prac renowacyjnych i budowlanych. A na czym Zamek może zarabiać?

Rozpisałbym konkurs ofert: przedsiębiorco, dostajesz Zamek na 10 lat. Ale z wpływów z jego użytkowania musisz każdego roku wpłacić do kasy samorządu - 100 milionów.

I co ty na to?

To samo zadanie postawiłbym marszałkowi

zachodniopomorskiemu. To krezus regionalny o niewyobrażalnych zasobach **nie swoich** pieniędzy. Rozdawca i gestor bez konsekwencji i oceny zainwestowanych środków. A przyczyna tego stanu finansowej demoralizacji władzy leży w metodzie: **przetarg albo konkurs ofert**.

Praktyka jest genialna: przyjmujemy oferty na remont Zamku i wybieramy... najtańszą. Żeby nikt nas nie posądził „o to, czy o tamto”. Tak wygląda nasz wolny rynek, dokładnie jednak ograniczony zasadą: akceptować najtańsze oferty.

My mamy czyste ręce - wybraliśmy najtańszą ofertę.

Nikt postępu prac nie nadzoruje, bo się w Zamku i Samorządzie na tym fachu znać nie musi. Tam dyrektorem Wydziału Kultury bywa elektryk, więc szwaczka mogłaby być szefową rozwoju przestrzennego. Ważne, aby wszyscy zarobili, a dotacje i budżetowe pieniądze się „nie zmarnowały”. Nie wiem tylko, czy przed rozpoczęciem remontu uzgodnione są wspomniane już „koszty towarzyszące i prace dodatkowe”.

My, (czyli kto?) wybieramy ofertę. My, a więc ci, którzy *de facto* wiedzą, że 99 milionów to jest mniej niż 101 milionów. Takie kwalifikacje są istotne, aby zarządzać funduszami, o których wspomniany już, przeciętnie ubudżetowany Szczecinianin, nie ma pojęcia? Ten sam, który przez kilka ostatnich lat chodził wokół zamku, po jego dziedzińcu, a widok ogrodzeń i rusztowań ma wytatuowany w pamięci. Jakiej kompetencji i wiedzy fachową ma Zarząd, by wybrać tę, a nie inną ofertę? Oto tajemnica „książęcej” demokracji.

Idźmy dalej, może przez taras widokowy, stąpając tanecznie, niczym Fred Astaire. Dlaczego tanecznie? Jesienią 2024 zauważyłem na tarasie zamkowym, z tym pięknym widokiem na „rozlewisko Odry”, o którym mówił pan marszałek, mnóstwo „tajemnych” znaków w postaci szarej taśmy montażowej. Okazało się, że tak znaczone płytki, które się nie przykleiły do podłoża i stanowią genialne wsparcie dla stepujących tancerzy, jak właśnie Fred Astaire czy Gene Kelly. Ale to temat na odrębne opracowanie. Tu wróć do przykładu, ale retorycznego stepowania w wykonaniu gestora remontu, który z tarasu dostrzegł „ten wspaniały widok na rozlewisko Odry...”.

Otóż - *rozlewisko to płaski lub prawie płaski obszar wzdłuż rzeki/strumienia, na który rozlewa się woda podczas wysokiego stanu wody*” (czyli *praktycznie: strefa zalewowa/rozłana woda poza korytem*); *miejsca takie mamy poza Szczecinem*. Ten fragment wystąpienia o rozlewisku to kolejny przyczynek do tezy, że chwalebna praktyką jest niearchiwizowanie nieprzemyślanych wystąpień naszych mówców.

Ale wróćmy do aspektów biznesowych nie tylko remontu Zamku.

Marszałek wydaje miliony, a ile na tej swojej grze finansami zarabia? Jakiego działania intelektualnego, twórczego, odkrywczego uruchamia, aby z „używania” Zamku - kasę regionu zasilać? **ŻADNE**. Wpływy do budżetu województwa to w głównej mierze dochody z podatków lokalnych, udział w PIT i CIT. Do tego dochodzą subwencje i dotacje celowe.

Nawet król Midas nie miał lepszej roboty.

OK. Dobrze. To była prowokacja intelektualna. Przecież ja i Czytelnicy doskonale wiemy, że na ochronę zabytków warto wydać każdy pieniądz, na kultywowanie i utrzymywanie materialnych śladów przeszłości... Ale gdzie leży granica między uzasadnionym wydatkiem, a megalomanią i zbytkiem? Powiem więcej - gdyby tylko o megalomanię szło, machnąłbym ręką. Ale tu, u nas, rodzi się pewna prawidłowość, by nie powiedzieć - anomalia. Taka sama sytuacja już wzbiera wrzodem, a związana jest z budową **nowego Teatru Współczesnego**.

Konkurs ogłoszony, projekty obiektu łądują z ponaddwukrotnie szybszą, komisja weryfikuje wizję, oddziela dzieła od arcydzieła i pisze protokół, że - zgodnie z życzeniem gestora, prezydenta miasta

- będziemy mieli... szczecińską Hagię Sophię. Przypominam:

Cesarz Justynian I budując Hagię Sophię (lata 532–537) kazał architektom wzniesć „najwspanialszy budynek na świecie” – tak opisują jego ambicje współczesne opracowania historyczne.

W późniejszych wiekach świątynia była określana jako „najokazalszy obiekt architektury bizantyjskiej”, podkreślając jej wyjątkową skalę, kopułę i znaczenie religijno-polityczne.

I wszystko się zgadza: biznesowo i religijnie. To znaczy: ideologicznie. Tylko... Szczecin staje się "przesiadkowym miastem teatralnym".

Ludzie! NIKT nie zadał pytania: świetnie, że budujemy najbardziej okazałą na świecie studnię, ale sprawdził ktoś, czy tam jest woda?

Nikt nie zapytał - jaki repertuar zaprezentuje Teatr Współczesny, jak nasze miasto zostanie rozślawione tym nowym budynkiem i dziejący się w jego wnętrzu cudem teatru! Czy mamy pomysł na ściąganie najlepszych aktorów i reżyserów oraz dramaturgów. Teatromani będą odrzutowcami z całego świata pędzili na szczecińskie premiery? To pewne? Nie!? Więc - o co idzie?

Czy naprawdę po to – dla garstki aktorów wrośniętych w tę ziemię oraz tych, którzy wpadają tu tylko na chwilę, na twórczą rozgrzewkę przed dalszym odlotem – budujemy najokazalszy i zapewne najdroższy budynek w mieście?

Po to, żeby mogli tu „pograć” coś, czego – poza widzami w Szczecinie – nikt inny na świecie nie zobaczy, nad czym nikt nie umrze z zachwyty, i co zniknie bez śladu wraz z ostatnimi oklaskami?

Oto potęga niekompetencji. O budowie teatru decydują ludzie, którzy pojęcia o tej instytucji nie mają. Ulegają sile perswazji i "charyzmy" lokalnych C-Hamletów, którzy oczywiście wolą "mieć" niż "nie mieć".

Co robią tzw. lokalne media? Wpadają w zadyszkę. Wybijają w

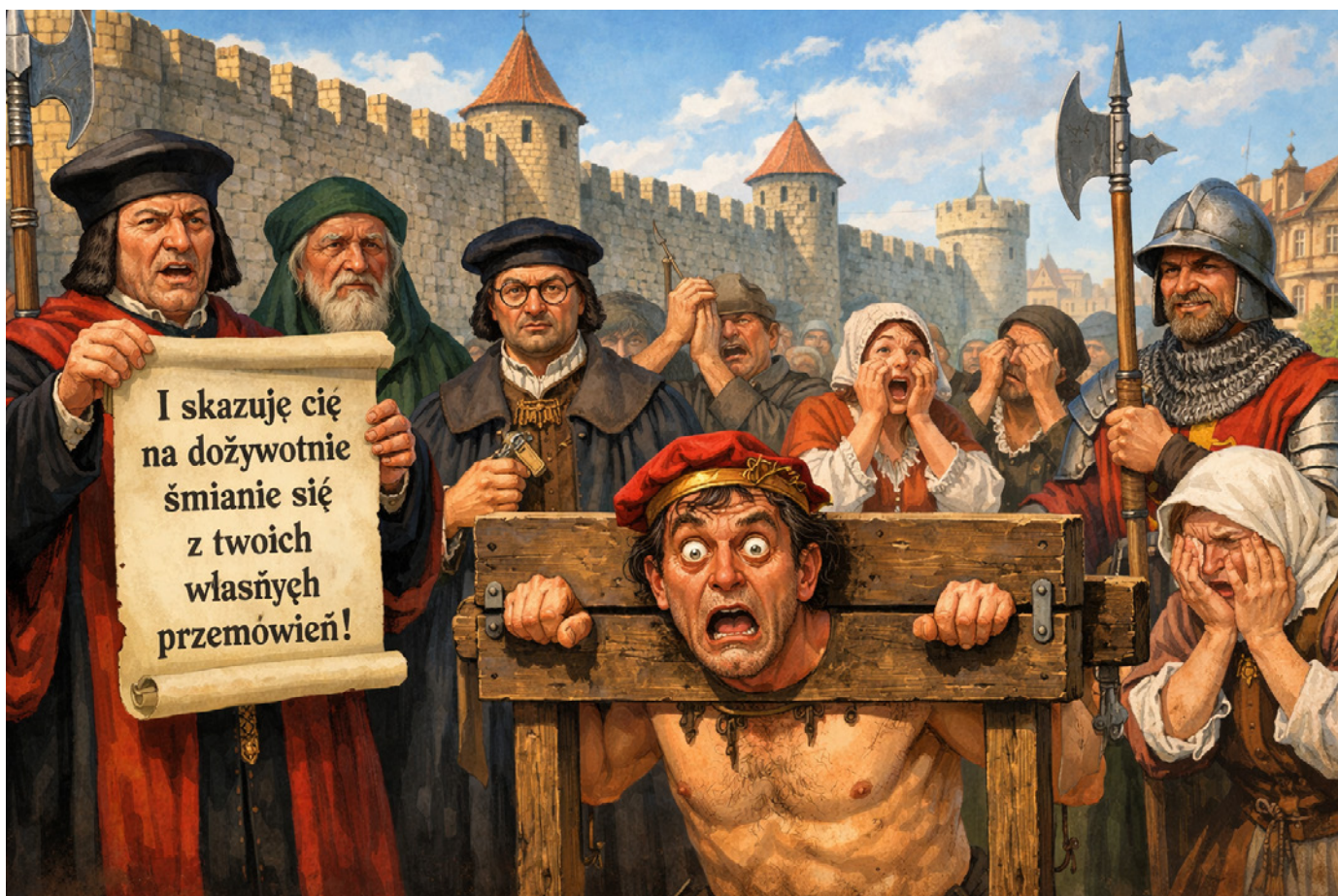
czołówkach swoich tekstów liczbę architektów gotowych do zaprojektowania nam teatru! Bezkrytycznie, bez cienia refleksji, bez racjonalnego spojrzenia na tak zwaną **funkcję celu**. Ta architektów nie interesuje. Chcą dobrze zarobić. I to jest zdrowy odruch. W poprzednich numerach pokazywałem jakie w ostatnich latach motywacje towarzyszyły rozpoczęciu na świecie nowych inwestycji teatralnych. Wszędzie były to mocne uzasadnienia merytorycznie i BIZNESOWE!

Po ostatnim kryzysie związanym z obsadą stanowisk dyrektorskich w miejskim Wydziale Kultury, nad którym zaiste jedynie spirytystyczny nadzór sprawował wiceprezydent Biskupski, chyba najmniej kompetentny w tej dziedzinie ekspert z czasów, jakie obejmuje moja pamięć, a będzie tego dobrze ponad pół wieku - osobistą odpowiedzialność za sprawy kultury w mieście, czyli - pan daruje - żadną, objął sam prezydent miasta. Osoba w najwyższym stopniu rozważna i skromna, by nie powiedzieć - nigdy nie zdradzająca najmniejszych opinii, kompetencji ani zainteresowania na przykład ewolucją repertuaru w teatrach miejskich. Pardon, kiedy ostatni raz oglądał pan spektakl Pleciugi dla najmłodszych widzów? Mogę zapytać o wrażenia?

Cóż, łatwo pana uwieść, więc - jako emocjonalny recydywista - "popłynął" pan za wmawianymi mu treściami, że szczeciński Teatr Współczesny to ho, ho, ho i jeszcze c-ho! Teatr, który poza szczecińskimi opłotkami jest nieznanym, trwa w "rozlewisku Odry", podporządkowany reżysersko-dyrektorskim wizjom swoich szefów. Powtórzę - poza Szczecinem mówi się o tej scenie incydentalnie. Oczywiście u nas obowiązuje pogląd, że The National Theater w Londynie to grupa amatorów w porównaniu z naszym Współczesnym. Tamtych krytyka osądza, u nas - chwala Bogu - krytyki nie ma. Są samozachwyty teatru nad sobą. Kto drugiemu zabroni mówić... Choćby największe bzdury?

W wywiadzie dla TVSiódemki, niekwestionowany autorytet w sprawach polskiego teatru, pan Andrzej Seweryn, tak zareagował na - na szczęście - skompromitowaną ideę Kwartалу Kultury:

- Nam nie są potrzebne nowe teatry. My musimy uczyć się aktorstwa, reżyserii, doskonalić w każdej teatralnej dziedzinie, w tym rzemiośle,



które w pełni opanowane doprowadzi nas do Sztuki. Teatr nie zależy od ścian i dachów.

Teatr to wykształceni i wrażliwi ludzie.

Kurczę... znów wpadam w ten makaron propagandowy. Więc kończę wątek. Wydaliliśmy miliony na remont Zamku. Wszystko pięknie rozliczone. Rąk myć nie musimy. Są czyste. Tak jak głowa jest pusta.

Pudrowanie trupa, omal go nie ożywiło... Omal.

Lojalność, wierność, infamia i fobia

Stralsund, 1516: „**kara pośmiertna**” – odmowa pochówku w ziemi poświęconej.

To realny akt represji (symbolicznej i społecznej) wobec człowieka „nieczystego zawodem” – miejskiego kata/woźnego (Büttel).

„...że nie wolno pochować ciała na żadnym poświęconym cmentarzu...”

Jakim współczesnym urzędnikom można byłoby przypisać te funkcje i zadania?

To jest kara w białych rękawiczkach: bez topora, bez ognia – ale z tą samą intencją. Odbiera się zmarłemu i jego bliskim coś, co w świecie chrześcijańskim było częścią godności: miejsce wśród swoich. W kronice pobrzmiewa logika „społecznego wykluczenia”: nawet śmierć nie kasuje piętna. W naszym i swoim imieniu działała przeciw nam. A nawet jeśli w zgodzie z prawem, to bez udzielania nam prawa do obrony. Na przykład: mandat jest mandat. A że wysoki, że informacja o parkingu pokrętna, albo, że zapłaciłeś, ale za mało... - spotyka cię "zero" litości. Płać za karę podwójnie, albo zapłacisz dwa razy więcej.

Powyższy przykład norm społecznych oraz moralnego osądu człowieka i jego czynów jest bardzo interesujący, choć w dzisiejszym porządku społecznym trudno byłoby znaleźć prosty odpowiednik ówczesnego Büttla. Chyba że... ale taka analogia łatwo naraziłaby autora na zarzut publicystycznych aluzji wobec współczesnych urzędników. Najbezpieczniej – i najbliższej sensu źródeł – rozumieć więc Büttla jako sądowego lub miejskiego woźnego: funkcjonariusza porządkowego i wykonawcę poleceń władzy, odpowiedzialnego za aresztowania, doprowadzenia, ogłoszenia i czynności przy sądzie. Historyczne znaczenie tego terminu dobrze oddaje definicja słownika Duden: „Gerichtsbote, Häscher” – sądowy posłaniec, łowca przestępców.

W przekazie zachowanym w tradycji kronikarsko-sagowej sedno sprawy jest następujące.

Matthias był pobożny i lubiany, „miał poważanie wśród mieszczan”, dlatego wielu chciało sprawić mu „uczciwy pochówek”, mimo że pełnił urząd Büttla. Duchowni miejscy sprzeciwili się jednak tym planom i u oficjała Johanna Tagge przeformulowali decyzję, że „ciała nie wolno pochować na żadnym poświęconym cmentarzu”. Uzasadnienie było proste: skoro Büttel „za życia nie miał wspólnoty z innymi chrześcijanami przez sakramenty”, to „i po śmierci nie może mieć wspólnoty z chrześcijaństwem”.

I tu pojawia się znamienne pęknięcie. Wcześniej bowiem narrator wyraźnie zaznacza, że Matthias, czując zbliżającą się śmierć, wezwał franciszkanów, a gwardian klasztoru udzielił mu spowiedzi i ostatnich sakramentów. Argument duchownych miejskich nie dotyczył więc faktycznego braku sakramentów ani osobistej

wiary zmarłego, lecz jego statusu. Urząd Büttla bywał lokowany wśród zajęć napiętnowanych jako „*unehrlich*” – nie w sensie nieuczciwych, lecz niehonorowych i wykluczanych. Taka infamia przekładała się na ograniczenia w życiu wspólnotowym, także kościelnym, w tym na praktyki pogrzebowe. Sam termin „*unehrliche Berufe*” funkcjonuje w niemieckiej historiografii jako kategoria społecznego wykluczenia.

Decyzję tę złamali franciszkanie, zwani „szarymi mnichami”: ubrali zmarłego w swój kaptur, procesyjnie przenieśli ciało i pochowali je w krużganku klasztornym – jak jednego z braci. Z kręgiem „*unehrliche Berufe*” często łączono ludzi „od brudu i przymusu”: katów, hycli, abdeckerów czy pomocników aparatu karnego, a piętno to mogło obejmować również ich rodziny. Typowe było przy tym, że status człowieka i rodzaj kary decydowały o losie ciała po śmierci – czy wolno je było złożyć na cmentarzu, czy poza nim. W źródłach z obszaru niemieckiego pochówek na cmentarzu bywał przedstawiany jako szczególna łaska, a stralsundzki *passus*, choć ma charakter kronikarsko-tradycyjny, dobrze oddaje realia epoki.

Jaki społeczny skutek miało takie egzekwowanie „kary”? Dobre pytanie. Kiedy i w wyniku czego odstąpiono od ówczesnych praktyk?

Skoro „zamek żyje”, nawiązuje do tradycji, ważne byłoby odnalezienie wątku Büttla w obecnych realiach urzędniczo-administracyjnych? Analogii widzę wiele, choć realia bardzo się zmieniły.

Został zwolniony

Ot, choćby sprawa dyrektora Cichego. Tak głośno o nim było! Petycje, protesty, manifesty, listy, rwane na łamach prasy *desusy intymissimi!* i nagle - cisza zapadła. Problem „umarł” dla urzędu, który to urząd, tak wybitnie i kompetentnie ten urzędnik, zdaniem jego obrońców - reprezentował i swoją działalnością kształtował. Przynajmniej w opinii jednych. Bo innych, którzy popieraliby decyzję prezydenta Piotra Krzystka, recydywisty w sprawach oceny moralnej swoich podwładnych - nie dostrzegłem. Przypomnę, prezydent już raz zwolnił tego urzędnika z identycznego powodu: utracił do niego zaufanie. Ponowne zatrudnienie i kolejne zwolnienie pana Cichego dyskwalifikuje pana Krzystka do pracy na stanowisku polegającym na zarządzaniu ludźmi.

Prezydent Piotr Krzystek nie wyrzucił podwładnego z pracy, tylko zaproponował mu niższe stanowisko w Urzędzie Miasta - socjalnie bezpieczne. Ludzki człowiek ten prezydent. Bo gdzie taki „cichy” fachowiec znalazłby pracę poza urzędem? Należy on do kategorii urzędników, którzy rekinami są tylko w biurowej wodzie, a poza nią, co najwyżej - trofeum na ścianie. Groźnie wyglądają, ale nie bodą.

Pan dyrektor otrzymał więc od pana prezydenta propozycję pracy w dziale konserwatora zabytków. *Nomen omen...* Niezły pomysł na urzędową przechowalnię urzędniczych oryginałów. Tak jak zabytki, mogą tacy cisi wyrobnicy „garować” pod okiem konserwatora przez całe dziesięciolecia. W jakimś tam celu...

Niestety, pan dyrektor nowych warunków pracy nie przyjął, co jest równoznaczne z wypowiedzeniem umowy o pracę. Został zwolniony.

Na nasze zaproszenie do wywiadu pan były dyrektor nie odpowiada. Może pucuje utensylia büttlerowskie i niebawem stanie u wrót przy dawnym Placu Dzierżyńskiego. Zastuka w nie z żądaniem wydania prezydenta miasta. Będzie działał na prawie Gryfitów?

Hm... Dobry początek na np. libretto operowe. Tylko wątku żeńskiego mi tutaj brak, choć kusi i nęci sprawa dotychczasowej (pełniącej od zawsze tylko „obowiązków”) dyrektorki Willi Lentza. Ot, kolejny majstersztyk administracji miejskiej. **Zawstydzający i jakże niepro-**

fesjonalny.

Temat na osobny materiał. Szczególnie w porównaniu z zapowiedzianym u schyłku lata kolejnym "otwarcie" Willi pod nową dyrekcją. Zatem wstrzymam pióro, co gotowe równie celnie siepać jak Scyzoryk Gerwazego Rębajły.

*„Był to rapier sążnistej długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki”.*

Wracajmy na szczeciński Zamek...

Ten, z konta „polityki kulturalnej i ochrony dziedzictwa” Samorządu otrzymał w 2024 dotację: 12 564 784,00 zł.

Czy miliony włożone w renowację i prowadzona za 12,5 miliona

pisał. Jak mogłem nie wpaść na ten pomysł! Wyremontowaliśmy zamek, bo to... **symbol panowania**. I teraz już tylko... och! tylko księcia nam brak! No, tom sobie nagrał tymi gryzmołami... A taki niby przenikliwy i sprytny jestem. To znaczy - byłem... W zamku otwarto zbrojownię. Ale o lochach więziennych niewiele słychać. Miałbym być ich pierwszym lokatorem?

Siadam do pisania "czynnego żalu"...

Ale zanim głowę popiołem posypię, dokończę przerwany wątek o finansowaniu zamkowej kultury. U schyłku lata siadłem w gronie zacnych zgredów, z którymi co jakiś czas się spotykam, by poczuć potęgę dawnej mocy...

Ci z nas, którzy jeszcze „chodzą do kawiarni, piją kawę i szydzą”,



działalność mocniej zwiążą nas z historią i poprzednimi lokatorami komnat, dziś na nowo pobielonych?

Myślę, że chyba wątpię. Gdybym był księdzem Benedyktem Chmielowskim, mógłbym powiedzieć: „zamek jaki jest każdy widzi”. Ale Szczecin to nie Nowe Ateny, a marszałek (zamek to jego instytucja) nie jest, jak Chmielowski, proboszczem w Firlejowie. No, może szkoda...

Analizując plan roczny organizowanych tu imprez (pomijając gościnne i komercyjne wydarzenia, polegające na tym, że inny podmiot wynajmuje sale zamkowe), **zawrotu głowy nie dostaniemy**. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Zamek zrezygnował z wynajmowania komnat objazdowym kapelom, trupom, ferajnom i innym cudakom... Popadłby w ruinę. A wtedy mógłby pan marszałek sparafrazować wersy sonetu "Ruiny zamku w Bałakławie"... i pod zmienionym tytułem: "Lśniące komnaty Zamku Książąt Pomorskich" recytować:

*Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczne Pomorze!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie...*

Ruiny jako poetycki symbol upływu czasu i kresu chwały dawnych dziejów. Księstwa Gryfitów, oczywiście.

Chyba...Chyba, żeby - oczywiście - inny scenariusz tu ktoś już



zwracają uwagę na administracyjno-kulturowy obrzęd obmywania rąk.

Zamek, jak każda instytucja kultury – **kupuje kulturę**. Zleca i honoruje różne produkcje artystyczne. Więc ci, co „szydzą”, radzą mi: zbadaj listy płac, zobacz, ilu ludzi "żyje" z Zamku, z Klubu XIII Muz. Ile zleceń i umów o dzieło się tam podpisuje. I co? Masz już wynik? To teraz porównaj – ile osób na widowni oraz w salach wystawowych korzysta z owoców owych umów o dzieło. Czy spirale w twoich oczach dowodzą, że mamy... balans? OK. Z tendencją na... zleceniobiorców?

Inne pytanie jest tu ważniejsze.

Jak płodna jest działalność naszych placówek kultury w odniesieniu do mieszkańców miasta.

Tylko ciężę urojone? Nie rodzą się nam talenty ogólnopolskie, światowe? Żaden malarz, kompozytor? Może pisarz albo poeta? Kto z wielkich twórców współczesności powie: to polityka kulturalna Pomorza Zachodniego wywindowała mnie ponad poziom. Otóż nikt. Kto miałby szczecińską kulturę zapłodnić, ba - nawet przemocą i do rodzenia herosów nakłonić? Kto? Ech... Obaj liderzy z kulturalnej prokreacji mają u mnie pałę. No właśnie, a powinni ją mieć przy sobie.

Powtórzę - placówki takie jak Zamek - w jaki sposób przyczyniają się do rzeczywistego kształcenia, wyzwalania talentów i energii twórczej mieszkańców miasta i regionu? To pytanie będzie tu jeszcze wracało. Ono jest wręcz mottem tego tekstu.

„Zamkowe Spotkania z Psychologią i Sztuką”, organizowane i prowadzone przez **Michała Józefa Kaweckiego**, dla jednych „żywego” zamkowego ducha, a dla drugich - zamkowego upiora (bo swoją konsekwencją dowodzi, że za tak niewiele, można zrobić coś naprawdę wartościowego), nie są w stanie zbilansować milionów pakowanych w opłacenie tzw. działalności merytorycznej.

Na zdjęciu po lewej stronie: spotkanie z jesieni 2024, niemal przy pustej sali, jakże interesujące, z psychologiem, profesorem Stanisławem Kowalikiem.

Inwencja, poziom erudycyjny rozmów Michała Kaweckiego z gośćmi - najbardziej reprezentacyjnymi dla polskiej sztuki i kultury - nie znajdują sobie równych w Szczecinie. A promocja tych spotkań - żadna. Odbывают się one w gronie niemalże „konspiracyjnych” tajnych kompletów. Kompromitacja kierownictwa Zamku. Nic nie muszą Państwo robić, a jedynie informować o tych spotkaniach.

WSZĘDZIE! I transmitować w telewizji, w globalnym internecie!

Gdyby nie te spotkania, zamek byłby przykładem snobistycznej instytucji, komercyjnej, skoncentrowanej głównie na pokazywaniu importowanej, objazdowej działalności. Oczywiście, z elementami lokalnego planktonu („folkloru”) artystyczno-twórczego.

Chwalą się na Zamku - mamy wystawy, publikacje. Proszę państwa - to wszystko jest czymś tak oczywistym, jak roznoszenie listów przez listonosza czy nabijanie cen na towary w kasie supermarketu. **To jest wasza normalna praca.** Nic więcej. A u was, tak jak i w muzeum - otwieranie nowych wystaw uzyskuje oprawę porównywalną z koronacją lub beatyfikacją. Hallo!

Oto tłum klientów pobliskiego supermarketu nie może się doczekać uroczystej chwili wystawienia na półce pierwszych torebek z nowej dostawy cukru. Kierownik sklepu, kasjerki, facet, który za parawanem ciągle patrzy w monitor podzielony na 24 obrazki z kamer, żona tego łyszego pana, emeryt z sąsiedniej wioski i prezes, to znaczy Andrzej Prezes - takie nazwisko.

- Szanowni Państwo - kierowniczka supermarketu połyka łyżę wzruszenia, wielkie jak owoce kaki. - Mamy to! Nowa dostawa cukru! Pracowaliśmy nad jej sprowadzeniem z myślą wyłącznie o słodzonych herbatkach, które napełniają Was, drodzy i szanowni klienci, wiarą w nasz supermarket. Brawo! Brawo my wszyscy!

Ludzie padają sobie w ramiona, podają (taki system powojennego wężyka odgruzowiczów - torebkę za torebką, a spląkana do

tenisówek kasjerka, przez łyżę wzruszenia nabija cenę na kasę... O, co to? Podwójne ceny? E! Nieważne, liczy się drugi człowiek, nasz brat, sojusznik cukrowy. Niech żyje kierowniczka sklepu, niech żyje nasza sklepowa społeczność. Niech żyją. Właśnie tego, takich społecznych doznań nam brak.

Proszę się zabawić: cukier zamieniamy na miecz Gryfity, a supermarket na muzeum.

Ale teraz już na poważnie. Proszę porównać... Muzeum w Greifswaldzie, od dziesięcioleci nasz najbliższy muzealny partner i sojusznik. Jak często zmieniają się tam wystawy? Ile kosztują bilety wstępu na tamte wydarzenia? Dyrektorka placówki mówiła mi w ubiegłym roku, że ekspozycje są zmieniane wtedy, gdy tłumy zwiedzających zamieniają się w pojedynczych gości. To znak, że pora na coś nowego. Czas trwania wystaw? Od dwóch miesięcy do pół roku.

W roku 2024 i 2025 otwarto tam po pięć wielkich wystaw. I to wcale nie dlatego tylko, że obchodzono rocznicę Caspara Davida Friedricha. Pamiętajmy też, że na te wystawy zjeżdża pół Europy i całe Niemcy. Byłem, widziałem, doświadczyłem. Te wystawy pobudzają tankę miejskiej gastronomii, hotelarstwa, komunikacji. Muzeum jest dodatkowym „gaźnikiem” napędzającym lokalną aktywność kulturową.

Porównajmy wpływy do kas biletowych obu tych instytucji. Oto zestawienie: Greifswald/Szczecin w przeliczeniu na PLN:
Bilet normalny - 45/20
Bilet ulgowy - 36/12
Bilet rodzinny / łączony 90/30

I jeszcze jedno zestawienie, porównujące Greifswald, siedmiokrotnie mniejszy ośrodek od Szczecina.

Iludzi obejrzało muzealne wystawy?

W 2024 niemieckie muzeum podaje: ponad 100 000 odwiedzających (w kontekście roku jubileuszowego C.D. Friedricha).

Dodatkowo (szerszy kontekst „miasto jako scena jubileuszu”): w materiałach podsumowujących rok CDF w Greifswaldzie pojawia się liczba ok. 420 000 odwiedzin i uczestnictwa w wydarzeniach jubileuszowych (to nie tylko wystawy muzealne, ale cała miejska oferta).

Szczecin? **(Kto nam broni organizować takie wystawy???)**

Nie znalazłem w oficjalnych publikacjach (wzorem Greifswaldu) oficjalnej liczby „osób, które obejrzały wystawy w Szczecinie” (za 2024/2025).

Idealne podejście do sprawy: brak danych, a więc podstaw do oceny. Cudownie!

Ale jedno jest u nas pewne: im mniejszy efekt, tym większe zadęcie. Kwitnie też powiatowy Wersal:

PANI DYREKTOR ZAMKU... (AB)

PANI DYREKTOR MUZEM... (BC)

MAJĄ ZASZCZYT ZAPROSIĆ... (EF)...

Od kogo się tej manieri obie nauczyliśmy? Od starszego stopniem? To takla... powiatowa elegancja? Te zachowania są marną karykaturą genialnej scenki z kabaretu „Dudek”, gdy wizytujące się rodziny Wątoraków i Karkuszków, odwołujących się do niejakiej Kielbasińskiej z Żoliborza dawały wyraz jedności myśli i czynów w kwestii podtrzymywania ideologicznego sojuszu socjalizmu o dziwnie zdeformowanej, ale „ludzkiej” twarzy.

Proszę się zreflektować!

W protokole instytucjonalnym zaproszenia kierowane przez dyrektora lub dyrektorkę dużych muzeów mają formalny, instytucjonalny kształt. Sprawdziłem!

„**Museum X ma zaszczyt zaprosić Państwa...**”, „The Musée du Louvre cordially invites...”.

Dopiero dalej mogą pojawić się role i tytuły osób podpisujących zaproszenie, np.:

„Jean Dupont, President-Director” albo „On behalf of the director of the museum...” — ale to jako podpis czy końcowa informacja, a nie personalne „przywoływanie swojej osoby” na początku!

Standardowe wzory zaproszeń na wystawy podkreślają jej nazwę, miejsce, datę, cel wydarzenia i formalne zaproszenie do udziału — bez osobistego zaprezentowania głównego eksponatu muzeum - jego dyrektora.

Chociaż w tym wymiarze wzniesmy się na poziom europejski.

Ale my lansujemy nową, samorządową tradycję. Budujemy model komiwojażera własnej próżności.

Nie wiem, jak teraz i czy wszędzie obowiązuje lista obecności w pracy. Z tego, co słyszę — tak. Trzeba swoje odpracować za biurkiem lub w obozie. Ale czy wszyscy? Czy w zakresie obowiązków codziennej mitręgi są wpisane u jednego z nas tak rygorystyczne polecenia jak ciągła wędrówka w celu własnego zaprezentowania się i stwarzania okazji do tworzenia miru, aury i klimatu nadzwyczajności?

Oto nasz gość przyjechał nam pogratulować, podziękować, poprzeć, pogadać, napić się kawki, coś przekąsić, obiecać i utrwalić w świadomości mieszkańców lokalnych lasów Birmingham, że oto on, ten dzielny Robin Hood będzie szarpał z Brukseli kasę na naszą chwałę i dobrobyt. No i jak takiego dobrego pana nie kochać?

A do tego fotka, ciasteczko, może przekąseczka, miziołek, żarcik, proporczyk, albumik, wzorniczek, souvenir... Lokalna prasa gospodarska wizytę pokaże, portale aż zaświergoczą, a on sam kilka razy dziennie napisze, że był, że dłoń ścisnął, że to dobrze, to wspaniale, to ważne co robimy i absolutnie niezbędne. **Za to pobiera się pensję?**

Wszyscy pierwsi sekretarze Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jawią mi się jako amatorzy auto propagandy w porównaniu ze współczesnymi stachanowcami sławy. Oczywiście im na niej nie zależy. Uchowaj, oj, uchowaj.

— *Oj! Chowaj, ale nie za głęboko...* — z boku podpowiada Mefisto.

To model godny rozpropagowania. Redakcja nasza poprosiła więc o **ujawnienie polityki informacyjnej Samorządu**. Ilu ludzi pracuje nad codziennym wypiekiem propagandowych pączusiów i oblewaniem ich lukrem dumy? Ile nas ta propaganda kosztuje? Zapytałem, czy pączusie sami wygłaszane teksty piszą? *Pro bono* — ma się rozumieć. Oczywiście czynię tę uwagę, by od razu wykluczyć ludzkie złośliwości. Koniec. Kropka. Moją "liderką" zaczyna być prezydentka miasta za podwodnym tunelem. No, ta kawusia... Robi wrażenie. Muszę kupić większe krzesło, bo pod obecne, z zażenowania trudno mi się chować oglądając Pani filmiki.

Zapytałem także, czy w całym Samorządzie wszyscy inni jego pracownicy naprawdę nie mają nic do powiedzenia i wszystko musi brać na swoje prawdomówce organ ich szef? Zauważyli Państwo? Ten urząd to wizerunkowo jedna osoba. **Jakby reszta to były same manekiny. Z wyboru? Nic państwo nie potrafią?**

Czy możnawładcy dawnego Pomorza, wzorem dzisiejszego „komiwojażera uścisków i uśmiechów”, całe dnie spędzali, odwiedzając szwaczki, murarzy, harcerzy, kominiarzy, laureatów i pensjonariuszy?

Proszę zadać sobie odrobinę trudu i policzyć: który z naszych urzędników publikuje w social mediach najwięcej wpisów dziennie? Na ilu platformach? Sam je redaguje czy ma sztab propagandystów? Akurat wiem, ile czasu trzeba mieć, aby te wszystkie filmy nakręcić, zmontować, oprawić w muzykę, skomponować, nanieść poprawki, dopisać komentarz, wrzucić na serwery.

Potem nasz bohater nieustannie sprawdza — ile lajków te publikacje uzyskały.

I tak co rano, co noc... W iście neo-hollywoodzkim stylu, publikuje wpisy jak ten z fotografii obok.

W regionie, na 31 grudnia 2024 r. liczba mieszkańców wyniosła ok. 1 622 800 osób. Skoro pan marszałek otrzymuje tygodniowo 3000 kciuków to znaczy, że popiera go 0,18% mieszkańców regionu.

0,18% to wysokie stężenie, przekraczające dopuszczalny limit 0,2 promila dla stanu "po użyciu"... (0,5 promila jest granicą stanu nietrzeźwości. Ale przecież nie o taką tu rzecz idzie! Przepraszam za tę moją pasję matematyczno-fizyczną, ciągłe przeliczanie, mierzenie. To taka szczególna forma znanej choroby - Zespołu Tourette'a.

W pierwszym tygodniu po premierze nowego numeru miesięcznika „TVSiódemka” około 4 tysiące czytelników ściąga jego elektroniczne wydanie na swoje komputery. Jedni przekazują pliki drugim.

- Dlaczego właśnie "jemu" wysyłasz plik, który sam ściągnąłeś? On może to sam zrobić. - pytam znaną w mieście personę.

- Ale musiałby się wtedy zdekonspirować, wpisując adres mailowy na stronie sklepu twojej gazety.

- A to... źle? Będzie mi miło, jeśli zauważę tak szacownego Czytelnika... Poza tym - tajemnica dziennikarska.

- Niby tak, ale po co? Jednak zapewniam - czyta wszystkie teksty. I popiera, oj, popiera. Ale nic mu nie mów, że o tym wiesz to ode mnie...

Artyści...

Żyją z tego co im władza do michy wrzuci. Czy inaczej było w czasach Gryfitów? Kontynuujemy ich tradycję? A może ucywilizowaliśmy relacje? Pewne jest jedno - o relacje dbamy jak o "serduszko Pana Jezusa" - mawiała moja redakcyjna koleżanka. Kumoterstwo jeszcze nigdy nie kwitło tak okazale, jak teraz. A sygnały płynące z Akademii Sztuki wprost paraliżują. W teatrach też niewiele się zmienia. Właśnie wystrzeliła lizusostwem Willa Lentza pod nowym kierownictwem. **Co za wytrysk! Omówię szczegółowo - niebawem.**

Znów jestem "inspirowany" zachętami, abym powtórzył zadane już niegdyś pytanie - ile osób otrzymuje wynagrodzenie z teatru, na scenie którego nie występują? Będzie rok, jak związkowcy tego teatru chcieli wznieść kolejny strajk. W odpowiedzi usłyszeli - oferta objazdowych zespołów jest tak duża, że nikt by się za wami nie ujął. Goście gwarantują pełną widownię za bilety pięć razy droższe od produkcji lokalnej. A ci... figuranci? Wspierają nas.

- I co? - pytam jednego ze związkowców.

- I pstro. Po krzyku. Goście biorą dużo, a my cieszymy się, że z całej puli coś tam się jeszcze i nam dostanie.

Ostatnio Opera pozyskała "drogiego" emeryta z wpływami.

Ot, i kolejny **TEMAT**. Problem aktorów, którzy wybrali stabilizację. Problem peryferyjnej Polski teatralnej. Do tego - triumf artystycznego populizmu, rewii i biesiad na scenach prowincjonalnych. Zgroza! Na szekspirowskiej scenie nie wystawiono jeszcze Szekspira! A po co? Argument "Szekspir" był ważny na etapie budowy.



Poparcie

To szalenie ważny aspekt w naszych rozważaniach dotyczących godnego kontynuowania tradycji książąt pomorskich.

Zatem - **potrzebny jest nam elekt**. Ten, którego wybierzemy.

Ktoś taki musi cieszyć się poparciem poddanych. Swoją drogą... już widzę, jak elekt przemówi do tłumów z tarasów zamkowych.

- Ej, wy tam, moi poddani! (ani... ani... ni... ni... i...)

No bo jak inaczej mielibyśmy kontynuować retorykę Gryfitów? My, poddani, przełknijmy to słowo, potem nauczymy się bić pokłony, wyrażać skruchę, prosić o łaskę. Kolejnym etapem będzie tworzenie sieci zauszników, intrygantów, lobbystów i hokeistów. No, tych co będą jednych przetrzucali do drugich. Kijami. Może nawet jakieś książęce ORMO uda się sformować? O ile Sejm nie zniesie dwu kadencji. Gdy kreślić to uzupełnienie - trwa debata.

Otóż - znów prowokuję. I puszczam oko. O ile wiem - **nie istnieje w źródłach historycznych wybitnie negatywna postać księcia pomorskiego** opisana jako "osobnik szczególnie łasy na zaszczyty lub hołdy kosztem obywateli i państwa". Nawet Barnim VI, pirat i łupieżca morski, a przynajmniej ten, który wykorzystywał proceder piracki do prowadzenia polityki egoistycznej i ryzykownej, która szkodziła reputacji księstwa i generowała konflikt z tronami hanzeatyckimi i sąsiadami. Ot, chuligan, powiedzielibyśmy dzisiaj. Pozostali książęta najczęściej stawiali w świetle politycznych ambicji związanych z przetrwaniem księstwa i sojuszami, a nie jednoznacznej dbałości o zaszczyty i wizerunek jako cel sam w sobie.

My, współcześnie, aż nazbyt często spotykamy ludzi, którym działania dyktuje „próżność zdobywców honorów”. To reprezentanci tzw. "ciemnej triady" osobowości – **Dark Triad** - trzech cech, które w różnych konfiguracjach wiążą się z dążeniem do władzy, manipulacją i negatywnymi motywacjami politycznymi:

- **Makiawelizm** – skłonność do manipulacji, cyniczne wykorzystanie innych, planowanie w celu osiągnięcia własnych korzyści, bez uwzględniania dobra wspólnego.
- **Narcystyczny temperament / narcyzm** – silne poczucie własnej wyjątkowości, potrzeba bycia podziwianym, pragnienie statusu i dominacji.
- **Psychopatia** – mała empatia, impulsywność, chłód emocjonalny, skłonność do podejmowania ryzykownych działań bez poczucia winy i troski o innych. Są uroczy, charyzmatyczni i potrafią udawać uczucia, co pomaga im manipulować otoczeniem, ale w głębi duszy są egoistyczni i pozbawieni wyrzutów sumienia, co prowadzi do płytkich relacji i nieodpowiedzialności.

Badania wskazują, że osoby o takich cechach częściej angażują się w politykę lub chcą brać w niej udział — nie tylko zgodnie z normami, ale także w sposób ryzykowny lub oportunistyczny.

Pięknie, prawda? No, i takich kandydatów mamy wokół siebie w bród. Wręcz - tylko takich. Żle to wróży sukcesji.

Choć z drugiej strony - wizja nęci. Powybijaliby się chłopcy w kilka godzin! A ja **innego sposobu na sanację środowisk politycznych, także w kraju - nie widzę**.

Może warto byłoby więc już dziś powołać komitet elekcyjny na nowego księcia pomorskiego?

! Ależ byłby ubaw! Pomorski wrestling polityczny!

Facebook wyleciałby w powietrze! Publikowane tu rankingi podlizywaczy i klakierów poszczególnych kandydatów przełożyłyby się na intrygi i zajazdy, ustawki i zwykłe mordobicia z udziałem i pod bac-

nym okiem samych pretendentów. Groźnie to wszystko brzmi....? Ale rzeczywistość jest jednak rozczarowująca. Albowiem tak jak każdy zamek da się otworzyć, tak każdy wynik "poparcia", nawet jeśli osiąga on miarę trzech tysięcy kliknięć tygodniowo - łatwo jest rozłożyć na listę popieraczy. Tak. Według badań - 80% i więcej **to są kliknięcia nie-ziemnie tych samych ludzi. Sympatyków**. Przyjaciele, podwładni, kuzyni, sąsiedzi i potężna grupa - którą facebookowy mechanizm META opisuje jako: **uzależnieni od klikania**.

Uważam, że Facebook powinien wprowadzić dodatkową kategorię - ranking klikaczy, którzy bez względu na treść posta, porę dnia - pokazują, że poziom ich wazeliniarstwa jest niezmienny, a nawet systematycznie rośnie.

Mój postulat w pewnym sensie już jest realizowany. U dołu, w lewym rogu postów - pojawiają się takie kółeczka - bańki z portretkami mi klikaczy. Są? No, zatem sukcesja Gryficka uda się nadzwyczajnie. Lizusów ci u nas nigdy nie brakowało.

Ileż to razy na kartach literatury, w filmach podkreślano, jak dla osobowości chwiejnych duże znaczenie ma nieustanne "karmienie się" uznaniem i poparciem innych osób. W psychologii stan ten określa się mianem: "kruchy fundament ego oparty na uznaniu zewnętrznym". Dobrym przykładem jest „Shattered Glass” (2003) – film oparty na faktach o amerykańskim dziennikarzu Stephenie Glassie, który szybko zdobywał sławę i uznanie, a po ujawnieniu nie tyle kłamstw co konfabulacji (wymyślał sytuacje, które opisywał jak zdarzenia prawdziwe) doświadczył gwałtownego upadku reputacji i utraty poparcia publicznego. To anatomia, hm.... szukam odpowiedniego słowa... To kliniczna analiza procesu samo zakłamywania przede wszystkim siebie. Bohater, zrazu w obliczu pierwszych wątpliwości wobec jego uczciwości zawodowej, zaczyna tworzyć "świat skłaman". Fabrykuje listy, podstawia fałszywe głosy, zakłada fikcyjne skrzynki pocztowe. Reżyser pokazał swoją klasę szczególnie w jednym aspekcie - zapanował nad twarzą bohatera, nad jego mimiką, tym specyficznym "zmrożonym" uśmiechem Glassa. W ten sposób zmusił nas do nieustannego rozważania - **co dzieje się w każdym człowieku za niewzruszonym wyrazem jego oblicza**. Bardzo dobry efekt. Wielowymiarowa makieta kłamstwa i obłudy.

Hm...

Mówią:
ryba psuje się od głowy. A ta, która głowy nie ma? Od której strony się psuje?

Felietonista musi przesadzać. Niekiedy sięga po efektowne porównania, tekst swój stroi akantami metafor. Ale życie miejskie dostarcza tak wiele brukowych argumentów, że nawet Pegazowi trudno wzbicić się ku poetyckiej uludzie. Nieustannie wpada w... poślizg.

Wracam do działalności - kiedyś mówiło się: kulturotwórczej. Dziś: najemniczej. Ten sam model biznesowy co większość właścicieli obiektów kultury, z coraz lepszym powodzeniem uprawia także Filharmonia - sale do wynajęcia. Spodziewam się, że doskonalenie tej metody posłuży się algorytmem z pewnej scenki kabaretowej. Wikary martwi się, że wpływy z tacy są coraz mniejsze (cytuję z ułomnej pamięci).

- Skrócimy msze do dwudziestu minut.
- Ale ja z tacą chodzę przynajmniej 15 minut... - melduje kościelny.
- To wprowadzi się płatności BLIK.
- A co z kazaniem?
- Wywieszę na Facebooku albo wyślę im mailem. I tym sposobem będziesz zbierał tacę trzy raz w ciągu godziny.

Ja wszystko rozumiem... Trudno w ciągu dnia trzy razy zmieniać

wystawę stałą w Zamku. To nie jest multikino. Ale coś zrobić trzeba. Dotacje i pokrywanie strat na niewiele się zdadzą, choć działania takie będą wyjątkowo mocno uargumentowane, na przykład - potrzebą kultywowania pomorskich tradycji. Nikt miecza Bogusława paczkomatem do "zwiedzającego" nie wyśle, ale słyszę, że sakramenty można już tak zamawiać. Co się będą ludzie fatygować - wyśle im się kurierem!

Hm... Złowieszczę? Jakoś mi się jeszcze udaje, ale jeśli prawo Gryfitów miałoby na nowo zapanować w Szczecinie, mój przypadek przyćmi los niejakiej Sidonii von Borcke.

Szczecin (Stettin), 19 sierpnia 1620: ścięcie i spalenie Sidonii von Borcke

„Dnia 19 sierpnia 1620 ... najpierw ją ścięto, a potem spalono na popiół.”

Tu działa podwójna logika kary. Najpierw miecz – szybki finał, formalne zamknięcie wyroku. Potem ogień – już nie tyle „zabija”, co ma zatrzeć ślad, domknąć symbolikę winy, zrobić z ciała „dowód rzeczowy”, który znika w dymie. I jeszcze miejsce: okolice „Rabenstein” (w tradycji szczecińskiej – przestrzeń straceń). To nie była tylko prywatna tragedia. To miało być ostrzeżenie, trwały zapis w pamięci miasta.

Rabenstein lokalizowano w rejonie dzisiejszej al. Wojska Polskiego (okolice nr 69) oraz końca ul. Potulickiej, gdzie stała szubienica, a kamień przy niej miał być związany z legendą o powieszeniu, co tworzyło mroczną historię tego miejsca.

Najpierw odrobina prywaty... Z pewnych względów zawsze chciałem być w niewielkiej części jej cielesności - kobietą. No, może w dwóch częściach. Cóż, zawsze byłem estetą i nigdy się pięknu oprzeć nie potrafiłem, czego skutki obrazuje moja wiecznie zwichrzona siwizna.

A teraz - w kontekście obywatelki Sydoni - wracam do przyszłości, jaka - niewykluczone - mnie czeka, gdy w Szczecinie znów zapanuje władza Gryfitów, ich kodeksy i werdykty. Sidonię von Borcke skazano m.in. za wróżbiarstwo, „wiedzę o przyszłości”, praktyki magiczne, kontakty intymne z - w moim przypadku - diabolicami. Przysnąję się do wszystkich tych zarzutów - bez potrzeby poddawania mnie torturom. W tym ostatnim przypadku, oj, ucierpiałem okrutnie.

Z jednym zastrzeżeniem uwspółcześniającym starą terminologię: wróżbiarstwo, „wiedzę o przyszłości”, praktyki magiczne zastąpiłbym zarzutem o nieprzejednanej postawie felietonisty, komentatora, przesmiewcy i wyjątkowo rzetelnego recenzenta.

Wątku kontynuować nie będę. Już bohaterowie moich opracowań z właściwą sobie troską zadbają o to, aby każdy z opublikowanych przeze mnie tekstów został „żywym ogniem wypalony”. Lecz moja polonistka, niezwykłej wprost skuteczności pedagog, pani profesor Helena Michałowska, wręczając mi na koniec edukacji egzemplarz nieosiągalnego w tamtych czasach *Ulisessa* powiedziała: Horacego znasz na pamięć, więc wiesz, że celem każdego człowieka winno być zawołanie: *non omnis moriar*. Bo przyszlizmy na ten świat nie z przypadku jakiegos, lecz z misją do spełnienia. Tyle tylko, że cel misji musisz sam zdefiniować. A *Uliszes* niech ci towarzyszy w tej wędrówce przez wszystkie morza ludzkiej ułomności. On je zna. Z nim będzie ci różniej. Poza tym - lekko zniżyła głos - innych mórz na świecie nie ma.

Pani Profesor! Nigdy dość podziękowań za Pani wsparcie.



Ach, gdyby te mury mogły przemówić...

Pamiętają Państwo, że przez cały czas mówimy tu o Zamku, udostępnionym po ośmiu latach budowlanych tortur, za bajorńskie wprost pieniądze z nadzieją i wiarą, że te nakłady się nam kiedyś przynajmniej czkawką cofną.

Chwila prawdy. Wybrałem trzy popularne europejskie centra pałacowo-muzealne, miejsca chętnie i obowiązkowo odwiedzane.

Struktura poniższego zestawienia jest prosta: budżet roczny, przychody z dotacji lub sponsoringu i wpływy z biletów.

Proszę zapiąć pasy. Poniższe dane są zaokrąglone.

Wersal (Établissement public du château, du musée et du domaine national de Versailles) – budżet ok. 176 mln € (2024).

- Dotacja publiczna: 35% (ok. 61,6 mln €)
- Sponsorzy/mecenat: 5% (ok. 8,8 mln €)
- Bilety: 50% (ok. 88,0 mln € przychodów).

Tower of London (zarządca: Historic Royal Palaces) – przychody ogółem 134,4 mln £ (rok 2023/24)

- Dotacja państwowa: 0 („no public funding”)
- Sponsorzy: 1,117 mln £ (ok. 0,83% przychodów)
- Bilety (Admissions): 84,949 mln £ (ok. 63,2% przychodów).

Alhambra - arcydzieło arabskiej architektury w Grenadzie (Patronato de la Alhambra y Generalife) – plan dochodów 38,906 mln € (2023)

- Dotacja publiczna: łącznie 1,642 mln € (ok. 4,2%)
- Sponsorzy: brak wyodrębnionej pozycji (praktycznie "0")
- Bilety / „visitas y actividades culturales”: 35,629 mln € (ok. 91,6% przychodów).

Radość (z) życia

Eh... Gdyby w tym nawoływaniu marszałka do kultywowania tradycji przodków, choćby echem tylko wróciły dawne zabawy i pijaństwo, jakie się na ówczesnym zamku odbywały, chędożenie i mordobicie - opisałbym je szczegółowo. Gdyby pod dębowymi stołami leżeli wojowie i hrabiowie, których psy obwąchiwały z obrzydzeniem, bo opilców to psy akurat nie lubią... O! Wyobraźni! Nieś mnie w uludy świata równoległego – w trybie: *back to the future* - abym ujrzał mówcę, przemawiającego do zebranych:

- Zamek Książąt Pomorskich jest wizytówką Szczecina i znowu króluje! Vivat!!

Tłum kmieci, całe pospólstwo, rycerstwo i mnisi wiwatują, a kat wzruszony przemówieniem, wstrzymał nawet ostrzenie topora.

- Dziś jest wielki dzień! 24 października 2025 roku. **Sprowadzamy pełnię życia** do zamku!

Gryfici padają sobie w ramiona. Biskupi błogosławią.

Oszołomiony tą chwilą woj ściska rozproszonego trunkami innego woja.

- Kto ci on? Duch to jaki, mesyjasz czy jak my – woj – co za księstwem stoi? Mądrze gada! Jakoś w boju nigdy go nie widział?

- Nie wiem, kto to, ale widać, że gość ma k... — czkawka przerwała wojowi pomroczną opinię.

- Klasę, woju, chciałeś powiedzieć?

- Nie - kasę, mój druhu opoju. Tnie i szasta europejskim szmalem, jak papuga walca z nut kataryniarza. A najwięcej to w ten most w Siekierkach inwestuje. Filharmonię tam sobie na blaszanym dekle urządził. Narodu cztery autokary za darmo wiezie, żeby się matolectwo ze sztuką bratało. Ot, misję taką umuzykalniającą prowadzi. Sam na te przez siebie organizowane koncerty nie przychodzi. Musi, esteta być z niego nie byle jaki. Bo kto bogobojny słuchałby, jak szprotki w puszcze w rozgrzanym na słońcu oleju śpiewają, he, he, he...

- Nie lubi s...?

- Szprotek, chciałeś powiedzieć, woju?

- Nie, Sztuki, mój opoju.

- Mówią, że k... - czkawka przyzwitka znów znać o sobie dała.

A mówca orację swą ponad czubki drzew posyłał, sięgał tam, gdzie wzrok ludu prostego nie sięga.

- Taki ma zwyczaj, mówi ponad głowami. Widziałeś to woju? W oczy nigdy ci nie patrzy.

- A juści, juści! Tedy gońmy za jego głosem, pędźmy, bracie woju.

Wojowie resztkę piwa z miodem przełknęli i w słuch się obaj zamienili.

- Po ośmiu latach oddajemy do użytku Salę Bogusława i tarasy widokowe, z których rozpościera się szeroki, odrzański pejzaż; wracają tu koncerty, wystawy, spotkania i codzienna obecność ludzi, bo **zamek nie jest po to, by stać w milczeniu**, tylko by pracować dla wspólnoty – jako pamięć o Gryfitach, symbol regionu i żywe centrum kultury!

Wrzawa i radość odurzyła zebranych. Choć mówca ani razu nie użył określenia: Gryfici, co potwierdzają oficjalne źródła, poczucie wspólnoty zebranych rozumiało się samo przez się.

- Zdrowie tego woja! Mądrze ci on gada i bez kartki! I s...s...

- Sensu? Chciałeś woju powiedzieć?

- Nie, s..., głowy... Vivat! Vivat!

Tak, ja widzę rzeczywistości alternatywne. Postrzegam je nie tylko zmysłami. One są częścią systemu światów równoległych, które ja skanuję w czasie i przestrzeni.

O! Choćby w tej Sali Bogusława...

A jak "rządzili się" Gryfici?

W różnych okresach ich przychody ulegały pewnym modyfikacjom. Ale generalnie można przyjąć trzy podstawowe źródła dochodu książęcego.

1) Domena książęca: ziemia i „gospodarstwo państwa”

Fundamentem były dochody z własnych dóbr książęcych: folwarków, wsi czynszowych, lasów, młynów, karczm, praw rybackich itp.

2) Cła, myta i podatki od obrotu: pieniądź z ruchu

Drugą „stałą” były opłaty związane z handlem i komunikacją: cła, myta, opłaty targowe oraz podatki typu *ungeld* (w praktyce: rodzaj podatku/akcyzy/„opłaty konsumpcyjnej” albo miejskiego podatku pośredniego, zależnie od czasu i miejsca). Dobrze to widać w przywilejach: skoro można było kogoś zwolnić z cła i *ungeldu*, to znaczy, że były to realne, systemowe źródła dochodu władzy/administracji.

3) Regalia władzy: sądy i pieniądź (mennica)

Trzecia noga to dochody wynikające z samej władzy książęcej: przede wszystkim jurysdykcja (opłaty sądowe, grzywny, konfiskaty) oraz prawo mennicze (bicie monety — dochód z organizacji obiegu i emisji). O tym, że książęta realnie weszli w „świat monety” i używali gryfa w mennicach, świadczą badania nad monetami zachodniopomorskimi (najstarsze przedstawienia gryfa na monetach pojawiają się ok. połowy XIII w.).

Trudno porównywać zasoby książąt z majątkiem pozostającym w dyspozycji np. marszałka. Różnica polega na tym, że wtedy trzeba się było napracować, żeby fundusze od chłopów, mieszczan i kupcówściągnąć. Dziś - płyną one wartkim strumieniem. Nic, tylko wydawać, wydawać i rękę do całowania za szczodrość podstawiać.

Jakie się tu cuda działy! A jakie dżiać się będą? Przy takim księciu - kłękajcie narody.

Mam opowiedzieć? Niech no tylko lekko zmruję oczy... O, już jestem w wieku XVI... Ach, pysznie się kiedyś tutaj bawiono.

Jeśli ktoś oczekuje po Gryfitach wyłącznie portretów „w czerni i z godnością”, to kronikarze potrafią mu tę pewność bardzo szybko wybić z głowy. Dwór książęcy na Pomorzu był teatrem: trochę liturgii, trochę polityki, a między jednym a drugim — stół, dzban i „towarzystwo”, które lubiło, gdy się dzieje, czego próbkę pokazałem powyżej.

Stoły, które miały swój ciężar gatunkowy

W opowieściach o Gryfitach powraca motyw biesiady jako mechanizmu władzy: ucztuje się, żeby pokazać rangę, związać ludzi, rozładować napięcia, a czasem — przykryć nimi sprawy, których nie da się rozwiązać przy stole obrad. I dlatego ten stół musiał przemawiać każdym elementem: obrus, puchary, zastawa, rytuał podawania — spektakl statusu (nawet gdy menu było „zwyyczajne”). Taką dworską logikę dobrze widać w opartych na odwołaniach do źródeł - opisach „balowania” Gryfitów.

Pijaństwo jako sport kontaktowy

Jeśli mamy kultywować i podtrzymywać tradycję to w każdym jej aspekcie? Oczywiście! Nie bez racji wołał Tewje mleczarz:

And how do we keep our balance?

That I can tell you in one word... Tradition!

czyli

A jak zachowujemy równowagę?

Mogę wam to wyjaśnić jednym słowem... Tradycja!

Alkohol (piwa, miody) nie zawsze był pretekstem do wesołej zabawy. Docho-
dziło do „gorszących scen i bijatyki”.

W podobnych narracjach z przeszłości przywołany jest Barnim VII „Psiarz” jako ktoś, kto „żłopał jeno, bawił się i polował”. To zdanie jest rubaszne, ale ważne: kronikarz nie potępia za samą „radość życia”, tylko za to, że ona zastępuje rządzenie.

Dla równowagi: równie obszerny zestaw opisów przypomina, że mieliśmy też władców uchodzących za wyjątkowo umiarkowanych. O Barnimie VI (w relacji przypisywanej Kantzowowi) pada, że „niechętnie się upijał” i nie lubił widzieć pijanej czeladzi. Innymi słowy: nie „dynastia pijaków”, tylko dwór jak wiele innych — z różnymi temperamentami i odmiennymi normami w różnych czasach.

„Nieporządne życie” i jego rachunek

Gdy mowa o „rozpuście”, warto trzymać się języka epoki, bo on najczęściej

Bardzo mocny, bo chłodny i „urzędowy” w tonie, jest opis z klasycznej historii Pomorza Martina Wehrmanna: o księciu Kazimierzu IX (po objęciu władzy w Rügenwalde/Darłowie) pisze, że „lubił rybołówstwo, ucztę (Gelage) i podróże bardziej niż poważne sprawy”, które zostawiał swoim faworytom. To jest sedno dawnej krytyki dworskiego hedonizmu: nie to, że ktoś wypił — tylko że przez to „oddal ster” ludziom z zaplecza, a państwo płaciło rachunek w postaci konfliktów, długów albo utraty kontroli.

Przepych jako nałóg władzy

W biogramie Philippa Juliusa (Wolgast) pada z kolei, że wykształcił „skłonność do nadmiernego wydatku (übermäßigem Aufwand)”, co miało prowadzić do finansowej zapaści jego rządów. I znów: rubasznosc rubasznoscą, ale kronikarsko-histeryczny pazur jest gdzie indziej — w tym, że dworska zabawa i reprezentacja potrafiły przejść **w systemowy styl rządzenia „na kredyt”**.

Inwentaryzacja

Niewiele wiemy, jak sale zamkowe były niegdyś umeblowane. Pewnie rutynowo, jak obecnie nasze mieszkania. Mebłocienka, stół, parę krzeseł, lustro, jakiś kwiatnik, stolik pod telewizor... E, chyba pod szkatułę z biżuterią. Antykwareczna plotka szczecińska mówi, że w całym zamku nie ma ani jednego oryginalnego mebla z minionych epok.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci, tu i ówdzie, na giełdach trafiały się okazy z oryginalnymi tabliczkami inwentaryzacyjnymi „Schloss Stettin”, ale żaden z „obiektów” nie trafił na swoje dawne miejsce. Niektóre można dziś spotkać w prywatnych kolekcjach.

Z Greifswaldu donoszą, że w tamtejszym muzeum nie mają mebli tak sygnowanych. Ale pewien „czyszczacz” berlińskich mieszkań oferował krzesła z plakietkami dowodzącymi, że pochodzą z Zamku.

Albo inny przykład, ta „Ostatnia wieczerza”. Odlew z brązu (?). Wyniesiona z zamkowego gruzowiska pod koniec lat 40. XX wieku.

— Uuuu! Ciężka...

— Mój pierwszy mąż przyniósł ją do naszego pokoiku. „Będzie nasza, moja królowo” — powiedział. On tak do mnie mówił.... Zdziwiłam się i zapytałam: a skąd to masz? „Z zamku, księżniczko moja”. Potem znosił różne rzeczy. O, ten album ze zdjęciami. Zdjęcia były hitlerowskie, więc je podarłam, ale album — piękny, prawda? (zdjęcie po prawej)

— A meble?

— Poszły do pieca. Gdzie takie kolubryny można byłoby ustawić na naszym poddaszu?



mówi półgłosem. W jednej z relacji o Kazimierzu (synu Bogusława X) pojawia się formuła: „wskutek birbantwa oraz zbytków i nieporządnego życia” miał zapaść na „francuską chorobę”.

Dziś już wiemy, że „francuska choroba” to historyczny eufemizm na kiłę/syfilis. I tu zaczyna się prawdziwa opowieść o dworze: rubasznosc bywa kosztowna nie tylko moralnie, ale też zdrowotnie i politycznie (bo choroba następcy, skandal albo „zbytki” potrafiły mieć realne skutki dla państwa).

„Gelage” kontra „ernste Geschäfte”

Zarzekła się żaba błota (a po uszy w nim siedzi)

Każde „historyczne” miasto nawiązuje do swej przeszłości, buduje legendę, podtrzymuje pamięć o bohaterach, wydarzeniach, o korzeniach i specyfice. My — przez osiemdziesiąt ostatnich lat — przynajmniej to szczerze i uczciwie — nie dość, że nie doceniliśmy dokonania budowniczych miasta to przede wszystkim sami nie wnieśliśmy do materii architektonicznej Szczecina ani jednego elementu na miarę dokonania poprzedników. Choćbyśmy nie wiem jak się nadymali, to pomysł na

to miasto, jego układ, styl, rozmach – **to nie nasza robota**. My natomiast, od lat, klejnoty w otrzymanej kolii, zamieniamy na szlifowane szkiełka z denka różnych butelek. Made by... Us!

Z rosnącym natomiast szacunkiem, od pewnego czasu, odnosimy się do niektórych twórców miasta, jego fundatorów, na różnych etapach rozwoju Stettina. Ba! Zdaniem pewnej prawicowej „publicystyki” – my ich gloryfikujemy. Na przykład uchodzący za dziennikarza pan Piotr Semka, autor szczególnie nierzetelnie opracowanej publikacji „Najdalszy Szczecin” (pod merytorycznym parasolem m.in. szczecińskiego historyka), mówi, że uhonorowanie Hermana Hakkena poprzez nadanie nazwy jego imienia jednemu z rond w mieście to jawny powrót do germanizacji miasta. Źródło tej wypowiedzi: TV Republika.

Ten bardzo „wyszczałowy” temat w jesieni roku 2025, jest – mam nadzieję – tylko propagandową efemerydą. Wspomniany propagandysta jednoznacznie wpisuje się w



papla-
ninę mówiącą o tym, że przypominanie, przywracanie przedwojennych (niemieckich) nazw lub symboli, miałoby oznaczać „neo-germanizację”.

Prawdą jest, że we Wrocławiu, Szczecinie czy w Trójmieście, szczególnie w ostatnich latach, rodzi się wśród obecnie dominującej części społeczności miejskiej jakaś **potrzeba tożsamościowa**. Na przykład, w odniesieniu do planów renowacji wrocławskiego mostu historycznego – ktoś zaproponował, aby przywrócić dawne niemieckie nazwy „Kaiserbrücke”, niemieckie inskrypcje i symbole. Czyli – **powrót do oryginału**. To wywołało falę kontrowersji: przeciwnicy mówią o próbie „odzyskania” niemieckiego charakteru miasta, co dla wielu mieszkańców jest nie do przyjęcia. Albo spory o nazwy ulic i patронów – inicjatywy nadawania imion dawnych mieszkańców-Niemców (architektów, urbanistów z okresu przed 1945) bywają krytykowane jako próby rewizji historii i „rehabilitacji” kulturowej przeszłości, która dla wielu oznacza zwrot ku dawnemu panowaniu niemieckiemu.

Oto przykłady bzdur, manipulacji i demagogii.

Natomiast w badaniach naukowych i literaturze teoretycznej (na przykład w badaniach nad „city-text” / „urban naming politics”) podkreśla się, że nazywanie ulic, renowacja pomników, przywracanie

dawnych nazw – to forma symbolicznej (przestrzennej) rewizji historii, która może być odczytywana jako forma „**nowego zapisu tożsamości**” miasta.

Te wydarzenia i praktyki – jeśli przybierają skalę instytucjonalną, jeśli są motywowane jako „przywracanie spuścizny” – mogą być interpretowane jako próba rewizji zbiorowej pamięci, która dla niektórych – zwłaszcza byłych mieszkańców, repatriantów, ich potomków – ma ogromne znaczenie tożsamościowe. Dla innych – tak, to krok ku przywróceniu symboliki niemieckiej. **Ale nie każde przywrócenie historycznego symbolu/nazwy można nazwać „germanizacją”** – historycy i teoretycy miejsca (toponimii) zwracają uwagę, że nadawanie nazw ulicom, budynkom, przywracanie archiwalnych elementów to często próba uznania skomplikowanej wielowarstwowej historii miasta – niekoniecznie „rehabilitacji Niemców”.

Bogata jest argumentacja w pracach naukowych także polskich badaczy, publikowana w wydawnictwach Cambridge University Press & Assessment. Choćby tekst Ewy Ochman, „Public Responses to the Renaming of Commemorative Street Names in Post-Communist Poland: Daily Lives, Experiences of Change and Sense of Place”

Lecz temat to inny, niezwykle ważki i godny szerszego omówienia. W takim samym stopniu istotny jak sposób odnoszenia się, odwoływania, rewizji i akceptowania naszego stosunku do tradycji Księstwa Pomorskiego. Bo czym jest moje nawoływanie do przywrócenia godności herbowi Gryfitów w porównaniu z neo-germanizacją? Proces ten sam, ale cele ideologiczne odmienne?

Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie doszukał się w głosach prawicowych propagandystów jednak „łyżeczki miodu” w całej beczce dziegciu.

W pierwszym numerze TVSiódemki (tekst „eXplozycja”) pokazałem kilka rzeźb Richarda Hessa, niemieckiego, współczesnego artysty, które w wyjątkowo nieprofesjonalny sposób były eksponowane na zamkowym dziedzińcu wewnętrznym, właściwie w jego zakamarku. Dziś przynajmniej pięć innych prac tego artysty „zdobi” tarasy zamkowe. Hm... Co one mają wspólnego z zamkiem, nami, Gryfitami, tradycją? Próbowałem znaleźć uzasadnienie dla tego zakupu. Nie odniosłem sukcesu. Uznałem, że zadziałała tu dalece „neo-profesjonalna” metoda kwalifikacji dzieł i organizacji przestrzeni z ich udziałem.

- A co to? - pyta pani pana.

- A nie wiem, ale jest takie kolorowe... - ten odpowiada.

To są skutki polityki kadrowej Urzędu Marszałkowskiego. O estetyce miasta, o celowości zakupu takich, a nie innych dzieł sztuki, o aranżacji przestrzeni w zgodzie z tradycją i sztuką – decydują ludzie, którzy bez wątplenia nie są daltonistami. Lubią kolory. Ale uzasadniając zakup tych rzeźb – włożyli sobie, nie nam, różowe okulary na nos.

Osobny na ten temat felieton – na kolejnych stronach.

Wracając do głównej myśli, czyli:

Wizytówka

„Zamek Książąt Pomorskich jest wizytówką Szczecina i znowu króluje, pięknie nad tym miastem, jak przez długie wieki”.

Ot, gadał chłop, co mu ślina na język przyniosła. Wizytówką Szcze-

cina, szanowny panie, jest Dworzec PKP. Pamiętaj, mówco: żeby ubić kogel-mogel, trzeba do szklanki wbić jajo, a nie tylko trzepać kopystką, żeby wokół się spod niej iskry sypały.

Poufnie i na ucho powiem panu, że w sferze szeroko rozumianej kultury — nie stworzyliśmy marki, która nadałaby Szczecinowi powszechną rozpoznawalność w świecie. **Pan osobiście nie uczynił w tym zakresie kompletnie NIC.**

Nie stał się pan współczesnym Hakenem. Każda ze znanych mi inicjatyw, takich jak Morskie Centrum Nauki czy chwałebnie rozbita w pył koncepcja Kwartalu Kultury były podporządkowane idei pozbawionej treści. Ale pełne niewinnej... próżności? A jeśli nawet jakieś merytoryczne zręby się w tych projektach pojawiały, to bardziej przez



pomyłkę lub w celu przykrycia zaiste niecných wyobrażeń o pana koncepcji. Panu szło o gigantomanię, megalomanię, o wystawność, blichtr i fałszywie pojmowany splendor. O szczególnie rozumianą bufonadę Szczecina. Miasta, które ma swojego gospodarza, prezydenta. Pańskiego przyjaciela i sojusznika? I vice versa? Jakiś przykład? A może wspólne zdjęcie w braterskim uścisku, ze łzami w oczach, w duchu wspólnoty czynu i myśli szczecińskiej?

Kpię? Oczywiście! I to jak mocno!

Przypomnę cytowane już "przecieki" ze spotkań z potencjalnymi fundatorami Kwartalu Kultury. Mówili, co się pomysłodawcy Kwartalu marzy: **wielka sala bankietowa, reprezentacyjna i okazała.** Marszałkowska, a nie sołtysia czy wójtowa! Bardziej okazała niż sale w Pałacu Blenheim! To, jak pan wie, wyjątkowo zbytkowna i pełna przepychu rezydencja. W niej, podobno, urodził się Winston Churchill.

- "Nie mamy w mieście godnego miejsca na wielkie wydarzenia!" - cytował uczestnik spotkania.

- Z udziałem pierwszego obywatela - dopowiedział z uśmiechem jego sekretarz.

- No ale Morskie Centrum Nauki ma salę bankietową! - argumentowałem.

- Ale...! Te chmary rozwrzeszczanych dzieciaków... A tu poważne delegacje, Europejczycy, toasty... No i... za mostem. A to jakby już w innym mieście.

- Ma pan rację, sala niczym antresola, o, albo kuszетка w salonie... - musiałem zgodzić się z moimi informatorami. Pisaliśmy o tej kwestii w numerze szóstym TVSiódemki.

Kolejnym majstersztykiem z tego samego źródła jest oczywiście - Teatr Polski. Niech architekci i budowlanczy pale oblizują, ale widzowie w zachwycie nad projektem ale użytkownicy, pracownicy teatru mają swoje na temat funkcjonalności teatru zdanie. Lokalizacja - udręka ze względu na kompletne zakorkowanie komunikacyjne i parkingowe okolicy. Wewnętrzne "schody do nieba" to największa atrakcja dla emerytów. A repertuar? Króluje badziewie populistyczne. Chude komedijki. Żaden ze szczecińskich spektakli nie ma szansy by zaistnieć na innej scenie. O zagranicznej sławie - nie wspomnę.

Doskonale w parze z marszałkowskim widzeniem kultury idzie ramię w ramię prezydent miasta. Ostatnie posunięcie - **sam się tą kulturą zajmę**, pokazuje rozmiar dekadencji. I tupetu.

Brawo.

Ekscytujemy się objazdowymi "biesiadami" literackimi, a inscenizacja na poziomie szkolnego teatryku zwycięża w legendarnym plebiscycie "Bursztynowy Pierścień". Najwyższa pora by zamknąć ten rozdział sumowania dorobku szczecińskiej kultury teatralnej. Jego ranga spadła do poziomu inscenizacji typu: soap opera. Dorobku zaiste dramatycznego - nie ma.

Są "teatralne" imprezy estradowe.

Albo nagroda literacka Jan-tar już tylko swoją wysokością rozśmiesza niż ściąga tu autorów. O plebiscycie na książkę osiemdziesięciolecia nie wspomnę - zwykła hucpa.

Opera? Zipse na artystycznych oparach dawnej świetności. Tak repertuarowo jak i wykonawczo.

A ile przy tym intryg?

Na 750 lecie miasta, Joanna Kulmowa i Marek Jasiński napisali operę - uwaga - o Gry-

fitach! I co? Jedyna opera jaką to miasto z siebie wydało - nigdy nie została wystawiona.

Po-ru-ta.

W nauce — jeszcze gorzej. Szczecin nie ma noblisty, nie ma pisarza, malarza, kompozytora, a tym bardziej — polityka, który wyrósł z tej ziemi i potwierdziłby jej sprawczą, twórczą moc w wymiarze globalnym.

Ale to miasto ogłasza swoje lokalne Naukowe Noble. Takie maciupkie, ale jakie wielkie! A kto stworzył takie efemerydy jak plebiscyt bodaj innowacyjności w lokalnej nauce?

W przeszłości bywało trochę lepiej, ale się skończyło. Dziś jesteśmy zwykłym, niewiele znaczącym miejscem na mapie świata. Urokliwym szczególnie tam, gdzie nie przyłożyliśmy własnej ręki. Każdy to może sprawdzić. Choć może lepiej nie, bo obudzi się w jednym lub drugim ta konkwiastorska natura, którą znamy z piosenki: „*co by tu jeszcze, panowie, co by tu jeszcze...*”.

Szczecin nie ma imienia

Nie kojarzy się nikomu z niczym. Konsumuje swoje budżetowe przydziały, buduje lokalną prężność na funduszach z drakońskich kar wlepianych kierowcom za "niewłaściwe" parkowanie — oklaskując w teatrach na stojąco każde sceniczne byle-co. Na stojąco, bo z tej pozycji szybciej startuje się do szatni i wyjścia.

Chęlpimy się wspaniałym gmachem filharmonii — ale do jej

artystycznego "wnętrza" nie potrafimy się odnieść w żadnej mierze. Kiedy ostatnio powstała i ukazała się w lokalnych mediach poważna recenzja pióra muzykologa czy krytyka muzycznego, wyrosłego w szczecińskiej filharmonicznej „szklarni muzycznej” lub choćby w kopcu na szparagi? Mamy dobrą orkiestrę? Interpretujemy literaturę muzyczną na poziomie Wiedeńczyków czy Berlińczyków? Tamte orkiestry wydają w skali światowej po kilkadziesiąt płyt każdego roku. A my? Piszemy w lokalnych mediach, że najbliższe „coś” w filharmonii będzie wyjątkowe, niezwykle i nadzwyczajne. Ale w stosunku do czego? Tego pismacy już nie dodają.

Najbardziej żenującym aspektem naszej unikatowej tożsamości jest uporczywe powtarzanie, że jesteśmy miastem morskim. Czyli — jakim?

Byliśmy ośrodkiem stoczniovym — to prawda. Ogromnym kosztem: wodowaliśmy statki przy dźwiękach stoczniowej orkiestry. Pamiętam... Orkiestrę miała też — chyba — Dolna Odra? Bywało — grali wojskowi, ale stocznioowcy paradowali ze swoją orkiestrą na pierwszomajowych pochodach. Także strażacy, kolejjarze, licealiści.

A dziś? Ile zakładów ma swoje dęte zespoły muzyczne? Żaden? Nikt nie ma firmowej orkiestry? Ale — przy okazji Złotu Żaglowców — Szczecin organizuje uliczny festiwal orkiestr dętych. Zaiste, widowiskowe przemarsze.

I tutaj groteska: ile spośród defilujących zespołów muzycznych reprezentuje Szczecin — miasto organizatora festiwalu? Dzięki Elżbiecie Marszałek, naszej pani Admirali — jej orkiestra z Zespołu Szkół Ekonomicznych była w latach 90. i później perłą wszystkich formacji marszowych. Dziś rolę perły regionu przywłaszczyli sobie dwaj panowie, bez wątplenia — puzoniści. Ech, chciałoby się was obu zobaczyć, jak maszerujecie koroną Włód Chrobrego, dmąc w swoje puzony. Ale jak znam życie, od razu spletałibyście się tymi ukształtowanymi wysuwającymi rurami, jak dwa biurowe spinacze.

Ostatni (to był chyba ósmy) — Szczeciński Festiwal Orkiestr Dętych o puchar Prezydenta Szczecina wypadł pod jednym względem jako głupawy żart. Nie wystąpił w konkursie ani jeden zespół lokalny. Panie prezydencie? Może więc ufunduje pan Puchar Grzybobrania na Pustyni Błędowskiej albo Konkurs Fryzjerów na Łysej Górze? Czemu nie? Idźmy na całość. Organizuje pan imprezę, w której nie ma pan swoich zawodników!?

A muzyka na Zamku?

Takie skojarzenie... Im więcej karpi wpuścić do małego basenu, tym swoim zachowaniem będą wykazywały większy aplauz dla hodowcy. Z radości wychlapią resztę wody. On, hodowca, podkreśli w przekonaniu, że taką przyjemność swoim rybkom sprawił.

Ale to dygresja, która nie ma absolutnie nic wspólnego ze *standing ovation* czy innymi działaniami naszych zarządców zamkowych.

Ci bowiem osiągają Mount Everest obciachu, organizując noworoczny koncert Royal Strauss Orchestra w odnowionej sali księcia Bogusława X.

— No większej popeliny w życiu nie widziałem — machając ręką wychodziła z zamku para moich znajomych. Później, w rozmowie telefonicznej wróciliśmy do wydarzenia. — To było takie historyczne "disco-klepisco" (poza szpagatem tancerki, chyba dwa razy próbowanym, co groziło ponownym zawaleniem się stropów zamkowych) nie dostrzegłem elementów broadwayowskich w gnieździe Gryfitów.

— A na co liczyłeś? — pytam znajomego.

— Dobrze pytanie... Wiesz co? Mamy w sobie jakiś taki... mechanizm. Wychowano nas w rygorze wręcz uczestniczenia w imprezach kultural-

nych. Mechanizm ciągle działa. Ale takim koniom jak my, zamiast owsa, plewy się w koryto sypie. Nie istnieje żaden system kwalifikowania i odrzucania chałtury od propozycji wartościowych.

Zasmuciłem się...

To w tej sali, chyba już dwa razy Mischa Maisky grał suity Bacha, to tu Ryszard Ulewicz grał w 1971 roku Hamleta. Siedem razy byłem na sali, siedem egzemplarzy Hamleta kupionych w antykwariatach miałem z autografami aktorów tego bez wątpienia najważniejszego i najbardziej wybitnego przedsięwzięcia teatralnego w Szczecinie. Gdzie? Na Zamku Książąt Pomorskich.

TO ZOBOWIĄZUJE! Ale kogo?

Zdzisław Sośnicki, dziennikarz ówczesnego "Głosu Szczecińskiego", bardziej nieustrudzony dokumentalista niż recenzent teatralny, pozostawił nam cenny zbiór swoich tekstów. W tomie "Z sezonu na sezon — Teatry Dramatyczne Szczecina w latach 1961-1980" pisał:

ków wyrazu dla tym celniejszego, bardziej sugestywnego przekazania niektórych problemów, nad którymi zamyslił się Wyspiański."

„Hamlet” w zamku szczecińskim był niezwykle przejmującym przedstawieniem, rodzajem surowego moralitetu. Gruda posłużył się przekładem Jerzego S. Sity, wprowadzając kilka zmian w układzie tekstu. Przy pomocy scenografii Maksymiliana Szoca chyba z maksymalnym rezultatem wykorzystał architekturę Sali Bogusława. Akcja dramatu rozgrywała się prawie w całej sali, między widzami i poza nimi. W środku sali ustawiono niewielkie podium z prostą, dębową ławą. Obok, w pierwszym rzędzie widowni, siedzieli od początku w pstrych kostiumach aktorzy mający odegrać przed parą królewską swoje widowisko. Na scenie w końcu sali pojawiali się król i królowa ze swoim dworem. W ten sposób akcja rozgrywała się na środkowym podium, na scenie i na przestrzeni między podium a sceną. I również wysoko w krużgankach, skąd ukazywał się Hamletowi duch ojca, po których biegał, aby się z nim spotkać, gdy w tym czasie aktorzy siedzący wśród publiczności opowiadali półgłosem o morderstwie dokonanym na ojcu Hamleta. Tak, jak bylibyśmy na miejscu wydarzeń i słuchali opowieści ludu o krwawych tajemnicach królewskiego zamku. Po krużgankach spaceruje również później Hamlet z książką w ręku i to jest tak samo, jak u Szekspira. Przedtem jednak jeszcze, na początku przedstawienia padają słowa, które Szekspir umieścił na końcu utworu. Ktoś pyta, co się w Danii dzieje, a Horacy wyjaśnia, opowiadając tragedię Hamleta. Widzowie zostają zatem uprzedzeni o tym co zobaczą w teatrze. Przedstawienie stanowiło jak gdyby rozwinięcie i ilustrację opowieści o Hamlecie, o otaczającym go złu, które stało się pułapką dla morderców i ofiar. Właśnie dzięki temu „Hamlet” na scenie zamkowej miał wymowę moralitetu, nie stając się mniej przejmującym — wręcz odwrotnie. Jedną z najmocniejszych scen rozegrał Gruda

170

To działo się w tych wnętrzach... Mój Boże...

Jak jeszcze można zdeprecjonować miejsce niegdyś rzeczywiście godne? Otóż, jak widać — można. Dla pana marszałka Olgierda Geblewicza nie ma w tym względzie rzeczy niemożliwych. Na zamkowym "ołtarzu sztuki", w pierwszym koncercie nowej ery Zamku Książąt Pomorskich, w styczniu 2026 roku, pod jego honorowym patronatem wystąpiła orkiestra i soliści, w nazwie — królewska.

Proszę sprawdzić, kto się pod tym określeniem kryje? Pan Olgierd Geblewicz udowodnił, że każdą tekturę i październik można nazwać najdelikatniejszym jedwabiem. Tak, soliści to zawodowi estradowcy, znani m.in. z programów rozrywkowych. Układy choreograficzne? Tak, kiedyś widziałem jak pod dużym ciśnieniem wpuszczono wodę w stertę

splątanych węży strażackich. Mocny to był widok. Ale w mojej pamięci zbladł wobec heroicznych wysiłków tancerzy, aby występ zakończyć szpagatem. Można było mieć obawę, że przy kolejnej probie - znów runie nam zamkowa budowla.

Ranga honorowego patronatu marszałka nad tym koncertem skutecznie przeczy słuszności teorii Newtona związanej z prawami dynamiki i teorią grawitacji. W nich mieści się kwestia siły ciężkości. Ta siła marszałkowska - nic nie waży.

Janko muzykant z Pomorza

W zamkowych murach Szczecina muzyka była jednym z języków władzy. Dźwięk instrumentów był tu zawsze obecny: rozbrzmiewał przy uroczystościach, nabożeństwach i ceremoniach.

W późnym XVI i na początku XVII wieku da się tę tradycję nazwać profesjonalną: Philipp Dulichius – o którym mówiło się, że to pomorski Orlando di Lasso - kompozytor z przełomu renesansu i baroku – przez dekady działał w Szczecinie, a wśród jego obowiązków było także kierowanie muzyką „na dworze książęcym” Jana Fryderyka, Bogusława XIII i Filipa II.

Dwór miał więc swoje brzmienie: kształcone, organizowane, używane do budowania splendoru – muzyka jako etykieta, jako propaganda, jako powaga chwili.

Odnowiony Zamek otwiera skrzydło północne z rozmachem, ale muzyka – ta „zamkowa”, książęca, ciągła – bywa w tym planie raczej gościem niż domownikiem. W oficjalnym programie wielkiego otwarcia obok zwiedzania, fotobudki czy „wspólnej nauki belgijki” pojawia się co prawda koncert (niedzielny koncert południowy w Sali Księcia Bogusława X) i to w wykonaniu zespołu, który wprost nazywa siebie „kapelą dworską” i deklaruje kontynuację tradycji muzycznych dawnego Szczecina.

Deklaruje...

Mowa o Consortium Sedinum. W ciągu minionych pięciu lat dał – jeśli zapowiedzi zostały zrealizowane i upublicznione w mediach – około 25 koncertów (m.in. w Muzeum Narodowym przy Wałach Chrobrego oraz Pałacu w Przelewicach). W repertuarze – muzyka dawna, ale czy szczecińska? Na otwarcie Zamku – tak: „Muzyka na dworze Gryfitów”. Koncert – obowiązkowo bezpłatny, jak anonsują organizatorzy, bo finansowany w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Pomorza Zachodniego 2021-2027.

Te fundusze to taki OIOM. Za każdą cenę, byle co, wręcz desperacko i bez żadnych perspektyw na sukces ozdrowieńczy czy rozwojowy, topimy pieniądze w przedsięwzięcia, które same nigdy by się nie utrzymały przy życiu. Ta sfera działania Samorządu powinna być już dawno opisana i skierowana do prokuratury z wnioskiem o podejrzenie popełnienia przestępstwa wobec Historii i funduszy europejskich. Nikt na koncerty na moście w Siekierach i na zamkowe granie nie wykupiłby biletów w cenie europejskiej.

Wspomniany zespół nie może poszczycić się bogatym albumem profesjonalnych recenzji. W ubiegłym roku muzycy nagrali pierwszą wspólną płytę z innymi wykonawcami.

Oczywiście, ktoś odpowie: „Przecież Zamek organizuje koncerty, nawet letnie plenerowe, i to w różnych gatunkach”. To prawda.

Tylko że w logice dziedzictwa różnica jest zasadnicza: co innego koncerty na zamku, a co innego zamek jako instytucja, która gra swoją własną historię. Dawniej dźwięk nie był ozdobą dziedzińca – był rytmem dworu. Jeśli dziś w planach odnowionego Zamku nie ma wyraźnego, stałego „kręgosłupa” tej tradycji (programu, który regularnie wraca do repertuaru i praktyk muzycznych epoki Gryfitów, a nie tylko od święta je cytuje), to odzyskane mury mogą znów okazać się piękną scenografią... tyle że bez własnego głosu.

Aby dolać jeszcze jedną łyżkę dziegciu do tej beczki zamkowego miodu, jednym słowem przypomnę wielką, muzyczną osobowość tego obiektu – dyrektora Eugeniusza Kusa. Kim dla muzycznego zamku był pan profesor – starszym przypominać nie trzeba. Młodzi – nigdy – dzięki takiej polityce kulturalnej marszałka – nigdy się nie dowiedzą.

I choć z panem Dyrektorem nie zawsze mi było po drodze, szczególnie w okresie wykorzystywania zamkowego dziedzińca na choćby koncert Jose Carrerasa, to za zaszczyt sobie poczytuję, że także w tej jak i w każdej innej sprawie, w okresie mojej telewizyjnej aktywności – współpraca muzyczna z Zamkiem była na najwyższym poziomie.



Iskry sypały się na linii Warcisław Kunc i Eugeniusz Kus. Ale muzyczne efekty tamtych fajerków i sporów nigdy nie będą osiągalne dla obecnej ekipy administratorów obiektu. Zamek bowiem to miejsce dla książąt, dla wielkich osobowości, kreatorów, nie zawsze bogobojnych i nierzadko kontrowersyjnych. Ale to najlepszy matecznik dla dzieł godnych i wartych pamiętania.

Zamek przez minione lata był miejscem międzynarodowych festiwali malarstwa krajów socjalistycznych, to tu regularnie, w niedzielne popołudnia odbywały się "Koncerty przy świecach i kawie". Kamery Kanału 7 transmitowały z dziedzińca spektakularne inscenizacje "Carmen" i "Trubadura". Tu - na wielkie otwarcie miasta na świat - koncertowali Rick Wakeman z synem Adamem, wspólnie z Ryszardem Leoszewskim i jego Arfikiem. Był tu teatr flamenco Paco de Lucii. Dyrektor Pietras powiedział wtedy do kamery, że poziom szczecińskiej "Carmen" jest nieosiągalna dla sceny narodowej, którą wtedy kierował.

Dziś Zamek nie ma Hanzeatyckiego Festiwalu Muzyki, nie stworzył wielkiej platformy prezentacji malarstwa krajów np. nadbałtyckich. Nie podejmuje prób książęcej dominacji nad historycznym dorobkiem całego Pomorza. A to byłoby coś!

Przywróćmy Szczecinowi rangę miasta stołecznego Gryfitów. Prawda, że to dobrze brzmi? Ale do takiej misji potrzebny jest wizjoner. Ja jestem jakoś dziwnie spokojny, że nikt taki się nie znajdzie. Dlaczego? No właśnie... Z tego samego powodu, który sprowadził Muzeum Narodowe do poziomu magazynu z zabytkami.

Zamek pozostawał elementem krajobrazu miasta, jako bryła pośród innych wysokich budowli.

Jakieś fatum? Uleciało z niego książęce dostojeństwo. Wróci?

Wielki finał

A skoro już tak tym dziegiem szafuję...

Nie ma publicznie udokumentowanej informacji, że prezydent Szczecina lub jego przedstawiciel oficjalnie uczestniczyli w ostatnich uroczystościach jako goście honorowi. A czy został zaproszony wojewoda?

W programie artystycznym otwarcia miała swój udział Opera na Zamku? Nie? Finansowana ze środków miejskich instytucja, urzędująca w tym samych murach, pardon - zignorowała zamkową imprezę czy to Zamek nie dostrzegł opery? Nie uznał jej za godną do udziału w świętowaniu?

Zapytaliśmy o te kwestie: dyrekcję zamku, pana marszałka, prezydenta i wojewodę.

NIKT nie potwierdził, że wielkie otwarcie było "naszą" wspólną, szczecińską sprawą. Bo na poziomie reprezentacji miasta, regionu i nas, mieszkańców trwa jakaś plemienna awantura. Fochy, popisy nabzdyczenia, parada próżności. Nie ma frontu szczecińskiego. Nie ma szczecińskiej myśli i troski gospodarzy o ten region. Trwają zapasy słabeuszy.

Jedynym dla mnie usprawiedliwieniem nieobecności władz miasta i wojewody byłoby podejrzenie, że mógłby ich spotkać opisany wcześniej los Barnekoval. Domniemanego spiskowca i zamachowca, który - rzekomo - miał pozbawić księcia jego władzy. Spotkało go - jak pamiętamy - przeciągnięcie przez miasto i łamanie kołem. Bynajmniej,

nie rowerowym. Więc może to i dobrze, że organizatorzy uroczystego otwarcia zamku nie zaprosili gości, których, zgodnie z tradycją - musieliby torturować,

Czy w Szczecinie, kiedykolwiek jeszcze instytucjami kultury oraz nauki będą zarządzali fachowcy, ludzie wybitni kreatorzy, w dosłownym tego słowa znaczeniu - artyści? Tak.

Dziś - ich miejsce zajęli podwładni m.in. pana marszałka. A to za mało by być kimś kompetentnym.

I na koniec...

Mój nauczyciel rysunku odręcznego zawsze nosił w butonierce czerwoną kredkę. Gdy oglądał nasze prace, szczególnie podczas szkicowania z natury, opierał brodę na lewej pięści i się "dziwował".

- No, dobrze, dobrze... I tu poprawnie, i te proporcje właściwe, także perspektywa uchwycona, głębia, gradacja, przenikanie światła i cienia... No, dobrze, dobrze, tylko czemu w całości to jest takie do d...

Następowała chwila kłopotliwej ciszy. Nie zaliczyłem!? Nagle pan Białas chwycił tę swoją czerwoną kredkę i ruchem szybszym niż gest samuraja naniósł na rysunek jedną kreskę.

- O! I teraz to wreszcie jakoś wygląda! - wołał, wyraźnie zadowolony.

Stawaliśmy wówczas przed sztalugami i... nie byliśmy w stanie odmówić racji naszemu nauczycielowi. Jedna kreska sprawiała, że rysunek „ożywał”. Przykuwał uwagę, nawet frapował.

Podobnie jest teraz z naszym Zamkiem. Stoi, jak taki chochoł na wzgórzu, oświetlony, uschodowiony na skarpie i... i czegoś mu brak.

Wiem! Chorągwi! Sztandaru! Wielkiego i powiewającego na wietrze, a w nocy - podświetlonego - płótniska. Ten jeden szczegół, maleńki element, ożywiłby całą panoramę. Ale skąd wziąć Treść?

Tylko - po co? No, choćby tylko po to, by nie było tak, jak mówił profesor Białas, że wszystko jest niby poprawnie, ale ogólnie to do d...

Zamek był ośrodkiem władzy książęcej do wygaśnięcia dynastii Gryfitów (1637). Po zajęciu przez Brandenburgię-Prusy został zmilitaryzowany i zdegradowany funkcjonalnie. W XIX wieku (a więc także w epoce cesarstwa) Zamek był już w dużej mierze przebudowany pod potrzeby państwowej administracji, a nie dworu książęcego. Po przejściu Stettina do Prus (1720) Zamek pełnił funkcje garnizonowo-administracyjne (m.in. dla urzędów i instytucji państwowych). Po roku 1900 (źródło mówi: „po przeniesieniu urzędów”) Zamek stracił zasadniczą funkcję administracyjną, bo władze i urzędy zostały z niego wyprowadzone.

W 1925 rozpoczęto prace renowacyjne, ale już w 1926 je przerwano. W jednym z przewodników turystycznych opisano go jako „ogłocony z dostojeństwa”, „bez wyrazu i charakteru”, „pozbawiony misternych zdobień szczytów i wykuszy z okresu renesansu”. Ot - prawie jak koszary.

Podczas alianckiego nalotu na Stettin w 1944 roku Zamek został ciężko uszkodzony. Straty substancji budowlanej szacowano na ok. 60%.

W latach 1958-1980 trwała odbudowa (w stylu renesansowym, w oparciu o dawne przedstawienia).

Ale Zamek nigdy już nie odzyskał statusu realnego centrum polityczno-kulturalnego Pomorza.

Później, aż do dziś jest tylko ozdobą a nie centrum regionu. Ba! Księstwa! Pojedyncze wystawy, okazjonalne wydawnictwa, nawet królewska wiedeńska gala z tańcami nie zmieni pałazdzierzowego charakteru tego obiektu i instytucji.

Czekamy na księcia, dla którego ten Zamek miasto Szczecin zbudowało. Miasto stołeczne, bogate i dumne. Książęce.



Pojawienie się rzeźb Richarda Heßa w Zamku Książąt Pomorskich, a następnie zakup przynajmniej kilku z nich — dziś eksponowanych na tarasie widokowym — nie wywołało poważnej debaty publicznej. Wśród części Szczecinian budzą one jednak irytację.

W medialnym szumie dało się wyłowić uzasadnienia Zamku:

- Heß należy do „grona najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy europejskich” — to opinia dr hab. Barbary Ochendowskiej-Grzelak (US).
- Jego prace mają „silny wydźwięk humanistyczny”, potwierdzają pacyfistyczną postawę autora (potępienie wojen i konfliktów).
- Ekspozycja w przestrzeni Zamku (w otoczeniu renesansowej architektury) ma być „trwałym źródłem refleksji” dla kolejnych pokoleń.

Czuję bezradność i zwykłą wściekłość zarazem — bo zwykłą bezcelność uznajemy za racjonalną, „udokumentowaną” argumentację.

Otóż — z najwyższym szacunkiem dla dorobku artysty — teza o „najwybitniejszym rzeźbiarzu europejskim” powinna mieć pokrycie w mierzalnych wskaźnikach: w randze obiegu instytucjonalnego, w recepcji krytycznej i w realiach rynku. Tymczasem na rynku aukcyjnym prace Heßa pojawiają się zwykle w widełkach od kilkuset do kilku tysięcy euro, a wyższe wyceny nie zawsze znajdują potwierdzenie w sprzedaży. Jeśli więc instytucja publiczna płaci wielokrotnie więcej, musi umieć pokazać, dlaczego: jaką edycję, jaki odlew, jaką proveniencję, jakie koszty instalacji, jaki punkt odniesienia i jaką metodę wyceny przyjęło.

Nawet jeśli porównujemy Heßa nie do rekordzistów, lecz do figuratywnych rzeźbiarzy „środka obiegu”, różnice potrafią sięgać rzędu 10x–100x. A to oznacza, że sednem sporu nie jest gust, tylko kryteria i przejrzystość.

Jeśli Zamek mówi o „najwybitniejszych”, powinien wskazać mierniki: obecność artysty w obiegu muzealnym, w historii sztuki i w przestrzeni publicznej o znaczeniu ponadregionalnym. Dla porównania: niemiecki rzeźbiarz Fritz Koenig ma realizację globalnie rozpoznawalną — „The Sphere” („Große Kugelkaryatide N.Y.”) z placu WTC w Nowym Jorku — co pokazuje, jak wygląda „międzynarodowa skala” w praktyce.

Kwestia druga: „silny wydźwięk humanistyczny” i „pacyfistyczna postawa autora”. Proszę zauważyć, że to argumenty z gatunku fraz-universów. Takie uzasadnienie da się przykleić do bardzo wielu dzieł i bardzo wielu artystów, bez realnego sprawdzenia. Jeżeli mają stanowić uzasadnienie zakupu, trzeba je wykazać analizą konkretnego dzieła, jego kontekstu i recepcji — a nie zdaniem z szablonu. W przeciwnym razie „humanizm” staje się wyłącznie bezpieczną etykietą.

Kwestia trzecia: „trwałe źródło refleksji”. Jak wyżej... Taka formuła przenosi dramat wojny w komfortowy rejestr „kontemplacji” i „refleksji”, czyli w bezpieczną ramę odbioru. Czy „refleksja” nie staje się tu wygodnym alibi — słowem, które usprawiedliwia prezentowanie zbrodni w atrakcyjnej, muzealnej oprawie? Czy nie grozi nam sytuacja, w której przemoc zostaje „oswojona”: zamienia się w temat do przemysłów, zamiast w doświadczenie domagające się jednoznacznego osądu?

Sztuka bywa wieloznaczna, ale instytucjonalne uzasadnienie nie może być dowolne. Jeśli o randze dzieła i sensie zakupu mają rozstrzygać frazy-universa („humanistyczny wydźwięk”, „trwałe źródło refleksji”), to nie jest to kryterium — to mowa-trawa: bezpieczna, odporna na sprawdzenie, dobra „dla świętego spokoju”. A tam, gdzie nie ma kryteriów i przejrzystości, łatwo ocenę zastąpić legitymizacją decyzji już podjęte.

Mleko się rozlało — rzeźby kupiono. Pojawiająca się w doniesieniach informacja, że rodzinie artysty zależało, aby prace znalazły się w Szczecinie, nie jest argumentem merytorycznym. Sympatia bliskich ani dobra wola rodziny nie zastępują wyceny, porównania rynkowego i

Braz gipsem uzasadniony

ideowym

jasnych kryteriów, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze publiczne.

Nie tylko osoby podpisujące umowę zakupu, ile także nadzór nad tą transakcją należałoby przywołać do odpowiedzialności: kto i na jakiej podstawie uznał, że argumenty są wystarczające; kto porównał ceny; kto zatwierdził metodę wyceny; kto wziął odpowiedzialność za standardy mecenatu.

Ale... Wołanie na puszczy... Kogo obchodzi jakiś zamek i rzeźby za około pół miliona złotych? Uścisk, medal, kwiaty, brawa — i kręci się karuzela szczęścia wynikająca z niekompetencji oraz braku nadzoru merytorycznego nad lokalną administracją.

PS Zastanawiam się, dlaczego publikuję ten tekst. Dlaczego zajmuję się sprawą, która nikogo nie interesuje — nikt się nią nie wzruszy, nie zareaguje, nie poprosi o wyjaśnienia, a nade wszystko: nie wykorzysta jej do tworzenia mechanizmów, które uniemożliwią takie manifestowanie szczecińskiej głupoty.





Herb jak... garb

Gabinet? Nie...Hm... — może bardziej... gabinecik? Też nie...

To była klitka

Wąski kikut pokoju: może na szerokość futryny okiennej, długości z dwa i pół metra. Gabinet zastępcy redaktora naczelnego Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie — redaktora Tadeusza Stoińskiego. Kiedy? Pierwsze lata 70. XX wieku.

Otwierając drzwi, odruchowo pochylałem głowę. Nie dlatego, że sufit był niski — tylko dlatego, że z tej "skrytki" wydobywał się gęsty tytoniowy dym. Redaktor namiętnie palił „Giewonty”. Ale ile!

Krzesło po lewej stronie. Na prawej ścianie biurko. Redaktor zazwyczaj siedział na lekko odsuniętym krześle, z głową opartą o pięść spoczywającą na blacie. W prawej ręce — nieodzowny papieros. A na biurku? Głośnik i aparat telefoniczny. Oprócz tego dwa krzesła — każde z innej rodziny. Dla autorów.

Rano redaktor przesłuchiwał audycje, które miały pójść na antenę po południu.

Unosił słuchawkę, wykręcał numer... (Hm. Czy to było 120?). Zgłaszał się technik amplifikatorni w willi przy Wojska Polskiego (bo nie dodałem, że ta klitka mieściła się w redakcji przy Niedziałkowskiego 24). Czy redaktor się odzywał? Nie sądzę. Nie musiał. To była odwieczna rutyna: technik wiedział, że dzwonek telefonu oznacza start odtwarzania kolejnej audycji.

Słuchaliśmy w bezruchu. Jedynym elementem „żywym” w tym gabineczku były kłęby dymu. Starsi koledzy mogli zapalić przy redaktorze. My — to znaczy ja — chyba się nie odważyłem.

Dlaczego o tym piszę?

Bo to wspomnienie mile — i z morałem, a raczej z przestaniem. Nie: nie bałem się, że audycja zostanie odrzucona, że trzeba będzie coś wyciąć. Redaktor ożywał się w innym momencie: gdy z głośnika płynął muzyczny przerywnik — a tym bywała piosenka anglojęzyczna.

Był czujny. I reprezentował wysoki stopień legalizmu — a może po prostu egzekwowania zasad.

Zasadą zaś było granie muzyki polskiej w polskim radiu.

— Kocie, leciałeś kiedyś samolotem?

To pytanie miało wtedy sens. Latali nieliczni.

— No... nie.

— A gdybyś był pilotem i gdybyś nie miał mapy — to jak rozpoznabyś, nad terytorium którego kraju przelatujesz?

Polemika nie miała sensu.

- Włączyłbyś, kocie, radio, i ustawił na najmocniejszą stację. I usłyszałbyś polską piosenkę... My jesteśmy polskim radiem - mówić półgłosem szeptem, ten jeden z pierwszych speakerów szczecińskiego radia.

A tak bardzo chciało się wtedy zagrać Beatlesów, Stonesów, Cliffa Richarda... Szczególnie w audycjach dla młodych słuchaczy. Ludzie nie mieli płyt, nie istniał streaming. Było radio. A to musiało być polskie. Uchodziły francuskie piosenki, czeskie, węgierskie — tak. Locomotiv GT — to przechodziło. Ale... z umiarem.

Narodowy charakter radia oznaczał identyfikację. Był oznaczeniem. Oczywiście znakiem. Herbem. Wreszcie - godłem.

Jak w wierszyku o Polaku miałym: „Jaki znak twój? — Orzeł Biały”.

A dziś? Przebiegam wzrokiem przez miasto — przez centrum i przedmieścia, przez zamkowe komnaty, kościoły, urzędy. I pytam bez ceremonii: gdzie są wizerunki Gryfa Pomorskiego? Na wieżdzie do miasta? Na wylocie? W przestrzeni, która wychowuje wzrok i pamięć?

O, pamiętam. Przy placu Lotników, w latach 50. i 60. układano dywany kwiatowe z wizerunkiem Gryfa Pomorskiego. I co — i koniec? Godło w kwiatach, na chwilę, sezonowo, jak dekoracja na dożynki?

Kilka dni temu objeżdżam osiedle Słoneczne. Po lewej miałem jakieś baraki Pogoni. I na ścianie szczytowej pierwszego — przestraszyła mnie karykatura Gryfa. Innym razem, tam gdzie Okulickiego wpada w rondo przy Ku Słońcu i Derdowskiego — po lewej stronie — kolejna poczwara. Ta ze zdjęcia „powyżej”.

Nie, nie obrażam, nie wyśmiewam i nie szydę z tych „twórczych” przekształceń MOJEGO RODOWEGO ZNAKU — Gryfa Pomorskiego. Po prostu się wstydzę. I nie umiem sobie wytłumaczyć, gdzie i kiedy,

i kto pozwolił na taką — nazwijmy rzecz po imieniu — profanację naszego godła.

Pewnie było jak zwykle... Ten wzruszył ramionami, tamten machnął ręką, inni udawali, że nie widzą. A rozbuchana wyobraźnia naściennego malarza ruszyła z pazura. Z piskiem mózgowych opon po ścianach domów. Przykład idzie z najwyższej, niskiej góry.

Patrz na to ujęcie z Facebooka. Jest powód do dumy? I to jaki?

Ale kto komu w tym mieście gloryfikującym badziewie - bezkarności zabroni? Za unijne pieniądze machnęliśmy sobie kotka. Dzieci lubią rymować: kotka-młotka. Nie wiem tylko, czy arcybiskup poświęcił

ten fresk? Za 500 lat będzie równie sławny jak malowidła z Kaplicy Sykstyńskiej?

Nauka dowodzi, jak wielkim — jeśli nie największym — szkodnikiem w środowisku wolnej przyrody jest kot. Koty zdecydowały o losie świata ptaków, naszego świata. Morują je instynktownie, bezmyślnie — bo taka jest ich natura. Tyle że o tym trzeba wiedzieć. Trzeba to rozumieć. Trzeba temu przeciwdziałać. Aż dziw, że samego "fundatora" tego arcydzieła nikt jeszcze na żadnej ścianie nie namalował. Fundator — to określenie umowne. Urzędnika, który

zdecydował w naszym imieniu, że miastu potrzebny, nieodzowny jest taki fresk... I zapłacił za to z unijnych środków.

GS24 napisał: *wielu odwiedzających miasto przyjeżdżało tylko po to, by zobaczyć słynnego kota z Kaszubskiej*. Chciałbym poznać choć jednego, który z Przemysła jechał po to by z zachwytem, uklęknąć przed murem.

Marzy mi się Najwyższa Izba Kontroli Zdrowego Rozsądku.

Taki koci spaślak to wielka inspiracja. Uskrzydla nasz Ciemnogród. Ulatującego w niebo ptaka nikt nie namalował. Z podpisem: *per aspera ad astra*. Po co nam trud, po co gwiazdy, skoro siedzimy na unijnym groszu.

Ale chwilę później natknąłem się na inne zdjęcie. Wiara wróciła w mą chromą duszę.

Szanowny Panie — zauważył pan? Ma pan za sobą... Gryfa! Mając w pamięci redaktora Stoińskiego, przypowieść o samolocie, a teraz to zdjęcie - chcę się upewnić, że wzorem bociana przynoszącego dzieci, pan został nam zrzucony przez powracającego do nas, zapomnianego gryfa? Nie zawiedzie Pan "dostawcy" i zadba o jego książęcy status na Pomorzu?

Tu muszę uporządkować sprawę, bo ona jest ważna nie tylko dla językoznawców.



„Godło” nie jest tylko „obrazkiem”. Tradycja etymologiczna (patrz: Brückner) prowadzi je w stronę czeskiego *hodlati* — „postanawiać, zamierzać” — i dalej ku temu, „na co się godzimy”: ku umowie wspólnoty, ku znakowi rozpoznania, ku zawołaniu. Godło jest więc znakiem umownym — takim, który działa tylko wtedy, gdy wspólnota naprawdę go uznaje i odczytuje. A herb? Herb jest konstrukcją: tarcza, barwy, reguła, porządek — cały system, nie sam znak. Herb to forma, godło to figura. I dopiero razem mają sens.”

I teraz sedno felietonu — to, co najbardziej boli.

Myśmy wygnali znak z życia publicznego.

Godło i herb przestały być czymś, co porządkuje pamięć, uczy ciągłości, mówi „stąd jesteś”. Zastąpiliśmy je logotypem, a logotyp — w razie potrzeby — zastępuje się kolejnym logotypem. Herb ma być jak kręgosłup: niewidoczny, ale nośny. U nas jest jak garb: przeszkadza, więc się go zamiata pod płytę chodnikową, a potem maluje po ścianie w wersji „graffiti-riffifi”.

Bo godło nie jest po to, żeby było „ładne”. Ono ma być obowiązujące. A nie tylko - stać przy wejściu do miasta, na urzędzie, w sali obrad, w przestrzeni, w której człowiek dorasta i uczy się wstydu — tego zdrowego, który powstrzymuje rękę przed przerabianiem gryfa na kreskówkowego potworka.

Jeśli państwo i samorząd nie potrafią obronić własnego znaku, to czego właściwie potrafią bronić? Budżetu? Procedury? Naszego imienia, interesu?

I wreszcie: brak godła w codzienności to nie jest problem estetyczny. To jest problem polityczny i wychowawczy. Znak wspólnoty jest jak język: jeśli go nie używasz, nie tylko go tracisz — odbierasz sobie zdolność myślenia wspólnotowego. A wtedy już wszystko wolno: byle farba, byle ściana, byle „kreatywność”.

Herb jak garb. Godło jak mem. Miasto jak przypadek.

Godło nie jest dekoracją ani polem do „artystycznych interpretacji”. Jest znakiem umowy — tej, która mówi, kim jesteśmy i skąd jesteśmy. Jeśli pozwalamy, by Gryfa zamieniano w karykaturę, to znaczy, że wcześniej zgodziliśmy się na coś gorszego: na rozpad znaczeń. A wspólnota bez znaków nie znika z dnia na dzień — ona po prostu przestaje wiedzieć, dlaczego jeszcze jest wspólnotą.

I kiedy stawiałem kropkę i już wysyłałem ten tekst do składu gazety — gruchnęła wiadomość, że Teatr Pleciuga postanowił zmienić swoje logo. Tę laleczkę, która dzień i noc, w deszcz i (kiedyś) śnieżną zawieruchę — umocowana nad wejściem do teatru — w 101 przypadkach na 100 możliwych wywoływała uśmiech, pobudzała dobrą energię, rozpalala hormon szczęścia.

Myślałem, że nic bardziej niedorzecznego w tym mieście zdarzyć się już nie może. A jednak. Już wyjaśniam.

Kiedy z okazji 70-lecia tego teatru przygotowałem duży tekst dla „Gazety Wyborczej”, ukazał się — a jakże — ale z „wybitym okiem”. Omal nie eksplodowałem. Tekst zatytułowałem: „Pleciuga - teatr nasz najważniejszy”. Bo to prawda: teatr dziecięcy powinien być oczkiem w głowie miasta, pielęgnowany, chroniony i otaczany najwyższą troską. Ale urzędnik z tej gazety - tytuł zmienił. Inne teatry uznawał za ważniejsze? Nie wiem. Nigdy w teatrze go nie spotkałem. Ale mniejsza o gazetę.

Teraz teatr sam... kastruje swoją tożsamość? Wieloletnią. W imię ujednolicenia liternictwa, wyglądu papieru firmowego?

Obie ręce wkładam do szuflady i mocno dociskam ją brzuchem, żeby nie popełniły czynu zabronionego.



Jakie znaczenie dla przedszkolaków ma taki, a nie inny kształt liternictwa, którym teraz — za podobno osiemdziesiąt tysięcy złotych — pisać będziemy nazwę teatru? Porobimy nowe wizytówki, ulotkom przypiszemy nową grafikę. Byle ta uśmiechnięta laleczka zniknęła?

Ja rozumiem, że Teatr Narodowy może sobie wybrać logo z mamutem. Teatr Współczesny w Szczecinie zapewne zbuduje neon

w postaci paprykara wylewającego się z blaszanej puszkii. Opera na Zamku? O, tu sprawa prosta: w przestrzeni medialnej nie ma z Opery żadnych zdjęć poza wizerunkiem jej dyrektora. Raz to nawet chyba z jego psem. Śpią obaj błogo i szczęśliwie. Nie wiem tylko, kto u kogo: pan u psa czy pies u pana.

W innym tekście grzmiałem: usuńcie ten komunikat, który zmanierowanym głosem wygłasza duch teatru: „Wyłącznie telefony, bo nagrywanie i fotografowanie spektaklu jest surowo zabronione”. Prosiłem: dokładnie odwrotnie — róbcie zdjęcia, nagrywajcie, zabierajcie teatr ze sobą do domu.

Pokażcie dziadkowi i babci, na jakim byliście przedstawieniu. Słuchajcie piosenek z tych spektakli. Przeżywajcie wizytę w teatrze **again, again**, a nie **game over**.

Pomysł pochodzi — jak słyszę — od pani dyrektor, która już, już miała zostać szefową Wydziału Kultury w mieście. Dlaczego zrezygnowała? Pytam znajomych zgredów...

— He, he... Zorientowała się w porę, że porzucając prawdziwe kukiełki trafiłaby w świat takich żywych pacynek, w dodatku lepiej umalowanych. Podobno chciała zmienić najważniejszą lalkę. Na jeszcze bardziej animowalną.

— O-o... Ona nie chciała zmienić prezydenta, tylko nazwę wydziału z Kultury na Wydział Tekstury.

— Nic nie wiecie... planowała zamienić nitki, którymi animowano urzędników na odbiorniki WiFi.

Każdy z powyższych wariantów uznaję za interesujący, trafny — wręcz strategicznie obmyślony. I tylko jedno chciałbym wiedzieć, a razem ze mną moje koleżeńskie stowarzyszenie zgredów:

kto pani dyrektor przerwał tę zabawę?

Róża Luxemburg szczecińskiej kultury (in spe) wróciła do siebie, oczywiście w towarzystwie osobistego ducha rewolucji. I tu nowy przewrót wymyśliła. Wyrzuci lalkę z teatru lalek. Powtórzę: co dzieciom z nowej linii graficznej? Co z odarciem legendy teatru z jej wizerunku?

Nie ma w mieście znaku bardziej rozpoznawalnego i powszechnie akceptowanego niż laleczka z Pleciugi oraz piłkarski Gryf.

Jeżeli prezydent — jako samozwańczy zwierzchnik lokalnych Sił Kultury — zaakceptuje tę decyzję, to znaczy, że smutek wypełnia jego duszę.

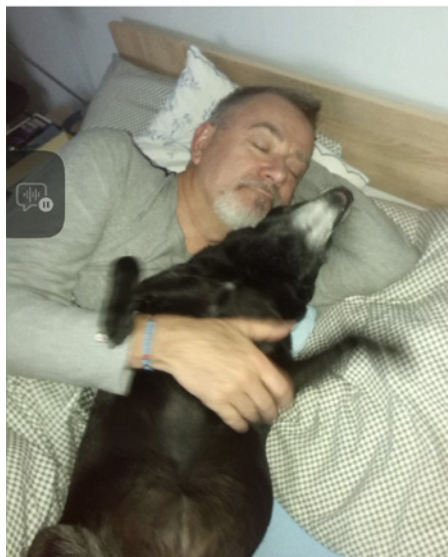
A ludzie smutni nie potrafią być szczęśliwi. Ot, taki mają feler. Naprawialny, oczywiście — pod warunkiem, że odważy się pójść do Pleciugi na widownię, tam gdzie wlewają się dzieciaki. Najlepiej wybrać się w przebraniu: krótkie spodenki, kilka piegów na policzkach, zrobionych musztardą, za duża koszulka, urwana szelka i obowiązkowo mina urzędnika najwyższego szczebla. Zobaczysz pan, jakie tam buzuje życie! Żywiół uwolniony. Trwałby i trwałby, choćby przez godzinę. Ale... Niestety. Kurtyna idzie w górę i zabawa się kończy. Zaczyna się przedstawienie.

I tu, za te osiemdziesiąt tysięcy warto się wysilić, stworzyć spektakl, o którym będzie głośno i miło. Na miarę dorobku Pleciugi. Usunięcie loga teatru - będzie zarazem - zamachem na legendę. Wyrazem słabości ludzi, którzy nie potrafią dorównać dokonaniom minionych zespołów i autorów.

W tym tkwi ich siła "nowego".

Jacek Jekiel
29 lip 2024 · 🌐

Podobno ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy śpią razem ze swoimi psami i tych, którzy też śpią tylko się do tego nie przyznają 😊 Zdjęcie ma kilka lat nasza Ponia już za tęczowym mostem ale zdjęcie dokumentuje porzekadło @obserwujący



👍 262 💬 48 ➦ 3



Gryf w przestrzeni wirtualnej

Spodziewałem się, że spotkam wiele wizerunków, wyobrażeń, przedstawień gryfa, ale nie sądziłem - że aż tyle! To przede wszystkim pamiątki sprzed 1945. Mogę sobie wyobrazić, jak wiele z podobnych artefaktów przepadło w pożodze wojennej.



- » głoszenie Słowa Bożego,
- » udzielanie sakramentów,
- » ceremonie kościelne, a także dyscyplinę, wizytacje i konsystorz w miastach i szkołach w Księstwie Pomorskim."



Gryf był - i - chciałbym wierzyć - ciągle jest na historycznym Pomorzu symbolem bardzo żywym. Inspiruje. Stanowi przedmiot poszukiwań i troski. Są kolekcjonerzy, którzy specjalizują się w gromadzeniu wizerunków Gryfa Pomorskiego.

Największym zaskoczeniem podczas redakcji tego numeru TVSiódemki było odkrycie, że tak wiele pomorskich miast miało gryfa w swoim herbie! Po wojnie, wiele herbów zmieniono, ale - na szczęście nie wszystkie.

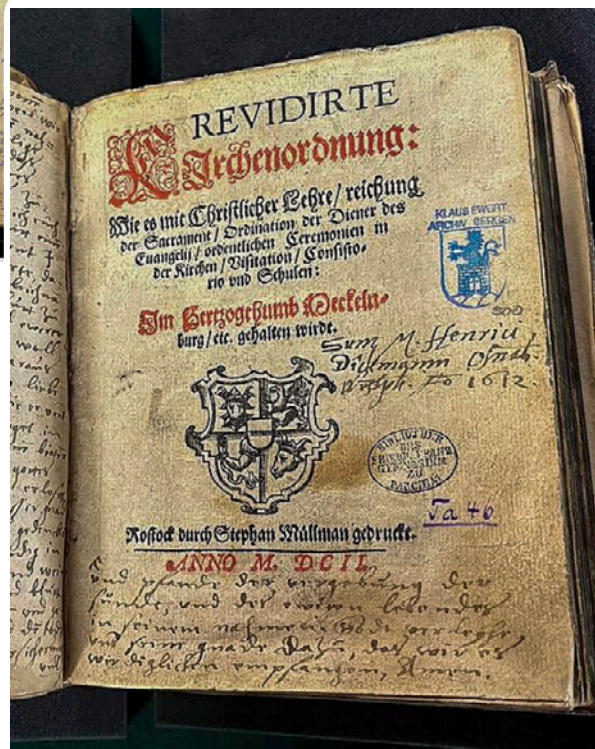


Historia nie może być zakłamywana. Można ją uzupełniać, poprawiać, korygować, zawsze w oparciu o fakty. Nigdy - zmieniać.

Ale o jednym aspekcie nawet nie wspominałem. To bowiem sfera, która wymaga solidnej wiedzy, przejrzania źródeł i pewnej swobody w poruszaniu się w przestrzeni religijnej z gryfem na chorągwi procesyjnej.

Natrafiłem na bardzo interesujący dokument z 1602 roku. Strona tytułowa (w wolnym tłumaczeniu):

„Zrewidowana Ordynacja Kościelna, jak należy, zgodnie z czystą nauką chrześcijańską, urządzić i sprawować:



To oficjalny akt normatywny regulujący ustrój i praktykę Kościoła luterńskiego na terenie Księstwa Szczecińskiego pod rządami Gryfitów.

Jest to tekst - powiedziałbym - wyznaniowo-państwowy: Kościół luterński działa tu jako instytucja podporządkowana władzy książęcej, a nie jako autonomiczna struktura religijna.

Jednak najciekawszym elementem strony tytułowej jest pieczęć z gryfem. Centralnie umieszczony herb książęcy Gryfitów nie jest tu dekoracją.

To manifest władzy:

Książę Pomorza występuje jako *summus episcopus* – najwyższy zwierzchnik Kościoła w swoim państwie. Porządek religijny jest elementem porządku państwowego, a prawo kościelne równa się prawu książęcemu.

Ten herb mówi więcej niż cały akapit wstępu: to nie Kościół tworzy państwo – to państwo organizuje Kościół.

Przypomnijmy, w 1602 roku Pomorze jest już w pełni luterńskie (od lat 30. XVI w.). Cytowany dokument to znak dojrzałego, ustabilizowanego systemu.

To jedno z ostatnich dużych dzieł normatywnych Gryfitów przed katastrofą wojny trzydziestoletniej i wygaśnięciem dynastii (1637).

Gryf jest tu Znakem władzy, odpowiedzialności i ciągłości.

Kto brał do ręki tę księgę, wiedział, gdzie jest i pod czym prawem żyje.

Dziś podobny herb musiałby przejść przez konkurs grantowy, konsultacje społeczne i audyt wizerunkowy, a na końcu i tak ktoś zapytałby, czy da się go „zmiękczyć”. Wtedy nie zmiekkano znaków. Zmiekczano ludzi - dyscypliną, porządkiem, świadomością wspólnoty.

Ta karta przypomina, że Pomorze miało kiedyś nie tylko historię, ale i język symboli. Spójny, czytelny, nieprzeprowadzający za swoje istnienie. Herb był godłem nie dlatego, że ładnie wyglądał, lecz dlatego, że godził – porządkował świat, łączył prawo, wiarę i władzę w jedną narrację.

Patrzę na ten obrazek i myślę: nie zgubiliśmy gryfa. Zgubiliśmy odwagę, by go unieść.

Ludzie i jachty 02

Zenon Szostak

<http://zeszytyzeglarskie.pl>

Jacht klasy Star „Centaur” (ex „Jantar”) w regatach



Zatem, Marku - etap drugi winniśmy tak zatytułować:

Polski październik. Rok 1956.

Wielkie przemiany w polskim życiu politycznym i społecznym objęły również organizację klubów żeglarskich, a właściwie sekcji i zrzeszeń, ponieważ sama nazwa „klub” w odchodzących czasach stalinowskich miała naznaczoną imperialistyczną, a więc negatywną konotację. Grudniowe (1956 r.) walne zebranie żeglarzy akademickich Szczecina dokonało istotnych zmian w strukturze organizacyjnej: dotychczasowa sekcja żeglarska Akademickie Zrzeszenie Sportowe (AZS) zamieniła się w specjalistyczny klub w Akademicki Związek Sportowy (już od roku AZS było związkiem, a nie zrzeszeniem), obok dwóch innych – Akademicki Klub Morski Gdański i Klub Zakopiański.

Następstwem uchwał walnego zebrania było wpisanie Jacht Klub AZS Szczecin do rejestru stowarzyszeń prowadzonego przez administrację państwową; tego typu stowarzyszenia automatycznie uzyskiwały osobowość prawną. Działalność Klubu oparta została na

przyjętym przez walne zebranie statucie, w którym tradycyjną, klubową AZM-owską „mewkę” wpisa-
no jako znak klubowy. I nie mniej ważne było – a może najważniejsze – że na czele Klubu stanęła osoba nie mianowana, jak dotychczas, lecz wybra-
na (!) – był to **Ziomek Ostrowski**.

„Ziomek” cieszył się wielkim szacunkiem wśród kolegów klubowych; nie ustawał w pomysłach: wyposażenie techniczne na Wyspie, przebudowa takielunku „Witezia II”, modernizacja jachtu „Nadir” – futurystyczna nadbudówka to jego pomysł i projekt (był inżynierem, inspektorem technicznym PZŻ). Doskonale zdawał sobie sprawę z mizernej „głębi”, a właściwie z kruchości zmian październikowych w kraju – które tak na dobre nawet roku nie przetrwały. W Klubie było podobnie; „Ziomek” ujął to krótko:

Na przełomie '57/'58 roku odbyła się pierwsza, całkowicie bezkonfliktowa „zmiana warty”. Ja zostałem kapitanem sportowym, a funkcję prezesa przejął Michał Domagała, równocześnie przewodniczący ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich, organizacja działająca pod egidą władz komunistycznych – przyp. red.). Dzięki takiej unii personalnej akademickie żeglarstwo Szczecina obroniło się przed rozbiem na część AZS-owską i ZSP-owską.

„Ziomekowi” — władza ludowa nie zapominała jego akowskiej przeszłości; przez lata odmawiano mu paszportu, uniemożliwiano udział w rejsach morskich, więc doskonalił się w regatach żeglarskich, w szkoleniu, następnie w sędziowaniu regat (również zawodów rangi mistrzostw Polski) oraz w działalności społecznej w strukturach Polskiego Związku Żeglarskiego (PZŻ) i Akademickiego Związku Sportowego (AZS) na szczeblu centralnym. W lipcu 1966 roku, w Gdyni, na wodach Zatoki Gdańskiej zdobył Akademickie Mistrzostwo Polski w klasie Folkboat. Tych udziałów w imprezach sportowych, zwycięstw, wysokich pozycji w klasyfikacjach — nie tylko w tej dekadzie, o której teraz mówimy — było bardzo wiele; nie sposób o tym szczegółowo opowiedzieć właśnie tu i teraz — to temat osobny sam w sobie.

Pozwól, Marku, że wtrącę drobną dygresję i pewne wyjaśnienie. Dlaczego rozpocząłem opowieść o ludziach w kolejnej dekadzie szczecińskiego żeglarstwa akademickiego od Ziomekowi Ostrowskiego? Otóż: tak jak pierwsza dekada zaczyna się w roku 1946 od pionierskiej działalności Feliksa Wodzyńskiego tak teraz, w roku 1956 i w latach kolejnych, zaangażowanie i pragmatyzm „Ziomek” spajają środowisko żeglarzy akademickich w budowaniu społeczności klubowej i w rozwoju sportowym. I to — po latach — bardzo wyraźnie widać.

Ale oczywiście — nie tylko „Ziomek” jest tym, że tak powiem, „pomostem między starymi a nowymi czasami”. W klubie akademickim (już teraz Klubie, nie sekcji żeglarskiej) nadal aktywne pozostały osoby, które żeglarsko okrzepły w minionej dekadzie. Pozwól, że wymienię kilku — i bynajmniej nie według jakiegoś klucza ważności lub hierarchii, lecz z tego, co przywołuje pamięć — zatrzymującą zglębienie tych fascynujących ludzkich historii:

Krzysztof Jaworski — to także postać z pierwszej dekady,



niezwykle barwna, widoczna chyba wszędzie, gdzie się pojawia. Studia w Gdańsku odciągnęły go na pewien czas od szczecińskiego środowiska żeglarskiego, ale bywał tu wielokrotnie — stąd wypływał w rejsy (na przykład w 1966 roku w Regatach Morskich Świnoujście-Gdynia startuje na naszym „Nadirze”, w roku 1987 prowadzi rejs na Morze Północne na „Dali II”, a w 2008 roku w klubowej tawernie — przed licznym audytorium — prezentuje cykl zdjęć z przeszłości Klubu i Szczecina, snując przy tym barwne opowieści z lat minionych). Krzysztof żegluguje także na jachtach innych szczecińskich klubów żeglarskich. Pomimo zawodowego oddalenia pozostaje przez lata obecny w naszym środowisku.

Wojtek Jacobson — doskonalił się w regatach żeglarskich. W 1959 roku, na jachcie „Swantewit”, zdobył Błękitną Wstęgę Jeziora Dąbie; z sukcesami startował w kolejnych regatach żeglarskich, zdobywał doświadczenie i wiedzę, a nade wszystkim rozwijał umiejętność współpracy w zespole oraz okazywał bezinteresowną pomoc i życzliwość dla innych.

U Wojtka i Ewy — bo są już małżeństwem — zamieszkuje **Ludek Mączka**, zawiązuje się między nimi bliska, na wiele lat przyjaźń; Ludek pomieszkuję u nich, a Ewa okazuje — przy tym — daleko idącą wyrozumiałość — w końcu także żegluguje.

Ludek idzie swoją własną drogą. Żeglarstwo regatowe to tylko drobny epizod w jego żeglarskim życiu (w lipcu '56 roku: na „Swantewidzie”, kpt. Emil Maria Żychiewicz — żeglował jeszcze przed wojną w lwowskim AZM; regaty „Ostseewoche” w Warnemünde i po kilku dniach — regaty „Stralsunder Segel Woche” — także na „Swantku”, z tym samym kapitanem; Ludek w załodze — 1. miejsce). Po udziale w regatach w Niemczech — swoje zainteresowania skierował w stronę dalekich rejsów morskich, oceanicznych. W 1957 roku popłynął w znaczącym na ówczesne czasy rejsie „Zew Morza” do Narviku (w załodze byli również jego koledzy klubowi: Jurek Kraszewski, Zygmunt Chełkowski). Był opiekunem/bosmanem jachtu „Witeź II”, dużo żeglował i nagle — niespodziewanie dla jego znajomych klubowych — znalazł się w środku kontynentu azjatyckiego, w półpustynnej, bezodpływowej Kotlinie Wielkich Jezior w Zachodniej Mongolii jako członek Polsko-Mongolskiej Ekspedycji Geologicznej w latach 1962-63. Był tam z dala od morza i oceanów, lecz łódkę wiosłową zabrał ze sobą — bo były jeziora. O tym wyjeździe, po latach, w wywiadzie dla „Zeszytów Żeglarskich” w 2003 roku, powiedział:

Wyjazd do Mongolii, na kartowanie kraju dzikiego, zupełnie dziecięcego — to była chyba największa przygoda w moim życiu, jaką miałem....

Potem, w latach 1965-66, uczestniczył w historycznym dla żeglarstwa polskiego rejsie (wyprawie naukowo-badawczej) na jachcie „Śmiały” — dookoła Ameryki Południowej; powitanie powracającego z wyprawy jachtu i żeglarzy na Wałach Chrobrego w Szczecinie zgromadziło tłumy, a koledzy Ludka z Jacht Klubu AZS celebrowali powrót ich „Ludojada” transparentami z żartobliwymi napisami, np. „CAŁUJEMY RĄCZKI LUDOMIRA MĄCZKI”, „PRYWATNY KOMITET POWITALNY LUDKA”, „AZS WITA LUDKA”, „100 LAT LUDJOJADA”, „VIVAT Z BRODĄ I BEZ BRODY” (Ludek nosił brodę w stylu Lenina, ale z tego rejsu wrócił bez brody).

Ludek nie zagrzał długo miejsca w Klubie; zresztą Klub mocno się zmieniał. „Witezia” już nie było, do eksploatacji wszedł „Pegaz”, a Ludek — choć jako kapitan prowadził nadal rejsy na jachtach klubowych — marzył o własnym jachcie i bardzo dalekim rejsie. Gdy pojawiła się możliwość pracy geologicznej w Afryce (i dobrego zarobku) — skończył od razu.

Z Afryki powrócił w 1972 roku, ale to już był zupełnie inny czas, również w żeglarstwie, w Klubie; Ludek przy wsparciu przyjaznych mu kolegów klubowych mógł realizować swój „Kaprys Milionera”, jak dowcipnie ktoś z Klubu napisał na burcie „Marii” przygotowywanej na klubowej przystani do tej dalekiej, legendarnej (po latach) wyprawy.

Zatem osoba Ludka — żeglarza — i związane z nim opowieści, no i oczywiście tematy tzw. „około-maryjne”, całość z nieustannym akcen-



Gieniu Ryżewski

tem szczecińskim — to temat-rzeka, przewijający się przez kilka dekad: od końca lat czterdziestych do połowy pierwszej dekady XXI wieku.

Więc Ludka regaty żeglarskie nie wciągnęły, nie były jego pasją. Za to dużo i z powodzeniem w regatach startował **Bogdan Fijałkowski**, którego kontakt — jeszcze z czasów studenckich — z Akademischer Segler Verein zu Rostock (ASV Rostock) zaowocował udziałem polskich jachtów w regatach w NRD. Rozmawialiśmy o tym w pierwszej części opowieści o żeglarstwie akademickim Szczecina.

„Fijolek”, jak nazywali go koledzy, w '58 roku zdobył mistrzostwo okręgu w olimpijskiej klasie Star (na jachcie „Centaur”, przedwojenny ex „Jantar”, w załodze ze Stanisławem Tomaszewskim — który z kolei w maju, czerwcu i lipcu 1959 roku będzie uczestniczył w historycznym rejsie jachtu „Witeź II” do Islandii z kapitanem „Teczkiem” Żychiewiczem, jeszcze z lwowskiego AZM-u).

Jacht „Witeź” — opromieniony sławą rejsu do Islandii — nie cumował długo w Klubie i już w sierpniu tego samego roku, pod kapitanem „Bibkiem” Pierożkiem, wypłynął w rejs dookoła Anglii przez Kanał Kaledoński. Fijałkowski był w załodze; i wszystko byłoby dobrze — pozostałyby miłe wspomnienia — gdyby nie wypadek w angielskim Penzance: podczas zwiedzania miasta Fijałkowski złamał nogę (pobyt w szpitalu i powrót do kraju, ale już nie jachtem).

W '62 roku Fijałkowski poprowadził „Witezia” do Szwecji — to będzie jego ostatni rejs; w załodze: Gieniu Ryżewski, Rysiu Jarošek, Józef Peszko. Tymczasem startuje na Ostseewoche: na „Swantku” w lipcu '58 roku, a w '61 roku jest kapitanem tego jachtu w kolejnej edycji tych regat. Na „Swantku” Fijałkowski żegluguje również w pierwszych Regatach o Puchar Gryfa Pomorskiego pod kapitanem Bogumiłem Pierożkiem —



Bogdan Fijałkowski

jest pierwszym oficerem, a w załodze: Zdzisław Langiewicz, Józef Demczuk, Wojtek Pluciński. Żeglują bardzo dobrze, ale w połowie trasy, pod szwedzkim brzegiem, łamie się maszt. Przymusowy, kilkudniowy postój w Trelleborgu, naprawa złamanego masztu i na prowizorycznym takielunku powrót do kraju. Regaty wygrał **Jurek Kraszewski** na jachcie „Conrad”.

Kraszewski w żeglarstwie akademickim jest od wiosny 1949 roku — kiedy po likwidacji harcerstwa przeszedł wraz z jachtem „Przygoda” i jego maszoperią (Jurek Szałajko, Zdzisław Michalski, Z. Cych) do żeglarzy akademickich. Ziomek po latach powie, że „dla Jurka nie mieliśmy już takiego jachtu i poszedł tam, gdzie był jacht większy, na którym mógł realizować swoje żeglarskie ambicje”. Kraszewski aktywnie działa w okręgu i we władzach krajowych, a pod koniec lat 60-tych stworzy warunki i przyjazny klimat we władzach Szczecina dla budowy „Daru Szczecina” i wybuduje go: „Dar Szczecina” to jego dziecko, a jak dziecko, to i chrzciny; matką chręstną „Daru Szczecina” została Danusia Kopacewicz — też od wielu lat, jeszcze w latach pięćdziesiątych, w żeglarstwie szczecińskim, także w tym akademickim. Kraszewski jeszcze później (lata '80-te) zbuduje własny jacht i nazwie go „Lolo”. Wypłynie trasą dookoła Europy na Morze Śródziemne. Na Sycylii problemy zdrowotne nasiliły się, unieruchomił jacht w porcie, a kapitan, niespodziewanie, odejdzie na wieczną wachtę.

Zdzisław Langiewicz wielokrotnie i z bardzo dobrymi wynikami brał udział w różnych regatach. W III Międzynarodowych Regatach o Puchar Gryfa Pomorskiego startował w klasie Star na „Centaurze” (ex „Jantar”) i wygrał wszystkie pięć wyścigów, nie dając szans przeciwnikom. W tych regatach bardzo dobrą formę pokazała także występująca w barwach Jachty Klubu AZS Aleksandra Buszkiewicz, zwyciężając w klasie Omega. Langiewicz w kolejnych dekadach pracował w Świnoujściu na wysokich stanowiskach, m.in. jako prezydent miasta.

Józef Demczuk (przystąpił do Sekcji Żeglarskiej AZS jesienią 1951 roku razem z Kazimierzem Haską i Kaziem Rypińskim) również często startował w regatach — to były czasy nowej formuły pomiarowej RORC; skutecznie zdobywał punkty w klasyfikacji sportowej jachtów morskich, został powołany do kadry narodowej (w 1965 roku startował na „Pegazie” w regatach „Gotland Runt”).

W Klubie nadal aktywni pozostawali Zbyszek Gerlach i — od pewnego już czasu — jego żona Maryta Kremky-Gerlach. To żeglarskie małżeństwo, jeszcze związane z Wyspą. Maryta żeglowała w załodze „Witezia” do Islandii, a Zbyszek aktywnie działał w Klubie, startował w lokalnych regatach; w 1964 roku płynął jachtem „Śmiały” do Londynu pod kapitanatem **Aleksandrem Stefanem Lewickim**. Powiedzieć o Zbyszku tylko jedno-dwa zdania to jakby nic nie powiedzieć — jest w Klubie od wiosny 1950 roku, kiedy to przyszedł (z maszoperią harcerzy-skautów: Jurkiem Jósewiczem, Stanisławem Miłaszewskim i ich jachtem „Pogon”) do żeglarzy akademickich po rozwiązaniu harcer-

stwa przez władze stalinowskie. Przez wszystkie lata, kolejne dekady, był bardzo aktywny — zarówno żeglarsko, jak i w pracy społecznej dla Klubu (był także Komandorem Klubu) — aż do początku drugiej dekady XXI wieku.

s/y „Pegaz” w Londynie, lipiec 1970, od lewej: Antoni Rosner, w kockpicie: kpt Wojciech Jacobson. Fot. Bogdan Fijałkowski



Wspomniałem przed chwilą Aleksandra Lewickiego. W latach 1960-64 był Komandorem Klubu — to znaczy Prezesem, bo nazwa „Komandor” dla szefa Klubu weszła w użycie później wraz z prof. Tomisławem Matyszewskim z Politechniki Szczecińskiej, który został wybrany do kierowania Klubem w 1969 roku. I to też, w pewnym sensie, był nowy etap w Klubie. Ale wracając do Lewickiego: był on w szczecińskim żeglarstwie akademickim już od czasów studenckich, od wczesnych lat 50-tych, a może i wcześniej.

Pamiętasz, Marku, w pierwszej części mówiłem o wicemistrzostwie Polski dla Sekcji Żeglarskiej AZS Szczecin zdobytym w Gdyni na Zatoce Gdańskiej w 1952 roku przez Kazię Haskę z załogą, w której był m.in. właśnie Aleksander (zwany „Stefciem”) Lewicki. W następnym roku Lewicki również startował w Mistrzostwach Polski Jachtów Kilowych rozgrywanych na Zatoce Gdańskiej w Sopocie. Kapitanem był — przypomnę — Krzysztof Jaworski, a załogę tworzyli oprócz Lewickiego: Zbyszek Gerlach i Andrzej Smagacz. Zdobyli Mistrzostwo Polski!

Lewicki był więc wysoko — że tak powiem — w klubowym rankingu sportowym: wicemistrzostwo, rok później mistrzostwo Polski — to nie każdemu „wychodziło”. Dużo żeglował. W 1967 roku prowadził „Pegaza” w rejsie klubowym (w załodze m.in. Antek Rosner, Andrzej Pęcherzewski) do Skagen (Dania) i wtedy niespodziewanie zszedł z jachtu w Kopenhadze — co stwarzało pewne problemy w kraju dla Klubu i załogi; pozostał na Zachodzie, wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ktoś mi opowiadał, że to — z pozoru — była to romantyczna historia. Otóż jego żona wyjechała, a on, idąc za głosem serca, nie mogąc legalnie wydostać się z kraju, popłynął w rejs zagraniczny i w Kopenhadze zszedł z jachtu. Pojechał do Stanów — do żony — tylko że... No właśnie, samo życie... Ale nie wrócił do Polski. Osiadł w Kalifornii, w San Diego; Ludek go tam, po latach, odwiedzał. Bywał u niego także Andrzej Pęcherzewski — o którym za chwilę wspomnę — ale to już były późniejsze lata.

Janusz Kędziński — z powodzeniem startował w klasie Star na jachcie „Delfin” (przedwojenny ex „Muszla”). W 1966 roku zdobył Mistrzostwo Okręgu w klasie Star, a w '67 roku w rocznej punktacji zajął 4. miejsce; w Mistrzostwach Polski w klasie Star w '68 roku zdobył brązowy medal, a w '69 — również w Morskich Żeglarskich Mistrzostwach Polski w Gdyni, w załodze ze znanym konstruktorem jachtowym Edżką Hoffmannem — srebrny medal. „Kędziór”, bo tak go nazywali koledzy, przez długie lata był w Klubie; troskliwie, z regatowym zacięciem przygotowywał swojego Stara „Delfina” (ex „Muszla”) do

kolejnych zwycięstw, jakby nie zauważając, że nieubłaganie biegnący czas zostawia w tyle jego i jego Stara, a arenę sportowych zmagani przejmują młodsze pokolenia. O Januszu Kędzierskim rozmawialiśmy w pierwszej części; warto do tego wrócić – jeszcze raz wspomnieć tego nietuzinkowego i niezłomnego człowieka.

Kolejny żeglarz, znany z tych lat, ale i dekady poprzedniej, to **Zbigniew Faberski**. W klasie Folkboat zdobył Mistrzostwo Polski w '67 roku (i powołanie do kadry narodowej, razem z Ziemowitem Ostrowskim). Niewiele wiem więcej o nim – a może warto byłoby, przecież był Mistrzem Polski! Ale kogo dziś pytać o tamte lata?

Podobnie mógłbym powiedzieć o wielu, wielu innych żeglarzach, którzy swoją przygodę z żeglarstwem zaczęli jeszcze w poprzedniej dekadzie, podążających za tą wielką siłą – pobudzająca tęsknotę za morzem i poczuciem wolności.

Ale jest też wielu takich, którzy po latach studiów i bujnej młodości, rozluźniają związki z Klubem – czy to z powodu tzw. gomułkowskiej małej stabilizacji, czy też z powodu zmian barw klubowych. Wspomniałem o Jurku Kraszewskim – zmienił barwy klubowe; o Krzysiu Jaworskim – wyjechał do Gdańska; Zdzisław Michalski – został etatowym kapitanem „Zewu Morza” w ośrodku żeglarskim w Trzebieży; Jurek Szałajko – zmienił barwy klubowe, żeglował na „Hermesie” do USA; o Jureku Szelestowskim – poszedł do Trzebieży, do pracy w ośrodku żeglarskim.

Ale największą „sensacją”, nieodżałowaną dla wielu „stratą” – jak zauważył Ziemowit – był ostateczny wyjazd z Polski (w styczniu 1958 roku) – **Marylki Grochowskiej** (już Grochowskiej-Thomsen). Trafiła do Berlina Wschodniego, do wcześniej poślubionego w Polsce męża Petera Thomsena, a później razem – Muru Berlińskiego jeszcze nie

było – uciekli do Berlina Zachodniego, następnie samolotem do Hamburga. I byłaby to opowieść na gotowy scenariusz filmowy – tyle tylko, że ... podobny film („Zimna wojna” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego) powstał kilka lat temu.

Zmiany po '56 roku uchylły – a może lepiej powiedzieć: rozszczyliły – wrota portów i przystani na świat. Z trudem, przy dużych staraniach i wyrzeczeniach, żeglarze mieli możliwość organizowania i wypływania w rejsy morskie, zagraniczne. Ale tylko nieliczni, nad czym skrupulatnie czuwały ówczesne władze. Wolno rozwijała się sportowa rywalizacja w żeglarstwie morskim jachtów kilowych i w żeglarstwie jachtów mieczowych.

Pozwól, Marku, że w tym miejscu – na swoje usprawiedliwienie, bo nie jestem w stanie opowiedzieć o wszystkich żeglarzach – zacytuję słowa Ziemowita o osobach w Klubie w tej pełnej sukcesów sportowych dekadzie:

W rzeczywistości w każdym roku dochodziły i odchodziły dziesiątki nowych członków Klubu.

Tak rozwijała się niesamowita, barwna, pełna kolorytu i emocji historia ludzi na tle czasów, w jakich przyszło im żyć. Bo jednak – po stalinowskich latach zamknięcia na świat i rygorach ograniczających, a czasem wręcz wstrzymujących żeglugę – nawet po wodach wewnętrznych w kraju – nastąpiło wreszcie poluzowanie przepisów granicznych; łatwiej było wyjechać, wypłynąć w rejs. Władza ludowa jednak pamiętała o tych, którzy byli jej przeciwni. Ale też, z drugiej strony, kusiła gomułkowska „mała stabilizacja”. Dla wielu był to czas zabiegania o poprawę warunków życia: meblościanka, tapczan-ame-rykanka, pralka „Frania”, telewizor czarno-biały, własne „M-2”, wczasy



Jachty klasy Star w regatach

zakładowe i być może kiedyś własne auto – „Syrenka”. W kraju już można się pośmiać, mówić głośniej, czemu sprzyjały kabarety, cza-sopisma satyryczne. Można było obejrzeć ciekawy i dobry film (rodzi

się polska szkoła filmowa). Żeglarstwo podążało za tymi zmianami. Chłonęło nowinki z Zachodu.

Ciekawym i bardzo znaczącym wydarzeniem w owym czasie – o którym rozmawiamy – były pierwsze w Polsce regaty w klasie Cadet, rozgrywane w Szczecinie w maju 1960 roku. Drugie miejsce zajął wówczas **Maciej Wydrowski**, 17-latek, uczeń „Pobożniaka”, występujący w barwach Jacht Klubu AZS. Ciekawostką może być, że w tych regatach pierwsze miejsce zajął **Andrzej Gedymin** – uczeń Technikum Łączności, z klubu MKS Szczecin; trzy dekady później – już jako żeglarz akademicki – zostanie Komandorem Jacht Klubu AZS.

W tym czasie żegluje w Klubie **Wojtek Wejer**, ściga się regatowo na Finnii i osiąga bardzo dobre wyniki: w mistrzostwach okręgu w latach 1960, 1961, 1962 zajmuje pierwsze miejsca. Potem wyjedzie z Polski, będzie pracował na dalekiej północy Kanady, a dziś, od lat, jest znaną w żeglarskim świecie osobą wspierającą żeglarzy na trasie Przejścia Północno-Zachodniego. Za to właśnie został przez międzynarodowy klub żeglarski Ocean Cruising Club (OCC) uhonorowany nagrodą Lifetime Award.

Kilka lat wcześniej (druga połowa lat 50.) pojawił się w Klubie **Jędrzej Porada**, z kilkuletnim już doświadczeniem żeglarskim zdobytym m.in. na Jeziorze Charzykowskim koło Chojnic – to mekka polskiego żeglarstwa. W 1958 roku zdobył Mistrzostwo Okręgu Szczecińskiego w klasie Słonka. Żegluje, startuje w regatach, angażuje się w pracę społeczną w Klubie, szkolenie (prowadził treningi sportowe jeszcze przed rozpoczęciem pracy trenerskiej przez Jolantę Boehm, o której za chwilę), włączając się w tworzenie młodzieżowej grupy regatowej w klasach mieczowych. Zawodowo związany jest z akademickim szkolnictwem morskim, pełniąc funkcję dziekana Wydziału Navigacyjnego Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie.

Pod koniec lat 50. do Klubu trafia **Jurek Madeja**. W 1959 roku popłynął w załodze „Swantewida” na regaty Ostseewoche do NRD. Niestety, jeszcze przed dopłynięciem na regaty napotkali ciężkie warunki pogodowe, żagle uległy podarciu i wrócili do kraju – ale regatowy duch w Jurku zaczął kiełkować.

W 1962 roku wypłynął w załodze „Witezia II” w rejsie do Szwecji. Rejs zakończył się jednak przedwcześnie w Świnoujściu – błędny manewr i „Witeż” wdarł się na gwiazdobloki i zatonął. Po wydobyciu i remoncie, we wrześniu, odbył się drugi rejs – ale Jurek już w nim nie uczestniczył, a jego miejsce zajął Rysiek Jaroszek. Jacht nie wrócił z tej wyprawy – rozbił się na skałach przy wyjściu ze Sztokholmu.

W 1965 roku Jurek żeglował w załodze „Pegaza” pod kapitanem Józefem Demczukiem w regatach „Gotland Runt” (w załodze także: Józef Kurzawa, Jerzy Zuch, Michał Wiliński, Tadeusz Połpiech). Regatowa pasja rozwijała się w nim już na trwałe. W kolejnych dekadach przyszły wielkie sukcesy regatowe – wielokrotne mistrzostwa Polski jachtów morskich (na jego Carterze „Umbriaga”) oraz szerokie uznanie w środowisku żeglarskim AZS.

Na początku lat 60. do Klubu przyszedł **Witek Zdrojewski**. Wcześniej żeglował na Mazurach, a jeszcze wcześniej – w pierwszej połowie lat 50., w okresie szkolnym, w Łodzi – boleśnie doświadczył represji władz ludowych wobec młodzieży niezgadzącej się na sowytyzację kraju. Po wyjściu z więzienia przyjeżdża do Szczecina, pracuje jako nauczyciel (również akademicki – matematyk), żegluje i szybko osiąga znaczące wyniki sportowe: m.in. Mistrzostwo Polski w klasie Folkboat w 1969 roku oraz wiele innych zwycięstw.

Choć wciąż odczuwa skutki swoich niepodle-

głościowych działań, po uzyskaniu uprawnień do pływania morskiego (tak, kiedyś takich uprawnień po prostu nie wydawano), wyrusza na regaty Tall Ships' Races, a później zostaje wieloletnim Komandorem Klubu – cieszącym się powszechnym szacunkiem.

Warto zauważyć, że w Klubie – a może i w żeglarstwie w ogóle – często uczestniczą całe rodziny, tzw. „rodziny klubowe”. Pasja jednej osoby przyciąga bliskich i krewnych. W Jacht Klubie AZS tak było i jest z rodzinami:

- **Jaworscy** – Krzysiu i jego siostra Małgosia (wicemistrzyni Polski jachtów morskich z 1956 roku),
- **Jacobsonowie** – Wojtek, jego żona Ewa, później ich córka Magda, brat Ewy – Marek Kopczyński,
- **Gerlachowie** – Zbyszek i jego żona Maryta, a w późniejszych latach ich syn Kuba,
- **Jósewiczowie** – Jurek, jego młodszy brat Michał oraz syn Michał, Grzegorz, i wielu innych.

Podobnie jest u **Zdrojewskich**: żegluje żona Witka – Wasylisa (zwana „Asią”, także sędzia regatowy), żegluje jej brat, Alik Dudarenko, a także dzieci: Anita i Norek – swoją przygodę z żeglarstwem zaczęli właśnie w latach 60.

Pojawia się także – wspomniany wcześniej – Michał Jósewicz, brat Jerzego (tego, który przyszedł do żeglarzy akademickich ze Zbyskiem Gerlachem wiosną 1950 roku, po rozwiązaniu harcerstwa przez władze). Michał żegluje regatowo, dużo, ambitnie i z dobrymi wynikami, a po latach zostaje opiekunem klubowej szalupy wiosłowo-

Jachty klasy Star w regatach



-żaglowej DZ, na której poprowadzi kilka poważnych rejsów morskich — o których opowiem jeszcze później.

W latach 60. wyraźnie wykształciła się i rozwinęła grupa młodzieży szkolnej i studentów nastawiona na rywalizację regatową w klasach mieczowych. Po Omegach, Słonkach i Finnach żeglarstwo regatowe rozgrywało się już na Cadetach, Hornetach, FD i Ok. Dinghy.

W tym czasie do Klubu trafił Andrzej Pęcherzewski, wkrótce jeden z czołowych młodych zawodników. Tak, po latach, wspomina w korespondencji mailowej tamte lata — pisząc z odległej Kalifornii:

Do Klubu udało mi się wkręcić na początku lata 1961, po tym, jak zobaczyłem „Witezia” na Odrze, w drodze na Wyspę, z motocyklem Jurka przymocowanym do masztu (...). Po przepracowanym okresie próbnym na Wyspie, na starym „Starze”, byłem dumny, gdy po zwodowaniu kadłub nie brał wody. Maszoperia była zadowolona i po otakowaniu jacht odpłynął... w siną dal, a ja mogłem tylko na to patrzeć.

Po jakimś czasie dostałem wiadomość, że dostanę „Cadeta”, dopiero wtedy zorientowałem się, że wśród członków Klubu byli ludzie zwracający uwagę na młode pokolenie. (...)

W pierwszych regatach Komisja Regatowa cierpliwie czekała na mnie, żebym dowlókł się do mety — byłem ostatni! Tuż po regatach poznałem Wojtkę Jacobsona, który w bardzo życzliwy sposób zaproponował mi naukę taktyki regatowej i żeglarstwa. Parę dni w tygodniu miałem darmowe lekcje. W ostatnich regatach tego roku byłem już najlepszy i wygrałem regaty. Tego się nie zapomnia... .

W następnych latach **Andrzej Pęcherzewski** zdobył w barwach akademickiego Klubu Mistrzostwo Okręgu Szczecińskiego w klasie Cadet (1962, 1963, 1964), a następnie w klasie Ok. Dinghy (1965, 1966). Został powołany do kadry narodowej — razem z Ziemowitem Ostrowskim i Andrzejem Czubajko — i odznaczony dwoma kółkami olimpijskimi. Później startował w regatach jachtów balastowych m.in. w załodze Kuby Jaworskiego: na „Enifie”, „Ogarze”, „Amigo” i „Jaspisie”. Ale to już inny czas, inny Klub.

Musiło coś być na rzeczy w tamtych przemianach w żeglarstwie, skoro po latach we wspomnieniach Andrzeja Pęcherzewskiego wciąż pojawia się uznanie dla starszych kolegów klubowych i działaczy sportu akademickiego:

Januszowi Tyszkiewiczowi można zawdzięczać, że do Klubu przychodzili młodzi chłopcy. To on był inspiratorem i magnesem dla młodzieży — do pewnego stopnia naszym „ojcem”. Wprowadził „samotopki”, czyli klasy olimpijskie, których wcześniej w Klubie nie było. Należy zaznaczyć, że nasz Klub miał bardzo dobre wyniki, nawet przed zatrudnieniem trenera, dzięki takim członkom, jak: Janusz Tyszkiewicz, Wojtek Jacobson, Maryta i Zbyszek Gerlachowie i inni. Oni byli „budowniczymi” klubowej młodzieży i sukcesów tej ulicznej młodzieży. (...) Dla mnie największym osiągnięciem Jachtu Klubu AZS było właśnie to: poświęcenie czasu i wprowadzenie w świat wartości młodych ludzi, którzy w większości wywodzili się z ulicy (ja też). To była prawdziwa szkoła.

Tymczasem dynamiczny rozwój młodzieżowej grupy regatowej rywalizującej na jednostkach mieczowych nie mógł być oparty wyłącznie na pracy społecznej, choćby najsumienniejszemu wykonywanej. Klub dostrzegł potencjał i, aspirując do jeszcze większych sukcesów, zatrudnił etatowego trenera żeglarstwa regatowego. Została nim absolwentka warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego — **Jola Boehm**, zatrudniona od lipca 1968 roku.

Jola wspomina, że przed nią grupą regatową opiekował się Stasiu Bolewicz. Staszek był znanym klubowym żeglarzem — w 1965 roku zdobył Błękitną Wstęgę Jeziora Dąbie na FD, co było już czwartym takim sukcesem żeglarzy akademickich. Pod koniec lat 80. wyjechał do Stanów, a po latach wrócił i ponownie trafił do Klubu. Żeglował na odkrytopokładowej szalupie typu DZ z Michałem Jósewiczem i jego maszoperią — osobami nie młodymi już wiekiem, ale młodymi duchem. Wspólnie zrobili kilka ciekawych i dalekich — jak na DZ — rejsów: m.in.

wokół Rugii, na Bornholm i do Kopenhagi.

Wróćmy jednak do Joli Boehm. Szczeciński dziennikarz, podpisujący się inicjałem (g), określił ją mianem „trenera w spódnicy”. Była pierwszą kobietą w Polsce z dyplomem trenera żeglarstwa po AWF. Wcześniej sama żeglowała, jeszcze przed studiami i w czasie ich trwania.

Płynęła do Norwegii na „Zaruskim” pod kpt. Michałem Sumińskim (tym od telewizyjnego „Zwierzycia”). Na akademickim jachcie „Joseph Conrad”, w rejsie z Gdańska do Szczecina, poznała Jurka Boehma, bosmana tego jachtu. I tak się zaczęło: została i w Szczecinie, i z Jurkiem — który wówczas też działał w Klubie akademickim.

Pod koniec lat 70. Jurek wyjechał do Australii, gdzie żeglował z Ludkiem Mączką na „Marii” — z Australii do Afryki i z powrotem. Został tam, a po latach Jola do niego dołączyła.

Dziś, z dalekiej Australii, Jola Boehm, tak wspomina tamte sportowe czasy w szczecińskim Jacht Klubie AZS:

Nie była to grupa mała — około 50-60 chłopców na ca 35 łódkach. Był to okres największych sukcesów regatowców klubowych w klasach mieczowych. Przez kilka lat wygrywalimy punktację wojewódzką (na sklasyfikowanych ponad 15 klubów), dochodząc do 6. miejsca w punktacji krajowej (na ok. 250 klubów). Za sprawą tych wyników nazwa klubu przewijała się często w rubrykach sportowych lokalnych gazet. Bazowaliśmy na grupie juniorów, dalej barierą był brak wyższej jakości sprzętu, jak i brak możliwości technicznych i organizacyjnych Klubu. Przewinęło się w tamtych czasach iluś młodych ludzi, z których niektórzy żeglują nadal. W FD prym wiedli Andrzej Wielopolski i Przemek Rajewski, w Hornetach załoga Szeliwiak — Kobylski przez kilka lat należała do ścisłej czołówki Kraju, ostro rywalizował z nimi Zbyszek Jałtoszuk. W Finnach Zdzisiek Owdziej, Tomek Paterkowski i Andrzej Czubajko. W klasie OK. Dinghy dzięki posiadaniu łodzi nie ustępującej łodziom czołówki krajowej Mariusz Przełomski, Darek Kłokocki i Tadeusz Kubiak niejednokrotnie stawali na podium regat krajowych i w NRD. W pokonanym polu bywał późniejszy mistrz olimpijski w klasie Finn Johan Schumann. W Cadetach, później 420 i 470, był Robert Wolniewicz, który jednak zmienił barwy klubowe. (...) Był też okres rywalizacji w Dragonach. Rywalizacja Adama Lisieckiego, Witka Zdrojewskiego z Jurkiem Karpińskim z LOK-u, Jurkiem Paszkim ze Stali i Poklewskim z Gdyni doszła do fazy sportowej walki o paszport na Igrzyska Olimpijskie w Kilonii. Poziom rywalizacji przeniósł się na Solingi, w której to klasie jedyny raz nasze województwo było reprezentowane na Olimpiadzie w 1980 r. Prawda jest, że była to załoga „Pogoni”, ale Bartosik w przeszłości był członkiem naszej grupy regatowej...

I jeszcze na koniec tej dekady, dekady lat sześćdziesiątych, pojawia się w Klubie, jakby gościnnie, kolejna osoba, żeglarz wywodzący się ze środowiska akademickiego, ale z Wrocławia, **Krzysztof Baranowski**. Na odbywających się w sierpniu 1970 roku w Gdyni na wodach Zatoki Gdańskiej i na pełnym morzu Morskich Żeglarskich Mistrzostwach Polski, Baranowski startuje na szczecińskim akademickim jachcie „Nadir”. W regatach żegluguje samotnie — dla niego są te regaty jednocześnie przygotowaniem i klasyfikacją do transatlantycznych regat samotnych żeglarzy OSTAR 72. Wystartuje na budowanym właśnie w szczecińskiej stoczni jachtowej „Polonezie”.

W regatach tych - mistrzostwa Polski — startuje silna ekipa ze szczecińskiego AZS: Wojtek Jacobson na „Swantewicie” (w załodze m. in. „**Toni**” **Brancewicz** — też postać dużego formatu, już od kilku lat w Klubie, nauczyciel akademicki — Wyższa Szkoła Morska i ... muzyk), Jurek Madeja na „Pegazie”, no i Gieniu Ryżewski na nowej, dopiero co odebranej ze stoczni jachtowej „Dali II”. W załodze „Dali” płynie Hanka Kuźnicka — Hanka i Wojtek to małżeństwo żeglarskie (kapitańskie) z Warszawy, żeglują u nas w Klubie; płynie, m.in. Andrzej Sokołowski, Michał Jósewicz.

No właśnie, **Andrzej Sokołowski**. Do Klubu przyszedł z Wrocławia w połowie lat 60., gdzie wcześniej żeglował również w barwach AZS. Uprawiał lekkoatletykę — rzut oszczepem, był członkiem kadry

narodowej – oraz amatorsko - wspinaczkę górską i narciarstwo zjazdowe.

Tu pozwól, Marku, na małą dygresję: z żeglarzami często tak jest, że latem żeglują, a zimą jeżdżą na nartach. Tak jest do dziś, tak było przed wojną i po niej - żeglarze zimą uprawiają sporty zimowe.

Wracając do Andrzeja Sokołowskiego – w 1971, żeglując w załodze jachtu „Dala II” pod dowództwem Gienia Ryżewskiego (z którym „Dal” już na trwałe będzie się kojarzyć), zdobyli Mistrzostwo Polski w regatach w Gdyni. W załodze byli m.in.: Romek Kisłowski, Marek Lewenstein, Michał Domański, Jan Płachta. Andrzej Sokołowski przez kolejne dekady – aż do lat 20. XXI wieku – z sukcesami startował w regatach krajowych i zagranicznych: Kieler Woche, Ostseewoche, regaty w Bremerhaven, no i mistrzostwa Polski – zdobywając je łącznie sześciokrotnie, w tym czterokrotnie jako kapitan jachtu.

Dekada (a właściwie czternaście lat), o której mówimy, to najbardziej intensywny sportowo czas w historii Jacht Klubu AZS: pasmo sukcesów zarówno w żeglarskim morskim, jak i w klasach mieczowych. Apogeum przypadło na rok 1967, kiedy Klub zajął pierwsze miejsce w kraju w klasyfikacji PZZ żeglarsstwa morskiego (rok później był drugi). W 1968 roku – w klasyfikacji klubów w klasach olimpijskich i przygotowawczych – zajął dziesiąte miejsce w Polsce (na ponad dwieście klubów).

Tak więc, Marku, rozmawiamy o czasie i ludziach, ich pasjach i sukcesach, ale także o chwilach trudnych, naznaczonych goryczą porażek i strat. Były to lata, w których w Klubie pojawiło się – na krócej lub dłużej, czasem na zawsze – wiele postaci niezwykle. Nie sposób wspomnieć wszystkich, o wielu nie wiem lub nie słyszałem, ale wymienię jeszcze kilku: Mieczysław Niemyski, Andrzej Marczak, Teodor Czarnecki, Piotr Stelmarczyk, Marek Stoeck, Wojtek Iłowiecki, Stasiu Wondolowski, Małgosia Krautschneider i jej brat Janusz Szyncler – właśnie, Gosia, z żeglarskiej rodziny, dziś mieszka w Stanach, ale wtedy żeglowała tutaj. Później pozna czeskiego żeglarza Rudę Krautschneidera i razem, na małym jachcie „Vela”, popłyną na Islandię w latach 70.

Barbara Chmielewska z d. Około-Kułąk, Kazimierz Chmielewski, Witold Kuźniar, Halina Szymak „Dzidka”, Kazimierz Stachowiak, Andrzej Kwiecień, Symplicjusz Borowik, Wiesław Zaremba, Waldemar Kolec, Krzysztof Mańko, Jacek Tomaszuk, Joanna Pawluk, Zbigniew Hryniewicz, Kasia Łączyńska, Adam Krasnodębski, Marek Drechsler, Romek Drozdowski, Andrzej Wójcik, Jacek Wójcik, Aleksander Salomon, Stanisław Szolkowski, Bogumił Derejczyk... i wielu, wielu innych.

Warto wspomnieć jeszcze o innym aspekcie tej historii, na który zwrócił uwagę Wojtek Jacobson – i który był istotny dla rozwoju Klubu.

Otóż, przez wszystkie lata Klub odwiedzali i żeglowali z nim również ludzie spoza miasta i spoza środowisk akademickich. W korespondencji mailowej Wojtek Jacobson pisze:

Dobre jachty, łatwy dostęp do morza, przyjazna atmosfera klubowa były magnesem przyciągającym do naszego Klubu żeglarzy akademickich w różnych ośrodkach, szczególnie ze Śląska. Wśród nich byli znani kapitanowie, jak: Bogumił 'Bibek' Pierożek, Emil Maria Żychiewicz, a także młodszy żeglarze, którzy z czasem stali się wybitnymi kapitanami – jak żeglarz arktyczny Janusz Kurbiel czy kapitan dużych żaglowców Zygmunt Biernacki. Innym żeglarzem korzystającym z naszej infrastruktury był Krzysztof Baranowski, który wypożyczał „Nadira” do samotnych regat na Bałtyku...

Te kontakty i współpraca były bardzo cenne dla żeglarzy z głębi kraju, bez dostępu do morza czy jachtów morskich. Dla nas zaś budowały przyjazny wizerunek szczecińskiego Jacht Klubu AZS. W kolejnych latach pojawiali się w Klubie żeglarze z wielu miast – np. z głębi Polski prowadzili nasze rejsy klubowe:

- **Wojciech Siłka** (ze Śląska) – prowadził „Witeź II” na północ Zatoki Botnickiej (1960), współautor podręcznika „Astronawigacja żeglarska” (razem z prof. Stanisławem Skoczniem, który również przewinął się przez Klub),
- **Andrzej Rościszewski** – adwokat z Warszawy, w 1969

prowadził „Pegaza” do Kemi (Zatoka Botnicka), później aktywny działacz żeglarski,

- **Bogdan Zahajkiewicz** – jako student żeglował z Ludkiem Mączką w Australii, na Wielkiej Rafie Koralowej,
- **Wojtek i Hanka Kuźniccy** z Warszawy, **Krzysztof Vorbrich** z AZS Poznań.

Już w XXI wieku, z naszej przystani i na szalupie DZ „SUM”, wyruszać będą harcerze z Wrocławia (pod opieką Jurka Kasprzaka), żeglując przez Bałtyk do Visby na Gotlandii.

Z kolei na klubowym jachcie „Stary” wyruszą w brawurową wyprawę dookoła Ameryki Południowej (i wokół Przylądka Horn) studenci ze Śląska: Jacek Wacławski, Dominik Bac, Sławek Skalmierski i ich koledzy. Kilka lat później, tym samym jachtem, przepłyną legendarne i trudne Przejście Północno-Zachodnie (Northwest Passage) i powrócą stąd do Szczecina – jako bohaterowie, entuzjastycznie witani na przystani Jacht Klubu AZS.

W Klubie pojawił się również – i wypływał stąd odkrytopokładową DZ „SUM” wokół Rugii – znany żeglarz polarny, kapitan Henryk Wolski.

Nie sposób wymienić wszystkich. Ale ważne, by podkreślić, że wielu żeglarzy spoza Szczecina znalazło tu przyjaźń, przestrzeń do działania i możliwość realizacji poważnych, ambitnych wypraw.

Na koniec, pozwól Marku, że – podobnie jak po części pierwszej – zakończyć apelem:

wspólnie opisujemy kolejne żeglarskie historie tych osób, których tu nie wymieniałem.

PS Pozwól, Marku, że wrócę jeszcze do części pierwszej naszej opowieści. Otóż zwrócił mi uwagę Wojtek Jacobson, że wspominając o drugim miejscu szczecińskiej załogi (Haska, Lewicki, Skibicki) w pierwszych żeglarskich mistrzostwach Polski w Sopocie, w 1952 roku, napisałem, że „nasi” ulegli tylko Zygfrydowi Perlickiemu. Tymczasem mistrzem Polski został wówczas Jan Kowalewski „Tata” z Warszawy.

Wtedy przypomniałem sobie, opowieści Ziomka Ostrowskiego o tamtych regatach i zwycięskim warszawskim żeglarzu (Ziomek miał osobiste „przygody” regatowe ze współzawodnictwa z „Tatą” Kowalewskim). Zajrzałem jeszcze do bardzo ciekawego wydawnictwa „Morskie Żeglarskie Mistrzostwa Polski” w opracowaniu Krzysztofa Paula z gdańskiego AKM (Akademicki Klub Morski). Nie ma wątpliwości: regaty wygrał Jan Kowalewski z Warszawy, drugi był Haska ze Szczecina, a Perlicki był czwarty; w kolejnych latach sława Perlickiego rosła.

cdn

(bez względu na wszystko, choć może nie o wszystkim)

Krzysztof Baranowski i Wojciech Jacobson, 1970 r., regaty Międzynarodowy Tydzień Zatoki Gdańskiej, Gdynia. Foto. A. Sokołowski





Stare, klubowe zdjęcia... Często bez opisu, pogie, wypłowiałe - wszystkie czarno-białe, ale pełne jakże kolorowych wzruszeń. Każde jest potwierdzeniem determinacji i spełnienia zarazem. Ocalmy je - to przecież nasz rodowód. Stamtąd jesteśmy!
mail: 7@tvsiodemka.pl

Ludzie i jachty

aneks do części pierwszej

Zenon Szostak

Tragedia załogi jachtu „Poświst” 3 VIII 1948 r.

To jeden z pierwszych wypadków morskich w powojennym żeglarskim polskim. Wcześniej jacht „Dar Żoliborza” wszedł na mieliznę koło Gotlandii, we wrześniu 1946 roku. Na szczęście nikt z załogi nie ucierpiał, a po remoncie jacht powrócił do żeglarskiego. „Poświst” też nie zatonął, choć uległ wywrotce i zalaniu wodą, a życie straciło czworo żeglarzy.. Tylko Bolesław Trochimowicz – cudem się uratował. Wypadek miał miejsce na Zatoce Gdańskiej, w pierwszych dniach obozu żeglarskiego w Wisłoujściu, zorganizowanego przez Akademicki Związek Morski R.P. Jacht „Poświst” – nie był to przedwojenny „Poświst” (jacht zakupiony w Finlandii), lecz przekazany gdańskiemu AZM w ramach rewindykacji wojennych. Nadano mu tradycyjną nazwę (podobnie jak kilku innym, przejętym w tym czasie jednostkom). Załogę stanowili dwudziestoparoletni ludzie z różnych środowisk akademickich. W czasie żeglugi ostrym baidewindem, przy niezbyt silnym wietrze, około godziny 20.00, urwał się balast. Jacht położył się na wodzie. Nie zatonął, a mimo to – wbrew dobrej praktyce morskiej, być może obawiając się zdryfowania na morze (przy wietrze odbrzeżnym – SW 3) – żeglarze postanowili płynąć wpław do oddalonego o kilka mil brzegu. Początkowo przytrzymywali się prowizorycznej tratwy sporządzonej z gretingów i kół ratunkowych „Pośwista”. Nadmierny wysiłek i wychłodzenie szybko uśmiercały rozbitków. Walkę o życie wytrzymał tylko Trochimo-

wicz. Ponad piętnastogodzinne zmagania z morzem, własną słabością, wytrwale płynięcie do brzegu, chłodna, dżdżysta noc, próba ratowania słabnących żeglarzy, potem ich śmierć – to wszystko jest treścią relacji Trochimowicza. Po dopłynięciu do brzegu musiał przedzierać się „przez nieznany teren: wydmy, okopy, karłowatą sośninę, dziki brzeg”, by dotrzeć do zabudowań. Dopiero tam poczuł, że już nic mu nie grozi.

Po kilkudniowym pobycie w szpitalu, powrócił na obóz żeglarski w Wisłoujściu i dalej żeglował. Dowód niezwyklej siły charakteru i odporności psychicznej. Jego relacja, opis walki o przeżycie, przywołuje na pamięć inną tragedię. Raymond Maufrais, francuski dziennikarz i podróżnik, w 1947 roku wyruszył samotnie przez zez dżunglę, na trasie Gujana Francuska - Belem (w Brazylii). Nigdy z wyprawy tej nie powrócił. Jego ojciec, Edgar, prze kilkanaście lat szukał syna. Opublikował dwie książki, w tym „Zielone piekło w Gujanie”, wydaną. W 1950 roku, w oparciu o odnalezione pamiętniki Raymonda.

Bolesław Trochimowicz miał więcej szczęścia, wyrwał się z objęć pochłaniającej go wieczności. Jesiennie-zimowy czas, już po sezonie nawigacyjnym to dobry okres na chwilę zadumy nad potęgą przyrody i niezbadanymi możliwościami człowieka, pełnego wiary w życie i woli jego ratowania. Na tę wstrząsającą relację - ujętą w formie literackiej, pełną piękna, głęboko ludzkich przeżyć w obliczu potęgi sił przyrody - natknąłem się w Kronice AZM-u w Szczecinie. Relacja ukazała się w trzecim numerze „Zeszytów Żeglarskich” w 2002 roku.

Niebo było ołowiane.

Smugi dżdżu łączyły niskie chmury z mętną wodą płynącej po przeciwległej stronie Martwej Wisły. Z prawej strony rozciągała się zieleń płaszczyzny Westerplatte, z lewej - prostopadłe z wody wznosiły się ponure czerwone mury starego fortu. Miały one kolor zakrzepłej krwi na jakiejś potężnej, oślizgłej ranie. Taka pogoda trwała już trzeci dzień. Moja załoga miała wyznaczony tego dnia pierwszy ćwiczebny rejs. Czekaliśmy na przejaśnienie, na to, by przestało lać - od rana. Dopiero ok. 5-tej po południu, odkotwiliśmy z basenu. Wyszliśmy z trudem, gdyż wiał wiatr prostopadłe do toru wodnego basenu. W pół godziny po wyjściu na farwater dobiliśmy do kapitanatu. Po załatwieniu wszystkich formalności, wyruszyliśmy na zatokę. Tu mieliśmy nierówną trójkę z sudtenwestu, stan morza 3, zachmurzenie 10. Byliśmy wszyscy na pokładzie.

Przy rumplu zmienialiśmy się co pewien czas. Ciągłe rozlegało się głos komendy: „do zwrotu przez sztuk, do zwrotu przez rufę, człowiek za burtą”. Stwierdziłem z niemalym żalem, że oni się wszyscy znają, a ja jestem obcy — jestem sam, gdzieś tam, ze Szczecina.

Drażek sterowy dostałem ostatni i gdy go wziąłem do ręki, czułem, że oni odnoszą się do mnie z rezerwą, nie mają przekonania do mnie — widziałem troskę w oczach kapitana, bo to tam właściwie nie wiadomo, czy on w ogóle widział jacht.

Po paru zmianach sytuacja jednak wyjaśniła się.

Niepostrzeżenie ten nasz maleńki świat — otoczony ze wszystkich stron groźnie szumiącym morzem — zaczęła oplatać wyraźnie cieniutka nić serdeczności.

Zaczęliśmy mówić sobie wszyscy po imieniu. Wtedy stwierdziłem, że Jurek jest dobrze zbudowany, że Pimpus to zuch i ma ładne, jeszcze niebieskie oczy, że Magdalenka jest kondycyjnie najsłabsza i sprawiała wrażenie przemęczonej. Dowiedziałem się też, że Wandę nazywają „Syrenką”, oraz że jest to jej ostatni pożegnalny rejs na tym obozie i chyba w tym sezonie żeglarskim.

W międzyczasie znów zaczął padać deszcz.

Wiatr przybierał na sile, uderzał nierówno w naprężone płótna. Zaczynało grać na wantach. Powoli zapadał zmrok. Przed ósmą znowu byłem sternikiem. Dziewczynki poszły do messy, my zostaliśmy we dwóch na pokładzie. O ósmej wykonałem ostatni zwrot — ostatni zwrot przez sztuk... by wracać do domu. Brzegu już nie było widać, kurs trzymałem na wiatr, szliśmy ostrym bajdewindem prawym halsem. Stalowo-szare fale z trzaskiem rozbijały się o relingi, ze złością chłostały burtę. Woda bryzgła w twarz, słono miałem w ustach. W pewnym momencie stało się jasno, ale ta jasność była jakaś ohydna, trupia. Zabłąkana mewa z krzykiem pełnym grozy uciekła w stronę brzegu.

Nagle wszystko pociemniało, zmatowiało. Czułem w tej chwili, że coś się stanie. Chwyciłem drążek obiema rękami. Nagle cały jacht zadrżał. Wydało mi się, że słyszę niemal ludzkie, ciężkie westchnienie. Przez moment miałem

Zeszyty Żeglarskie

SZCZECIN

NR 3

listopad 2002





spostrzegłem, że jacht nie poddaje się mojej woli, że stał się bezwładnym ciałkiem. Stało się to wszystko przeraźliwie szybko, a białe, bezsilne, niepotrzebne już zagłę leżały na fali... A gdy niepostrzeżenie ta nasza maleńka rzeczywistość — otoczona ze wszystkich stron groźnie szumiącym morzem — zaczyna nas oplatać, znów zwała się na mnie cały ogrom przeżyć, cały koszmarny doznanych wrażeń; i im bardziej zdaję sobie sprawę z tego, co zaszło, tym wyraźniej widzę, jak bezsilnym jest człowiek w walce z żywiołem o życie w takich warunkach.

Tak — to było okropne: stwierdzić, że nie można pomóc koledze, że nas jest coraz mniej, że za chwilę może to mnie spotkać, że zaraz zwątpię w życie, nie zechcę walczyć ze snem, ze znużeniem, z nieustannym bryzgiem fali w oczy, otwarte usta, w twarz.

I gdy było się tak — na granicy świadomości — przychodziły ciągle pokusy, by tę granicę przekroczyć, bo tam jest spokój i cisza. Ciało domagało się odpoczynku. I wtedy ten oszałamiająco jednostajny bryzg fali stawał się poszumem kojącym, zapowiadającym Ciszę!

Takich momentów granicznych było coraz więcej. Jeszcze się walczyło, jeszcze się pracowało całym ciałem, płynęło, ale to, co się działo na zewnątrz, dochodziło do mózgu coraz trudniej — coraz trudniej.

Ten ciągły ruch ciała był coraz bardziej instynktownym, samozachowawczym, wyjętym spod kontroli zmysłów, które zawiodą coraz bardziej. Prawdopodobnie temu trzeba przypisać fakt, żeśmy oboje — jeszcze żywi — dopłynęli do brzegu.

Od pierwszych chwil po awarii — Wandka i Pimpus (Anna Potulicka) — zachowywały się dzielnie, były skupione i zupełnie spokojne. Na twarzach i w oczach nie miały ani skazy strachu! A woda była zimna, padał deszcz, pod zwalającymi się chmurami trudno było rozeznaczyć brzeg. Do dyspozycji mieliśmy każdą kamizelkę-kapok oraz jedno koło ratunkowe i — aby było łatwiej płynąć — zostaliśmy wszyscy w kostiumach kąpielowych. Płynęliśmy, trzymając się koła jedną ręką, wolną zaś ręką i nogami wiosłowaliśmy. Póki nie zabłyśnięcie światła portowe, płynęliśmy pod falą i pod prąd. Gdy zaczęło świtać, woda stawała się zgniło-brunatna. Białe grzywy fal na tym tle wyglądały niesamowicie. Chmury wlokły się nisko, padał deszcz. Fala się nie zmniejszała. Po raz trzeci staraliśmy się z Wandką ratować Pimpusia. Wydawała mi się ona strasznie mała; miała takie dziecięce, jasne niebieskie oczy i tak ufnie patrzyły te oczy na nas — a my byliśmy bezradni. Później tylko słyszałem słowa Wandki: „ona już nie żyje”.

Zdjęliśmy z niej kamizelki ratownicze. Pomogłem włożyć jedną — już trzecią z kolei — Wandce; jedna pozostała dla mnie. Zostaliśmy we dwoje. Stawało się coraz jaśniej; przed nami widniał wąski pasek brzegu w beznadziejnie jednakowej odległości — przynajmniej tak nam się zdawało. Nawoływaliśmy się ciągle po imieniu. Po pewnym czasie stwierdziłem, że Wandka odpowiada coraz bardziej sennym głosem, coraz bardziej bezwolnym — a moje perswazje, prośby i nakazy, by nie poddawała się, nie pomagały. Coraz bardziej popadała w straszne oszołomienie. Wtedy pomogłem jej zaczepić się, objąć koło obiema rękami. Tak holując ją płynąłem sam.

Zimno było potworne.

Błyskawice chłodu, przebiegając od karku do pięt, sprawiały coraz gorszy ból fizyczny. Chciało się potwornie spać. A tu wkradała się coraz do świadomości myśl: teraz już kolej na mnie. A brzeg było ciągle widać i nie można było do niego dobrać. Zdawało się znów, że to nie brzeg, że to przywidzenie — i do tej pory tłumiona siłą woli rozpacz i zwątpienie zaczęły wypełzać z dna duszy i z szarych, mętnych, zbalwanionych fal i chwytać za gardło. Wydawało mi się, że jestem bardzo daleko od rzeczywistości. Nie czułem już wody, nie czułem sytuacji, w jakiej byłem i było mi to wszystko właśnie takie dalekie. Takie złudzenia odległości miewałem kiedyś w dziecięcych latach, gdy byłem chory na zapalenie płuc i miałem silną gorączkę.

Mniej więcej godzinę przed brzegiem nagle dotarło do mojej świadomości, że jestem sam.

Wandka była jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów w bok ode mnie na fali, miała twarz nad wodą; utrzymywały ją kamizelki ratownicze. Nie wiem, czy płynęła. W przypływie jakiejś energii krzyknąłem:

— Wandka — wracaj, bo zginiesz.

I znów zapadłem w ten bezwład woli, w obojętność i nieświadomość otoczenia. Widziałem ją jeszcze raz, a później słyszałem jej krzyk. Nie rozumiałem słów — chyba to już nie były słowa nawet. Ale czułem, że ona mnie woła, że woła pod wpływem grozy, jaka nią owładnęła, gdy dotarło do jej świadomości, że jest sama.

Ja to czułem wtedy — to było straszne! To była moja najcięższa chwila, wtedy chciałem już nie żyć.

W tym momencie czułem, że powinienem, że moim obowiązkiem jest pomóc — ale równocześnie wiedziałem, że nie jestem w stanie uczynić tego, że nie mogę jej pomóc!! I znów odległość odczuć i znów ohydny bryzg zmienia się w cichy poszum i znów wąski pasek brzegu — czy rzeczywisty, czy nie.

Potem brzeg. Instynkt mnie palił: jak najdalej od wody; potem świadomość, że w tej drodze do ludzi, do życia — po wydmach, okopach i karłowatej sośninie dzikiego brzegu — nie mogłem utrzymać równowagi. Ale szedłem, przewracałem się, czołgałem, byle tylko dalej.

Potem ludzie, dom, gorący napój, karetka pogotowia, szpital, sześć godzin koszmarnego snu.

A potem znów jedna z rzędu najgorszych chwil. Analiza przeżyć w pełni świadomości zmysłów.

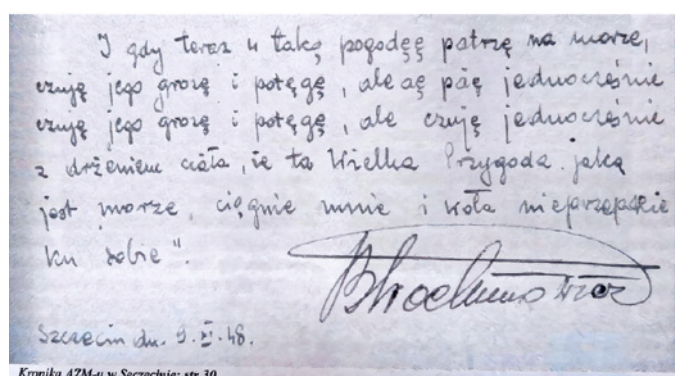
I jeszcze kilka ciężkich momentów: pierwszy dzień w obozie — nastrój kolegów i fakt wyrzucenia ciała Pimpusia przez morze wpłynął na mój stan nerwowy nadzwyczaj źle oraz rozmowa z matką Jurka i ojcem Wandy.

Obóz zbliżał się ku końcowi, pogoda ciągle była sztormowa. I gdy wychodziliśmy na ostatni rejs — niebo było ołowiane, smugi dżdżu łączyły chmury ze wzburzoną mętną falą i gruzami całych dzielnic Gdańska, cegły fortu były coraz bardziej krwawe, ale nie wróżyły już śmierci.

Wróciliśmy wszyscy cali.

I gdy teraz, w taką pogodę, patrzę na morze, czuję jego grozę i potęgę, ale czuję jednocześnie — z drżeniem ciała — że ta Wielka Przygoda, jaką jest morze, ciągnie mnie i woła nieprzeparcie ku sobie.

Bolesław Trochimowicz
Szczecin dn. 9.XI.1948



Kronika AZM-u w Szczecinie; str 30

Czekając na horyzont

Na oceanie czas nie płynie — on się toczy. Nie ma godzin, są oddechy; nie ma kalendarza, jest rytuał: sprawdź szew tratwy, wypłucz destylator, wyprostuj hak, policz krople deszczu w menzurce zrobionej z plastikowej butelki. Gdy pytano rozbitków, co najbardziej pamiętają z długich dni, „bez ratunku”, rzadko mówią o grozie. Częściej — o czynnościach, które sklejały rozbitą rzeczywistość. Bo na morzu przeżywa nie ten, kto ma „silną wolę”, tylko ten, kto potrafi zorganizować własną bezsilność.

Steven Callahan — 76 dni na tratwie (Atlantyk, 1982) — Amerykański żeglarz, projektant i konsultant bezpieczeństwa na morzu. Autor bestselleru „Adrift: 76 Days Lost at Sea” (1986). Nazwał siebie „wodnym jaskiniowcem”. Jaskiniowiec nie ma planu na życie, rozpisane na lata. Ma dużo, ogień i dzień. Callahan miał tratwę, parę destylatorów słonecznych, włócznie do ryb, zszywki i linę. Przetrwał 76 dni. Udało mu się, bo zredukował świat do rzeczy, które potrafi naprawić: zacerować, podwiązać, podmienić. Reszta — wiatr, prądy, rekiny — to elementy, na które nie ma wpływu. Nie może ich lekceważyć, a tym bardziej prowokować. „Aquatic caveman” to nie poza. To technologia przetrwania.

„Z czasem stałem się ‘wodnym jaskiniowcem’.”

„Przeraziła mnie myśl, że za parę godzin umrę; znalazłem sposób, żeby uszczelnić tratwę — i to było największe zwycięstwo mojego życia.”

Alain Bombard - 65 dni, dobrowolny rozbitek (Atlantyk, 1952) Francuski lekarz i oceanonauta. Jego eksperyment z 1952 r. zrewolucjonizował myślenie o ratownictwie; później działał publicznie i politycznie.

Bombard poszedł jeszcze dalej. Żeby udowodnić, że rozbitek może żyć „z morza”, z własnej woli wyruszył przez Atlantyk na pontonie. Bez zapasów. Dał światu formułę, która wielu oburza do dziś: „trochę słonej wody”, sok z ryb, plankton, deszczówka. Bombard wiedział coś, co współczesna kultura wypiera: ciało jest mądrzejsze niż nasz lek. Da się obejść głód, jeśli wystarczy ci odwagi, żeby codziennie wykonać to samo — łowić, odciedzać, żuć, spać, latać. Czy to heroizm? Owszem. Ale to heroizm rzemiosła, nie fanfaronady.

„Walczyłem w imię człowieka przeciw morzu, lecz ważniejsze stało się walczyć w imię morza przeciw ludziom.”

Poon Lim — 133 dni na tratwie (południowy Atlantyk, 1942–43). Urodzony w Chinach, podczas II wojny światowej służył jako steward na statkach handlowych. Odznaczony British Empire Medal; po wojnie wyemigrował do USA. Pobił rekord. 133 dni na tratwie podczas wojny. Gdy poproszono go o komentarz, rzucił zdanie, które powinno wisieć nad drzwiami każdego klubu żeglarskiego:

„Mam nadzieję, że nikt nigdy nie pobije tego rekordu.”

Tyle. Zero mitologii. Rekord cierpienia to nie puchar. To rachunek.

Są też historie „krótsze”, choć nie mniej dramatyczne.

Tami Oldham Ashcraft — 41 dni na uszkodzonym jachcie (Pacyfik, 1983). Po huraganie płynęła 41 dni bez masztu. Z sekstantem i zegarkiem. Zamiast „mocy charakteru” — precyzja. Zamiast „wiary” — nawigacja. W żeglarstwie, jak w życiu, najbardziej metafizyczna jest... dokładność. Kąt, minuta, przebieg słońca. Tami nie „czekała na cud”. Obrabiła kurs a czas wypełniła pracą.

„Ten sekstant uratował mi życie.”

„Nie igras się z Matką Naturą. Studiuj pogodę, a nie ulegniesz jej przemocy.”



A Tony Bullimore? Brytyjski żeglarz oceaniczny; po wypadku kontynuował pływanie i działalność publiczną. Zmarł w 2018 roku. Kilka dób pod wywróconym kadłubem na Antarktydzie to esej o energetycznej ekonomii: ogranicz oddech, zatrzymaj ciepło, nie wykonuj zbędnych ruchów, trzymaj w głowie obraz latarni wskazującej ratunek. Na dnie świata, w ciemnej klatce kadłuba, nie wygrywa „optymista”. Wygrywa kontroler strat.

Z tych historii chciałoby się zbudować jedną narrację o „niezłomnym człowieku”. To zbyt łatwe. Oni nie są z tej samej gliny. Różni ich temperament, epoka, morze, sprzęt. Łączy co innego: wszyscy znaleźli sposób, żeby oswoić czas, uchwycić go, nie ulec jego presji.

Callahan — „wodny jaskiniowiec”. Bombard — „dobrowolny rozbitek”. Baileyowie — „dni bezruchu i rytuałów”. To nie są literackie figury. To narzędzia. Zrozumienie stanu uwalnia od paniki, pozwala nadać formę temu, co bezkształtne. Kto nie opisze sytuacji — ten tonie w dewiacji własnego mózgu. Kto nazwie

— układa dzień w „kostki”: rano woda, w południe ryba, wieczorem naprawa, nocą patrzenie w niebo.

Pytanie: czy wracali do żeglowania? Większość – tak. Callahan wrócił nie tylko do pływania, ale i do projektowania: został jednym z najbardziej przezornych i zapobiegliwych konstruktorów tratw. Tami wróciła, bo morze, bo jak nikt inny - potrafiła być niewolnikiem własnego panowania nad czasem i otaczającym ją światem. Bullimore wrócił, bo ani przez chwilę nie poczuł, że był „ofiara morza”. Podjął grę, nie popełnił błędu i dlatego przeżył. Poon Lim nie wrócił do zawodu. Uznał, że wyczerpał swoje w tym zakresie możliwości. Nie uległ rutynie ani przekonaniu, że odniósł jakieś zwycięstwo. Uznał, że trzeba postawić kropkę.

A co ich trzymało przy życiu? Ktoś powie: wiara w ratunek. To zbyt proste, wręcz banalne. Wiara to nie jest aromatyczna kawa, którą bez końca można wlewać do filiżanki.

Więc co?

1. **Woda.** Destylatory słoneczne, menzurki z butelek,



rynny z plandek, smak deszczu, który śni się po nocach. Kto pływa, wie: logistyka wody to gramatyka przetrwania.

2. **Jedzenie.** Ryba, ptak, żółw. Hak z drutu, żyłka z rozplecionej liny, włócznia ze stopki masztu. I to, co w mieście uchodzi za dziwactwo, tu staje się aksjomatem: nic się nie marnuje.

3. **Rytm.** Rytm to religia bez bóstwa. To rzeczy czynione o tej samej porze, w tej samej kolejności, choćby niebo się waliło. Rozbitek, który przetrwa, to ten, kto nie „walczy z oceanem”. To człowiek wielce i tylko skoncentrowany.

Świat rozbitka jest banalny i nieskomplikowany. Aby w nim przetrwać trzeba odrobić tylko jedna lekcję. Jej treść gwarantuje ratunek na wodzie, ale także na lądzie. Gwarantuje każdemu, kto chce się uratować.

– **Minimalizm informacyjny.** Gdy widnokrąg ma 360 stopni, nagle rozumiesz, że naprawdę potrzebujesz tylko trzech danych: skąd wieje, dokąd płynie prąd, co jest w środku twojej łodzi. Reszta to zbędne bonusy.

– **Pożytki z nudy.** Na oceanie nuda nie jest wrogiem. Jest narzędziem: uspokaja metabolizm, podporządkowuje ciało rytmowi, zmusza do oszczędności. Na lądzie z nudą walczymy scrolowaniem. Na morzu – pracujemy w ciszy.

– **Etyka konserwacji.** Tratwa Callahana przetrwała, bo była nieustannie nadzorowana. Ta sama logika ratuje związki, instytucje, miasta: nic nie „działa samo z siebie”. Wszystko wymaga przeglądu, łaty, poprawki.

– **Nazwy ratują.** „Aquatic caveman”, „dobrowolny rozbitek” — to nie memy, to uchwyt a zarazem filozofia. Daj rzeczom i sytuacjom nazwy, które pomagają nad nimi zapanować. Na morzu, ale także lądzie.

I jeszcze jedno. W każdej z tych historii jest moment, w którym

bohater(ka) przestaje pytać „dlaczego ja?”. W zamian pojawia się pytanie „co teraz?”. To jest granica między rozpaczą a działaniem. Nie ma w tym patosu. Jest skromna, jasna decyzja: dziś zrobię trzy rzeczy. Jutro – trzy inne. To jest pragmatyka ocalenia.

Czy takie opowieści są „motywacyjne”? Jeśli motywacja oznacza, że po przeczytaniu wstaniesz od biurka i kupisz trawę — to nie. Ale jeśli oznacza, że zrobisz przegląd własnych „destylatorów” (narzędzi, którymi odzyskujesz wodę w świecie pełnym soli złości i nienawiści), że uporządkujesz rytm dnia i przestaniesz mistyfikować „siłę charakteru”, zastępując ją konkretem — to tak.

Bo żeglarze-rozbitkowie nie uczą nas, jak „zwycięzać”, tylko jak żyć na krawędzi braku. A to, bądźmy szczerzy, jest stan coraz mniej egzotyczny. W czasach nadmiaru bodźców i deficytu sensu, ich lekcja jest brutalnie prosta: przeżywa ten, kto potrafi skupić się na sprawach i rzeczach naprawialnych.

Można więc ten oceaniczny „czas oczekiwania” na ratunek nazwać jak się chce — ciszą, pustynią, jarzmem. Ja zostanę przy roboczym tytule z dziennika pewnej pary dryfującej miesiącami po Pacyfiku: „dni bezruchu i rytuałów”. To w tej powtarzalności, nie w heroicznym zrywach, rodzi się odporność.

A kiedy wreszcie na horyzoncie pojawia się sylwetka statku albo skrawek zieleni – następuje rzecz, którą lubię najbardziej w tych opowieściach. Otóż nie ma fajerwerków. Jest długie, ciche „dziękuję”. Potem — praca. Na morzu i na lądzie to zawsze się tak kończy:

– **Dziękuję – i do roboty.**

POLSKIE ŻEGLARSTWO **PRO**-KREACYJNE (01)



Waldemar Heflich - W tytule... Chyba się... przejęczyłeś...

Marek Koszur - To się okaże, ale pod koniec naszej rozmowy.

Waldemar Heflich - No to... wszyscy do żagli!



W moim telewizyjnym magazynie MORZE, w latach 80/90. XX wieku kilka razy weryfikowałem dane mówiące o tym, że to żeglarze tworzą największą na świecie grupę zarejestrowanych sportowców.

- Hobbystów... Yachting to zrazu był przede wszystkim styl i sposób na życie ciekawe i spełnione. Ale rozwój żeglowania rekreacyjnego – nagle – stał się funkcją postępu techniki we wszystkich dziedzinach i... uzależnił się od zamożności społeczeństwa. Zwróć uwagę – chcesz więcej osiągnąć podczas pływania, musisz mieć na to środki. Cóż za inspiracja do wysiłku, wydajności, do nowych planów!

- Bogatsi mogą więcej... To są również ludzie odważniej myślący.

- Muszą nieustannie pokonywać kolejne bariery. Obok sprzętu, finansów – muszą mieć czas. A z tym bywa różnie. Pokazywałem te aspekty w moim programie, *Z wiatrem i pod wiatr*, który realizowałem w twoim szczecińskim ośrodku RiTV. Nigdy wcześniej i nigdy później Telewizja Polska nie miała dwóch cotygodniowych programów tak popularyzujących sprawę morza.

- MORZE pojawiał się w każdą niedzielę, w samo południe. Jeśli wierzyć dokumentacji - około 350-400 odcinków, do roku 1996.

- Oba programy były dla tysięcy widzów - morskim oknem na żeglarski świat. Aż trudno uwierzyć, jak wiele osób pamięta te materiały. No i tę twoją *piracką czołówkę - Pirates king?*

- Tak. Rzeczywiście. Na YouTube do dziś wzbudza emocje. Pierwszy raz w TVP, własnymi siłami (podróżując czerwonym polonezem) relacjonowaliśmy m.in. regaty Round

Europe. Złoty żaglowców szkolnych, spotkania maszoperii rybackich, Kieler Woche - byliśmy wszędzie! Nie zapomnę regat w 500 rocznicę odkrycia Ameryki, gdy z Barcelony, na japońskich replikach floty Kolumba wypływaliśmy na podbój świata.

- Polonez... Świetne auto, jednak spać w nim się nie dało... Ale dla ujrzenia na własne oczy parady admirałkiej w Amsterdamie podczas finału regat Cutty Sark - warto było znieść wszelkie niedogodności.

- **Być tam, razem z nimi, ludźmi z całego świata, na którego progu ledwie stanęliśmy po roku 1989, na watach, przy kole sterowym... Kiedy ten żeglarski świat wirował, przecinał atlantyki, pacyfiki, my - patrzyliśmy na globus, wtapialiśmy się w pojezierza, morskie przybrzeża, co najwyżej - pływanie zatokowe. Ale wszyscy zaczynają od żeglarskiego elementarza. Od rzetelnej, solidnej nauki. Od żłobka, od przedszkola, od kołyski... Na wodzie.**

- Tak... Czyj to był pomysł? W Antibes albo w Cannes chcieliśmy policzyć, ile jachtów cumuje przy nabrzeżach tylko w centrum tych miast?

- **Tak... Nie zmieściłby się w naszych głowach kalkulator zdolny dokonać takich obliczeń.**

WYCHOWANIE MORSKIE

- **Kołyska to w gruncie rzeczy... łódka! Co było pierwsze?**

- W Polsce mamy około 60 tysięcy jachtów żaglowych i motorowych, morskich i śródlądowych. A jest nas prawie 38 milionów mieszkańców. W Finlandii – przy 5,5 miliona mieszkańców – jest ponad milion jachtów. Francuzi mają grubo ponad milion jachtów, Norwegowie – ponad milion, Niemcy – 550 tysięcy. W trzech portach niemieckich stoi więcej jachtów niż na całym polskim wybrzeżu Bałtyku. Zachodni Europejczycy są po prostu bogaci. Poza tym – mają czas...

- **I tradycje...**

- Szalenie ważna kwestia. My jesteśmy skoncentrowani na pływaniu po jeziorach, po wodach śródlądowych. Tu jest taniej. Wyczarterowanie jachtu na takie rejsy jest tańsze od wyprawy morskiej.

- **My nie zdążyliśmy zostać narodem morskim...**

- Państwo morskie ma bezpośredni dostęp do morza lub oceanu, co daje mu ekonomiczne możliwości i wpływa na strategię polityczno-militarną. Aż do XIX wieku stosunek Polaków do morza był raczej chłodny. Już w XV wieku poeta streścił to w słynnym zdaniu: „*Może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze*”.

Uzyskana w 1918 roku niepodległość i obecność Polski nad morzem stworzyła nową sytuację. Generał Haller zaślubił nas z morzem i stało się ono ważne dla młodego państwa. W II RP pojawiły się żaglowce szkolne „Lwów” i „Dar Pomorza”, a jego rejs dookoła świata był wielkim wydarzeniem. Szukano wszystkiego, co mogłoby łączyć Polskę z morzem. Wielkie zasługi miała Liga Morska, miesięcznik „Morze” i działalność gen. Mariusza Zaruskiego. Kulminacją były starania o pozyskanie dla kraju kolonii zamorskich.

Polska była narodem morskim tylko dlatego, że ktoś tak zadekretował. Żeby stać się krajem morskim – tak jak w Skandynawii, Francji czy Wielkiej Brytanii – trzeba setek lat obcowania i pracy nad morzem i dla morza. Tam ludzie są

świadomi obecności morza w gospodarce, kulturze i tradycji. Morze jest komponentem codzienności, obecne także w systemie edukacji młodych ludzi.

- **Tam udział w ruchu żeglarskim, członkostwo w klubach, jest wręcz przywilejem. Masz się czym pochwalić – jesteś żeglarzem! Dla nich to brzmi dumnie, ale także zwyczajnie. Biznesmen, artysta, naukowiec, który żegluje, podnosi swój prestiż o więcej niż jeden szczebel wyżej.**

- Bo żeglarzem nie może być byle kto.

- **Jeśli musisz poddać się operacji, szukasz najlepszego lekarza. Jeśli masz na jachcie wypłynąć na ocean – szukasz najlepszego kapitana, człowieka, który swoją wiedzą i profesjonalizmem daje gwarancję bezpieczeństwa.**

- Polacy lubią żeglować.

- **Tak jak lubią szarlotkę i rosół.**

- Prawdę mówiąc: incydentalnie, egzotycznie i orientalnie. Krótki rejs to atrakcja – ciepło, niezbyt buja i stosunkowo tanio.

- **Dla wielu Polaków żeglowanie to nie jest potrzeba, to ledwie kaprys.**

- Nie przeczy to faktowi, że generalnie żeglować lubią. Mają smykałkę. Nieźle radzą sobie w trudnych warunkach. Mamy naprawdę dużą grupę ludzi, którzy stają się żeglarzami na tydzień lub dwa: na mazurski rejs, krótki czarter w Chorwacji czy nawet krótki wypad na Bałtyk. Wracam – i już nie jestem żeglarzem. Nie interesuję się żeglarstwem, nie bywam w klubie, nie uczestniczę w żeglarskiej społeczności...

- **Znów jestem... normalny.**

SPOŁECZNOŚĆ ŻEGLARSKA

- **Jest taka społeczność?**

- Hm... Jedź do Cowes na Isle of Wight w Anglii, wejdź do klubu na południu Francji – wszędzie zobaczysz mnóstwo osób, spędzających każdą wolną chwilę w klubie, przy swojej łódce, w rozmowie z innymi żeglarzami.

- **Ale nie inaczej jest u nas... Wpadnij nad Dąbie. Jest jacht, jest domek lub barak albo inna szopa na fundamencie z wiatru. Są kempingi, własne pachołki, hangary do leżakowania i remontowania jednostek. Jak na działce... warzywnej. Miło, swojsko, prząśnie. A na Łazurowym Wybrzeżu – las masztów. Kadłuby ściśnięte jak śledzie w sieci. Piękne jednostki jak sfory bezpańskich psów czekających, by je ktoś wyprowadził za główki falochronu.**

- Paryżanie przyjeżdżają tu swoimi pociągami TGV na weekend z Paryża. My powoli zaczynamy tworzyć podobny model. W centrum Szczecina masz przystań...

- **...wspomnień. Nie pamiętam, kiedy widziałem tu las masztów. Stoją kamienne, monumentalne i martwe Wały Chrobrego. Waldku, wyobraź sobie – nieustannie kręcące się na tle tych budowli piękne jachty. Magnetyzm w czystym wydaniu. Poezja i inspiracja, piękno i realizm krajobrazu wodnego, choć chciałem już powiedzieć – morskigo.**

- Masz piękny port w Kamieniu Pomorskim.

– Nie mniej atrakcyjny jest w Świnoujściu w byłym basenie jednostek radzieckiej marynarki wojennej. To sto kilometrów od Szczecina! A propos... A znasz historię powstania tej maryny? Zostawmy sobie tę kwestię na osobne spotkanie. Idźmy dalej, na wschód...

– Trójmiasto. W Polsce bezkonkurencyjne pod względem bazy żeglarskiej. My mamy bardzo specyficzne wybrzeże. Nie mamy szkieł, nie mamy wysp. Mamy prościutką linię wybrzeża, niezbyt przyjazną dla uprawiania jachtingu. Gdybyśmy mieli Alandy albo szkiery norweskie czy szwedzkie, byłoby nam zdecydowanie łatwiej rozwijać żeglarstwo. My przez lata mieliśmy olbrzymi deficyt miejsc do cumowania. Nasze porty zawsze były zapyziałe, choćby basen imienia generała Żaruskiego, który powstał przed wojną. No ale teraz to się zmienia. Coraz trudniej cumować łódką w Gdyni.

PORTOWA PUSTYNIA

– Bo nie budujemy nowych przystani.

– Na tę właśnie kwestię zwracają uwagę producenci jachtów...

– Hm... znak czasu... Zauważ – mówimy producenci, a nie... stocznicy. A skoro już o przemyśle stocznio wym wspomnieliśmy. Czy w Polsce kupuje się jacht tak jak samochód? Czy w Finlandii, Norwegii kupuje się jacht tak jak samochód?

– W Finlandii, Norwegii, nawet we Francji kupuje się jacht w sposób bardzo przemyślany, nie jak samochód. Jako coś ekstra.

– To inwestycja, lokata, a zarazem zabezpieczenie sobie sposobu na spędzanie czasu. Wiesz, zaryzykuję twierdzenie: istnieje ściśle powiązanie stawki za godzinę pracy z ceną za metr powierzchni żagla lub pokładu jachtu.

– Im więcej pracujesz i odpowiednio zarabiasz, tym więcej czasu masz na uprawianie żeglarstwa. Możesz sobie przy dobrych zarobkach pozwolić na dłuższy urlop. I taki rynek pracy jest zdrowy, promuje wydajność i efektywność wymieniającą na rekreację i radość życia.

– I znów wracamy do rangi żeglarstwa w życiu codziennym. Wiele razy przekonałem się, że yachtsmeni równie serio i poważnie traktują sport oraz pracę zawodową. Ruszasz na wodę z taką samą solidnością, jak zasiadasz przy biurku, taśmie produkcyjnej czy przy stole operacyjnym. Realizowałem kiedyś reportaż o francuskiej mistrzyni połowów tuńczyka. Miała swoją restaurację. Jak wiesz, kamera jest bezlitosna. Niczego nie ukryje, niczego nie doda. Filmowaliśmy ją w obu sytuacjach. Pamiętam wyraz twarzy tej kobiety, gdy serwowała dania gościom w restauracji i spojrzenia oraz uwagę, z jaką przygotowywała sprzęt połowowy... Ja myślę, że powinniśmy mówić o fundamentalnej różnicy między nami, a ludami morskimi: tam obcowanie z morzem jest codziennością, oczywistością, elementem natury tych ludzi. Z kolei bycie na morzu przenosi – jeśli mogę tak powiedzieć – paradygmat morski w warunki lądowe. Oni nie parkują auta przy krawężniku tylko "cumują" je przy ulicznym nabrzeżu. Gdy widzą chmury na choryzoncie, rozglądają się wokół i spawdzają, czy nagły szkwał nie porwie jakiegoś przedmiotu.



– I tę prawidłowość zauważam już w niektórych miejscach w Polsce. Żebyśmy tak jeszcze umieli dbać o nasze żeglarskie tradycje. Nie zaryzykuję twierdzenia, że wszyscy, ale nie wątpię, że starsze pokolenie doskonale wie, kim był Teliga czy Kuba Jaworski. Krzysztof Baranowski jest niezmiennie i ciągle aktywny. Ale niedawno rozmawiałem z młodymi ludźmi, którzy – niestety – nie wiedzieli, kim była Krystyna Chojnowska-Liskiewicz. Polka. Pierwsza kobieta, która... samotnie opłynęła świat.

– A na początku naszej rozmowy podejrzewałeś, że w jej tytule się przejęczyłem. Nie. Mieliśmy mówić o żeglarstwie rekreacyjnym. Tymczasem jesteśmy ciągle na etapie żeglarskiej prokreacji.



cdn



Na stronie obok - żeglarska rzeczywistość DZIŚ - pełna kolorów i dynamiki. Czy bardziej emocjonująca niż ta sprzed lat?

U góry: Andrzej Sokołowski i Michał Jósewicz

Obok: Jerzy Madeja

U dołu: Andrzej Pęcherzewski na Ok. Dinghy w regatach.

„Musimy żeglować czasem z wiatrem, czasem pod wiatr, ale żeglować, nie dryfować ani stawać na kotwicy.”

— Oliver Wendell Holmes,
amerykański lekarz, poeta i eseista, 1809 - 1894



Selaginella lepidophylla – znana jako „róża pustyni” – to niezwykła roślina pustynnych rejonów Meksyku i południowych USA, zdolna „ożyć” i oczarować po kontakcie z wodą. W Polsce, a dokładniej na Pomorzu Zachodnim, nie występuje – nie tylko w sensie botanicznym, ale – co bardziej niepokojące – również mentalnie. Przyczyna pozostaje niejasna: czy głowy lokalnych „mędrców” są tak intelektualnie jałowe, czy może woda w rzekach i jeziorach stała się po prostu „ciężka”?

Pewne jest jedno: znajdujemy się w jednym z najlepiej naturalnie predysponowanych regionów Polski – a nawet Europy – pod względem warunków do żeglarstwa. Tylko rejony takie jak Friesland, Finlandia czy – uwaga – niemieckie Przedpomorze mogą z nami konkurować w tym względzie. A mimo tego – sporty wodne w naszym regionie są zjawiskiem wręcz unikalnym.

W regionie mieszka około 1,66 mln osób (stan na koniec 2024 roku). W „Sprawozdaniu z działalności Polskiego Związku Żeglarskiego za rok 2019” wykazano tu: 47 klubów i 2 050 członków (stan na 31.12.2019).

Dla regionu niemieckiego Segler-Verband Mecklenburg-Vorpommern e.V. - odpowiednio: 84. kluby i 9500 członków. Liczba mieszkańców Mecklenburg-Vorpommern wynosi 1 573 897 osób (stan na 31.12.2024 r.).

Oba regiony zajmują podobną powierzchnię - po ok. 23 tysiące km². W Meklemburgii - woda powierzchniowa stanowi 5% tego obszaru. W naszym regionie - nie wiadomo.

BEZ / MORZE SZCZECIŃSKIE

albo cnota bajdewindem niepokalana



Podtytuł nie ma przełożenia na terminologię żeglarską. Ale chyba nie najgorzej prezentuje się w roli metafory? (Lubię zabawę słowami).

Mnie jednak za pisanie tych felietonów nikt nie płaci - zresztą za nic, a tym bardziej za kreowanie metaforyki żeglarskiej. Więc na własny koszt (i ryzyko) stanowić będą nowe standardy.

Zatem - z administracyjnego, politycznego punktu widzenia sformułowanie powyższe prezentuje się zgola oryginalnie. Przeanalizujmy: „cnota, która w warunkach trudnych (kurs 'bajdewind' oznacza kurs ostro, wręcz przeciw wiatrowi, wymagający od skippera dużej wprawy) pozostaje czysta, niepokalana”. W takim sensie – to poetyczne

powiedzenie, łączy świat żeglarstwa i świat etyki. Bo jak inaczej miałbym moją myśl wyrazić? Że w sprawach upowszechniania żeglarstwa, (cnota) włodarze tego regionu, zachowują się jak chłop, co wykalczką stogi siana formuje? Wobec prawdziwego wyzwania, każdy normalny człowiek będzie ostrzył kurs na wiatr. Bo dopiero wtedy "jest jazda, że hej"! Ale... nie każde portki nadają się na żagle. Na marginesie: bardzo spodobała mi się definicja ze strony www.tawernaskipperow.pl: Skoro płyniemy bajdewindem, to oznacza, że cel naszej podróży znajduje się z grubsza przed nami, a wiatr uparcie chce nas od tego celu odepchnąć.

Panie prezydencie, panie marszałku - w tym kontekście, niekiedy, warto rozważyć zamianę długich, na krótkie spodnie. Bo tymi długimi - krótkiej wyobraźni nie przykryjecie. W sprawach ducha i materii filozoficznej, a więc żeglarskiej - bliżej wam do młyńskiego kamienia niż welonu Dulcynei. Co prawda, ostatnio, pan prezydent zgłębiał istotę malarstwa Velazqueza, ale... my dziś o żeglarstwie mówimy.

Moja teza: wychowanie młodego pokolenia poprzez żeglarstwo i sporty wodne na Pomorzu Zachodnim jest jak tytułowa, pustynna róża. Przede wszystkim - nikt jej nie potrafi wyłowić z burzanów, w jakie zamieniły się dotychczasowe, doraźne działania w zakresie upowszechniania sportów wodnych. Kluby żeglarskie cenią sobie hermetyczność. Doraźne akcje szkoleniowe, przedszkola żeglarskie, sekcje dziecięco-młodzieżowe... Dobrze, że nie ma oficjalnych statystyk, bo wtedy dopiero wszyscy dostalibyśmy choroby morskiej.

Uwielbiają panowie tulić się do sukcesów innych ludzi. Grzebiecie się w ich świetle, ba - spijacie nektar sławy, obecnością podkreślając swoją "žadną" w osiągnięciu tych sukcesów rolę. Co robicie w sprawach upowszechniania żeglarstwa w sposób systematyczny, perspektywiczny, celowy, zdefiniowany, konsekwentny? Czym zdołaliście w czasie swoich kadencji zadziwić żeglarski świat, dowodząc, że ten region - jak wspominałem - nie ma sobie równych pod kątem warunków wręcz idealnych dla sportów wodnych?

Jednym ze zgłoszonych na naszych łamach pomysłów było wprowadzenie do zachodniopomorskich szkół lekcji wychowania żeglarskiego. I co? I nic.

Pomysł publikowaliśmy także we wszystkich mediach społecznościowych, a więc tam, gdzie najczęściej samych siebie, drodzy panowie, oglądacie. Samych siebie! Ile waszych wizerunków opublikowaliście choćby w 2025 roku? W jakim celu? Ze strachu, że samych siebie zapomnicie?

Mój argument: Nigdy nie uprawiałem żeglarstwa w sposób profesjonalny. Nie mam na koncie Przylądka Horn ani Northwestpassage. Ale poznałem setki żeglarzy. I gdy dziś wspominam ich sylwetki wiem, że to społeczność zdecydowanie wyróżniająca się spośród ogółu nas wszystkich. To ludzie spełnieni. (Będę chciał niebawem rozwinąć ten wątek). Żeglarstwo, to załogowe i indywidualne, samotne - kształtuje osobowości najlepiej dostosowane do rozwiązywania najtrudniejszych sytuacji życiowych. To zdanie to także jeden z największych, a zarazem najbardziej uniwersalnych banałów świata. Dlatego nie jest sexy? Tam, na pokładzie, w warunkach pod każdym względem ekstremalnych (niekoniecznie sztormowych, trudno bywa nawet przy wspaniałej pogodzie) rodzą się te cechy indywidualne, których w warunkach zwyczajnych nigdy nie bylibyśmy w stanie w sobie wykształcić.

Kto sprawdził się pod żaglami - nie zawiedzie na lądzie stałym. Koniec. Kropka.

Stąd - nie piłka kopana czy rzucana, nie tenis czy rybią ością szydełkowanie gobelinów i arrasów wawelskich, a uprawianie nawigacji winno być pierwszym i najwyższym dotowanym przez miasto i region sposobem na ukształtowanie człowieka wirtuwańskiego Obszarów Żeglarskich. Nawigatora Nowych Czasów. A przynajmniej stworzenia mu możliwości poznania - jak się to kiedyś mówiło - smaku morza. Czyli - Życia.

Stąd w TVSiódemce o sprawach tych mówić będziemy często. Mówić, jak chłop do obrazu, nie zważając, że żaden z was - panowie - nie odpowie nam ani razu.

W tym cyklu, zatytułowanym "Bezmorze szczecińskie" przywołam migawkę z historii stettńskiego żeglarstwa okresu Cesarstwa Niemieckiego i Republiki Weimarskiej, okresu przed 1945 rokiem oraz z ostatniego osiemdziesięciolecia polskiej administracji. Pamięć o początkach żeglarstwa na tych ziemiach - nigdy chyba nie zamajaczyła nawet w naszych rozmowach. Po wojnie - wszystko co niemieckie nadawało się co najwyżej do zniszczenia. Teraz - stajemy wobec braku materiałów źródłowych i celu: po co mielibyśmy grzebać się w nadbrzeżnym mule historii? A - jestem przekonany - powinniśmy to robić starannie i systematycznie. Bo w nim, w tych pokładach przeszłości zachowały się racje i mądrość, doświadczenie i dorobek pokoleń, które z żeglowaniem na tych wodach były związane w sposób całkowicie natywny. Oni wiedzieli to, czego my - być może - już nigdy nie odkryjemy.

Jedno z podstawowych pytań, jakie zadaję m.in. profesorowi Pawłowi Gutowi brzmi: czy kontynuujemy pomorskie tradycje żeglarskie? Dobijamy przecież do tych samych przystani i portów, wskazanych przez poprzedników, wzbogaciliśmy wiedzę o szlakach wodnych, organizujemy regaty na miarę tych pierwszych, do dziś w Meklemburgii przypominanych? Czy, czy, czy... Chętnie dodam kolejne pytania, do formułowania których - zapraszam: **7@tvsiodemka.pl**.

Na początek - krótka powtórka z historii.

Cesarstwo Niemieckie

- Powstało w 1871 roku, po zjednoczeniu Niemiec pod przewodnictwem Otto von Bismarcka.
- Była to monarchia konstytucyjna - niemiecki cesarz (Kaiser) pełnił funkcję głowy państwa.
- Okres ten zakończyła rewolucja listopadowa w Niemczech w 1918 roku po pierwszej wojnie światowej.

Republika Weimarska

- To okres po upadku Cesarstwa Niemieckiego - formalnie początek w 1918/1919, ze znaczącą datą przyjęcia konstytucji w 1919 roku w mieście Weimar.
- Była to republika parlamentarna (pierwszy raz w historii Niemiec taka forma) - władza ustawodawcza, prezydent, wybory powszechne etc.
- Okres ten trwał do 1933 roku, kiedy to zaczęła się **Trzecia Rzesza**

I jeszcze jedno resume: rola i znaczenie Stettina w tamtych trzech okresach:

- **Okres Cesarstwa Niemieckiego:** Stettin rozwijał się dynamicznie jako przemysłowy i portowy ośrodek Prus/Pomorza - rozbudowa stoczni, przemysłu chemicznego i spożywczego oraz portu nad Odrą znacząco przyczyniła się do jego rosnącej rangi w Cesarstwie.
- **Okres Republiki Weimarskiej:** Miasto zostało dotknięte skutkami I wojny światowej i utratą części zaplecza rolniczego, co spowodowało spadek znaczenia gospodarczego mimo inwestycji w port - ogólna sytuacja gospodarcza była trudna.
- **Okres 1933-1945:** Pod rządami nazistowskimi Stettin został przekształcony w istotny węzeł wojskowy i przemysłowy - rozwijano produkcję zbrojeniową, transport i port, co uczyniło miasto kluczowym elementem niemieckiej gospodarki militarnej.

I okres po zakończeniu wojny. W zrujnowanym, szabrowanym, obcym mieście - pojawiły się dziesiątki, setki a wkrótce tysiące nowych mieszkańców. Ci upomnieli się o prawo do życia we wszelkich jego przejawach. Do marzeń. Do pasji i szczęścia. Byli wśród nich żeglarze.

Z wielkim zapalem odbudowywali porty i przystanie, tabor pływający. Wyłynęli na wody politycznie im dostępne. Ówczesne władze, praktycznie zablokowały morską granicę Polski na dziesięciolecia.

Dla porównania zawsze z emocjami spoglądających ku sobie Stettina/Szczecina oraz Danzigu/Gdańska warto powiedzieć, że - pierwsze kluby i towarzystwa żeglarskie, wioślarskie czy pływackie powstały w Gdańsku w połowie XIX wieku. - W encyklopedii Gdańskiej pod hasłem „Żeglarstwo - Niemiec-

kie" zaznaczono, że najstarszym klubem żeglarskim w Gdańsku był Danzig-Zoppoter Yacht Club "Goode Wind", utworzony w roku 1897.

25 lat dzieli okres żeglarskiej inicjacji Stettina i Danzigu. Dziś w żadnej chyba dziedzinie nie zachowaliśmy naszego prymatu w porównywaniu morskiego charakteru obu ośrodków.

O latach pierwszych żeglarstwa akademickiego na Pomorzu Zachodnim, na łamach TVSiódemki, w swoim cyklu "Ludzie i jachty", opowiada kapitan Zenon Szostak z AZSu, wydawca "Zeszytów żeglarskich".

W tym numerze - odcinek drugi.

My - ruszamy kursem do lat pierwszych... Przewodnikiem są: obszerny i udokumentowany artykuł pióra profesora Pawła Guta, dzięki uprzejmości którego będziemy ten tekst cytowali oraz opracowania i wspomnienia członków społeczności żeglarskiej, która po opuszczeniu Stettina, w Lubece reaktywowała swój klub, do dziś działający pod tradycyjną nazwą Stettiner Yacht-Club.

Stettiner Yacht-Club

Zapewne był to najważniejszy i największy klub w mieście i regionie. Pierwotnie działał pod nazwą Verein Stettiner Ruderer und Segler (Stowarzyszenia Szczecińskich Wioślarzy i Żeglarzy). Powstał 29 października 1877.

Akces do towarzystwa złożyło wówczas 26 miłośników wioślarstwa i żeglarstwa - pisze Paweł Gut.

Ustalono status (cel: wspieranie żeglarstwa) i przyjęto, że klubowa flaga będzie niebiesko-biała a burgee (trójkątny proporzec) dodatkowo zawierał jeszcze kolor złoty. Dziś, w środku burgee, wewnątrz białego rombu wypełnia głowa gryfa pomorskiego, zwrócona w lewą stronę.

W 1891 roku żeglarze rozstali się z wioślarzami i utworzyli Szczeciński Yacht Club (Stettiner Yacht Club).

Ten pierwszy okres był zaiste pionierski. Entuzjazm słabł w miarę wzrostu... kosztów uprawiania żeglarstwa. Klub nie miał własnej siedziby i przystani, a koszty cumowania na terenie portu były bardzo wysokie.

Z fragmentów zachowanych dokumentów, relacji i wspomnień wynika, że członkami klubu byli przede wszystkim przedstawiciele klasy mieszczańskiej i przemysłowej Pomorza — przedsiębiorcy, fabrykanci, urzędnicy — oraz żeglarze-pasjonaci, którzy traktowali żeglarstwo nie tylko jako sport, ale także jako element towarzyski i prestiżowy. Pojawili się również profesjonalści, uprawiający żeglarstwo wyczynowe: „Es gab aber auch viele Sportsegler von hohen Graden...”.

Dygresja...

Waldek Heflich zauważył w naszej rozmowie, że żeglarstwo to jednak pieniądze. Tak było, jest i będzie. Nie inaczej rzecz wyglądała w XIX wiecznym Stettinie. Mieszczańska i sportowa elita lokalna tworzyła ramy finansowe i organizacyjne klubu. Z pozyskiwanych środków finansowano rozbudowę infrastruktury portowej, rozwijano flotę jednostek klubowych oraz wspierało uczestnictwo w regatach na poziomie krajowym. Wszędzie dominował kapitał prywatny.

Pamiętajmy: na świecie dawniej i dziś - żeglarstwo finansowane jest ze środków prywatnych. Środki publiczne stanowią ważne, ale tylko uzupełnienie.

Dziś te relacje kształtują się w sposób bardziej zróżnicowany. W Niemczech, fundusze landowe ujmują w istotny sposób wspierają żeglarzy.

W Polsce - pod tym względem ciągle panuje socjalizm, żeby (niektórym) ludziom wiodło się lepiej. Mają dostęp do środków europejskich i rządowych. I sypią nimi, jak Piaskowy Dziadek tam, gdzie im się podoba a nie tam, gdzie idea lub sprawa takiego wsparcia wymaga. Dowód? **Przez osiemdziesiąt lat nie utworzyliśmy jednej, rozpoznawalnej w świecie, własnej imprezy żeglarskiej.** Te, które mogłyby się rozwinąć, gasły jak przebudzony znieczulacz poddmuch wiatru.

Dla żeglarzy sportowców regaty są nieodzownym elementem

ich tradycji. W 1891 roku stettinski yacht club uzyskał zgodę króla pruskiego i cesarza niemieckiego z prośbą o ustanowienie nagrody przechodniej.

Prośbę pozytywnie zaopiniowali prezes rejencji Sommerfeld i nadprezydent prowincji pomorskiej hrabia Behr-Negendank - pisze Paweł Gut. - Monarcha, będący miłośnikiem rozwoju floty wojennej i handlowej Niemiec ora ogólnie spraw morskich, ustanowił 16 lipca 1891 roku przechodnią nagrodę dla organizowanych przez klub regat morskich (Seeregatta des Stettiner Yacht Club).

Efekt tego posunięcia musiał być satysfakcjonujący dla organizatorów i fundatora, który w 1898 roku ufundował jeszcze jedną nagrodę przechodnią dla regat organizowanych przez stettinski klub.

W pierwszych dekadach XX wieku klub dynamicznie się rozwijał. Od 1871 roku handel i żegluga wręcz kwitły w tym rejonie. Szczecińscy kupcy mieli liczne kontakty z Anglią, gdzie żeglarstwo było drugą naturą wyspiarzy. Ich entuzjazm okazał się zaraźliwy. Już w roku 1904 roku klub rozpoczął organizowanie tzw. „Ausgleichswettfahrt Warnemünde-Swinemünde” jako części większego cyklu regat morskich na terenach Pomorza. Właśnie dzięki takim przedsięwzięciom, od 1912 roku klub włączył się w organizację i prowadzenie regat znanych jako Pommernwoche. Można o tych kwestiach przeczytać w rocznikach żeglarskich, wydawanych również ze środków prywatnych. Cóż za skromna, ale nieoceniona dziś skarbnica wiedzy. Gdyby nie te roczniki - pamięć o tej sferze stettinskiego życia przepadałaby w mroku przeszłości.

Dzieje klubu dokumentuje także strona <https://www.muttländer.de/>. Tam przeczytałem:

W 1905 port został poszerzony i pogłębiony, ponieważ sytuacja finansowa klubu rozwijała się korzystnie. ... Flota jachtowa bardzo się powiększyła. 14 nowych jachtów, w tym 14 SI-jacht „Lotti” i 12 SI-jacht „Margarete”, obie o tonażu 250 m² żagla na wiatr, a także szkuner „Flamingo”.

A więc jachty typowo regatowe, morskie, wyczynowe. Oto potwierdzenie sportowego potencjału klubu.

Pisze profesor Paweł Gut: *Podstawą działalności Szczecińskiego Yacht Klubu były posiadane jachty i łodzie żaglowe. Pochodziły one z darów, a także zakupów ze składek członków klubu. W 1899 roku zarząd stowarzyszenia w związku z finansowaniem działalności statutowej podjął decyzję o podziale ważności głosów członków podczas głosowań na walnym zgromadzeniu. Moc głosu każdego z członków zależeć miała odtąd od posiadanych udziałów w składce na budowę klubowej floty lub jachtów lub opłaty wnoszonej za cumowanie własnego jachtu w marinie klubowej.*

W 1894 roku liczba jachtów klubowych wynosiła 18 jednostek, a członków 145. Z kolei w 1900 roku w towarzystwie działały już 143 osoby, a dysponowały one 19 jednostkami pływającymi.

Bardzo ciekawy przykład organizacji i administracji klubu żeglarskiego. Najwięcej do powiedzenia miał ten, kto w największym stopniu zasiliał klubową kasę.

Znów fragment artykułu Pawła Guta:

W 1897 roku ministerstwa sprawiedliwości i spraw wewnętrznych potwierdziły nadanie Szczecińskiemu Yacht Klubowi osobowości prawnej i status korporacji. W tym czasie klub miał swoją siedzibę w Grabowie (niem. Grabow, ob. część Szczecina). W 1901 roku klub posiadał majątek o wartości 70 tysięcy marek (nieruchomość, grunty).

Początkowo jachty klubowe oraz prywatne łodzie członków klubu były cumowane na Odrze i kanałach portowych. Dopiero w 1890 roku udało się podjąć decyzję o zakupie parceli na siedzibę klubu i budowie przystani jachtowej między Gołębiniem a Gocławiem.

Włączono do niej stare kąpielisko Żelechowskie (Die alte Zuellchower Badeanstalt). Przystań składała się z basenu portowego (50 x 27 m) oraz kanału (70 x 10 m) łączącego z Odrą. W 1896 roku na przystani wybudowano elegancki budynek - siedzibę klubu, który zastąpił użytkowane dotąd zabudowania byłego kąpieliska.

W 1900 roku szczeciński klub zorganizował nową kolejną cykliczną imprezę. Były nią Pierwsze Wyścigi Żeglarskie (I. Internen Segel-Wettfahrt des Stettiner Yacht Clubs). Odbłyły się one 24 czerwca na Roztoce Odrzańskiej (Pappenwasser). Jachty startowały zgodnie z przepisami Niemieckiego Związku Żeglarskiego w czterech klasach.

Kolejną bardzo cenną inicjatywą była decyzja o publikowaniu rocznika - Jachrbuch des Stettiner Yacht Clubs”.

Inną, fundamentalną decyzją było utworzenie sekcji juniorów i sekcji uczniowskiej.

I kolejna kwestia, na którą zwraca uwagę Paweł Gut: *W 1911 roku klub został objęty patronatem następcy tronu cesarskiego i pruskiego, księcia Eitel-Friedrich von Preussen, co spowodowało podniesienie rangi tego towarzystwa sportowego w społeczeństwie, czego następstwem był stały wzrost liczby członków.*

Nic nowego! Wszystko już dawno inni przed nami wymyślili. Wystarczy kopiować, powielać sprawdzone wzory. Chyba, że jedyną przeszkodą do takiego postępowania będzie zbyt niska ranga urzędnika (z braku oryginalnego następcy tronu), który choć - jego zdaniem, postawę monarszą już ma, ale w żyłach ciągle czerwona tylko, socjalistyczna krew się toczy.

Ten pierwszy, neoficki, w zmiennych nastrojach i niekiedy wielkich emocjach rozwijany i umacniany ruch żeglarski zdecydowanie wychodził poza obręb miasta i jego najbliższych okolic.

Jak zauważa Paweł Gut: *żeglarstwo uprawiano nie tylko na największych akwenach pomorskich (zalew, Dąbie), ale też na jeziorach: Miedwie, Drawsko, Trzeciecko, Jamno, Łebsko, Węgorzyńskie i in.*

Pomorskie stowarzyszenia aktywnie uczestniczyły w życiu dwóch ogólnoniemieckich organizacji żeglarskich, w utworzonym w 1888 roku Niemieckim Związku Żeglarskim (Deutscher Seglerverband) oraz w powstałej w 1912 roku Niemieckiej Lidze Żeglarskiej (Deutscher Seglerbund). Jednocześnie trzy pomorskie kluby - Szczeciński Yacht Klub, Akademickie Towarzystwo Żeglarskie w Greifswaldzie i Stralsundzkie Towarzystwo Żeglarskie powołały regionalne porozumienie - Pomorski Związek Regatowy (Pommerscher Regatta Verband), którego pierwsze zebranie odbyło się 25 lutego 1912 roku w siedzibie Szczecińskiego Yacht Klubu.

Celem tego związku była współpraca przy organizacji wielkich regat morskich „Pommernwoche” (Tygodnia Pomorskiego) na Zatoce Pomorskiej między Świnoujściem a wyspą Rugia, które dotąd samodzielnie od 1891 roku przygotowywał wspomniany szczeciński klub. Już w 1912 roku w trzech wyścigach na Zalewie Szczecińskim i Zatoce Pomorskiej uczestniczyło łącznie 66 jachtów.

Przeglądając dokumentację ostatnich 80 lat nie znajduję zawodów, które swoim rozmiarem (ilość jachtów, liczebność załóg) mogłyby konkurować z regatami stettinskimi.

Jedynie w jubileuszowych (50) Etapowych Regatach Turystycznych – odbywających się w lipcu 2014 r. – mogło wziąć udział około 100 jachtów i około 400 żeglarzy, ale ile z ich pokonało całą trasę - nie wiadomo.

PS - zaczęliśmy ten felieton od porównania pustynnej róży z mentalnym stanem osób, których zadaniem jest wykorzystania unikalnych warunków naturalnych regionu do celów gospodarczych i rekreacyjnych, w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Lista inicjatyw zrealizowanych w minionym osiemdziesięcioleciu nie jest krótka ale na tyle długa, że ledwo ją dostrzec można.

Żadnej systematyczności, aktywności, przypadkowość. Nikt nigdy nie stworzył żeglarskiej wizji regionu. Nie przynosi ona żadnych zysków, nie ma charakteru masowego, a tym bardziej elitarnego.

Mówią górale: Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mnie mos.



Zdjęcia: rekonstrukcja cyfrowa
Pierwszy port jachtowy Stettiner Yacht Club nad Odrą w Golecinie, (niem. Frauendorf) połowa lat 90 XIX wieku
Port jachtowy w Gocławiu latem 1939
Źródło: Leksykon żeglarstwa i sportów wodnych Pomorza Zachodniego, Tom 1, pod redakcją Piotra Owczarskiego, PAS-SIM, 2017



Korespondent TVSiódemki donosi z przyszłości:

Wizja 2050

Goście w drodze na zlot żaglowców
w Szczecinie. Statki oczekują na
mułolamacze, które utorują im drogę
przez błotniste ujście Odry do morza

Na weteranów zlotu, w porcie oczekuje ostatni z żyjących
uczestników pierwszego zlotu dziarskich statków.

Floating Garden, czyli miasto w fototapecie

Kiedy spojrzysz na Szczecin z lotu ptaka, zobaczysz miasto otoczone wodą i zielenią. Położone pomiędzy rozlewiskami Odry z otwartą perspektywą na Zalew Szczeciński, Jezioro Dąbie oraz ze szlakiem żeglugowym do Morza Bałtyckiego. Ten widok inspiruję markę Szczecin Floating Garden 2050 project. W taki sposób, Miasto Szczecin oficjalnie komunikuje się ze światem od 2008 roku.

Cytat pochodzi ze strony Marka Floating Garden. Trudno o bardziej trafne, precyzyjne, a zarazem lapidarne zdefiniowanie... fototapey. Wizytówki? Nie. Fototapey nadwodnej części miasta, oglądanej na pocztówce i w folderze dla inwestorów. Bo „z lotu ptaka” wszystko jest piękne: woda, zieleń, perspektywa, szlak.

Raj na... papierze.

Tyle że z tego samego lotu ptaka - gdy się przyjrzeć - widać też coś innego: wodę o bliżej nieokreślonym stanie, ryb mniej niż wspomnień, podwodnej flory — jak na lekarstwo, a po „szlaku żeglugowym” snują się pojedyncze jednostki, zmierzające do... no właśnie: kto pamięta dokąd? Wystarczy sięgnąć po zdjęcia archiwalne: na nich - tłok, ścisk, ruch, gwar. I to nie animacja z działu promocji. Takie tu kwitło życie portowe — szczecińska codzienność. Nie tak dawno lokalne gazety opisywały każdego dnia, jakie statki weszły, jakie wyszły, co wiozły, kto przyjechał, kto odpłynął. Świat się tak bardzo zmienił? **Tak, to my go na głowie postaviliśmy.**

Port był narracją miasta. Dziś miasto ma senną narrację o porcie

— Będzie, oj będzie, będzie się w sparwach morskich działa — zapewniają zawodnicy polityczni w chwili ogłoszenia wyniku wyborów, a po czterech latach schodzą na ląd i oddają mikrofony kolejnym chwalipiętom na następną kadencję.

A w tym czasie, jak gwóździć w ścianie, na stronie internetowej widnieje hasło: „w taki sposób miasto Szczecin oficjalnie komunikuje się ze światem” — piszą kreatorzy marki. Taki? To znaczy jaki? Jaki konkretnie tkwi w tym komunikacie? Jaka jest ta strategia Szczecina, który... urwał się z lin cumowniczych i od 2008 roku do dziś dryfuje jako pływający... ogród. A nie mógłby tak normalnie, po prostu być normalnym miastem morskim? Jaki jest bilans tej koncepcji — poza plakatami i hasłami? Co stąd wypływa w świat, niesione krzykliwymi planami, które bezgłośnie mijają dostojne Hakenterrasse (z niewiadomych powodów, nazywane Wałami Chrobrego)? Bo jeśli już mamy być uczciwi, najważniejszy komunikat brzmi mniej więcej tak: oto miasto, które nie potrafi wykorzystać daru natury. Teren idealny — od starożytności uznawany za najlepszy do założenia miasta morskiego czyli zamożnego, przedsiębiorczego, kulturotwórczego. Miasta, do którego dopływają ludzie i idee, a nie tylko statyczne dekoracje pod żaglami. Miasta, które wchłania nowinki ze świata, bo statki przywożą nie tylko ładunki, ale i doświadczenia, języki,

kontakty, standardy pracy. **Miasta, które ma gospodarczy kręgosłup, a nie marketingowe żebra.**

I jeszcze wiele wody w Odrze upłynie, a Internet i tak nie zastąpi tego, co rodzi się w kontaktach bezpośrednich: w rozmowie z obcokrajowcem, marynarzem, w pracy w międzynarodowym gronie, w trudzie i beztróscie, w napięciu i zachwycie. **Morze jest szkołą relacji.** Ludzie na morzu długo jeszcze będą „Kolumbami” codzienności — pośrednikami między światami. Tylko że do tego trzeba mieć... morze w życiu, we krwi - nie w sloganie tylko. A najwspanialsza nawet „wizja” niczym nie różni się od snu, jeśli nie ma planu, narzędzi i rygoru wykonania. Wizja bez definicji to kartka z kalendarza. Ciach i... wyrwana. Ale jest nowa! Codziennie! My żyjemy chwilą, emocją, odurzamy się irracjonalnymi pomysłami, a potem nazywamy je strategią.

Ciągle mam w uszach dźwięk metalowych drzwi, z trudem po wielu latach otwieranych u nasady Wałów Chrobrego. Pamiętam — i mam nagranie reporterskie — te „sny” o oceanarium. Kolejna mrzonka, te same pomieszczenia, rok 2007: tym razem wielka pralnia dla załóg żaglowców z pierwszego ich zlotu. Krzychałem wtedy: ludzie, oni na pokładach mają prysznice, oni tam piorą, my tu nie czekamy na brudasów i obdartusów, tylko na profesjonalne załogi statków. Opamiętajcie się. I co? Pralnię urządziliśmy. Bo **u nas sen zawsze jest silniejszy niż rozum**, jeśli tylko daje się go ogłosić na konferencji.

Jest 18 stycznia 2026 roku.

Przeglądam poranne serwisy i widzę **wyłącznie** w wymiarze lokalnym - zmasowany atak propagandowy, związany z chrztem nowego promu pasażerskiego. **Cud nad Odrą.** Przypomina mi się scena z filmu z Jeanem Reno, który pochłania najostrejsze wasabi: choćby miało przepalić trzewia — uśmiech na twarzy. Ale to był film. A my, żyjemy w równie celuloidowym wymiarze. Leonami Zawodowcami zostaniemy wtedy, gdy inne promy pochowają się w szuwarach, przegrają konkurencję z nami. Ale spokojnie. My nie wiemy o tym, że przyprawa jest dodatkiem, nie daniem głównym. Naj... naj... najogólniej mówiąc: w ruchu pasażerskim między portami na Bałtyku nasz udział w rynku (2024) nie przekracza 5%. W odneisieniu do ładunków „na kołach” możemy liczyć na 15% udział.

Nikt poza Polakami nie potrafi ukreślić bicia z piasku z taką dumą, jakby właśnie zbudował elektrownię atomową z baterijki do latarki.

Co ten chrzest wniósł do naszej morskiej świadomości? Nic. Kolej- ne, wesołe miasteczko. I setki zwiedzających. A co mają ludzie ro- bić w mieście tak dozującym edukację, oświatę, życie kulturalne w dzielnicach, na przedmieściach, tuż za rogatkami? Idę o zakład - ogłośmy wielką wystawę "dziury w płocie". Przyjdą setki, tysiące nie tyle zainteresowanych, co ciekawskich. Rozumiemy różnicę? A z czego bierze się zainteresowanie nocami w muzeach? Z umiłowania sztuki? Tu nie idzie o dzieła sztuki, lecz o wyjście z domu, znalezienie się wśród innych.

Jutro o promie nikt już nie wspomni. Nikt nie będzie przeżywał projekcji na jego burcie. A same obrazy? Jak filmiki w sieci: co komu wpadnie pod rękę, byle migotało, byle było „wow”, byle dało się je wkleić w relację - zginą przykryte nową kakofonią video. **Oto eksces sukcesu i sukces ekscesu.** Nie edukacja, nie oświecenie. Liczy się blichtr. Dekoracja, nie budowa.

Ile nas to chrzciny kosztowały? Gala, drony, dziesiątki szwenków, tysiące zdjęć, rejs z Gdańska do Szczecina relacjonowany jak lądowanie na Marsie. A na koniec: rzecz zawodowo niewy-

obraźna — pogłębianie nabrzeża przy Wałach Chrobrego, bo prom musi stanąć „tu”. Pamiętam, jak fachowcy stukali się w głowę, gdy kiedyś była mowa o pogłębieniu rzeki. Wały spłyną do Odry! - wołali specjaliści... Co się zmieniło, że teraz — dla grymasu, dla próżności, dla megalomanii, „zastaw się, a postaw się” — urządzamy awanturę, żeby pokazać „przeciwnikom politycznym”, że „my działamy”? Jutro prom odpłynie. Okres zabawy w ceremoniał zostanie wpisany w koszty. Kto bogatemu zabroni — skoro tyle przecież zarabiamy na „uprawie morza”, że kilka czy kilkadziesiąt milionów w tę czy tamtą stronę rozbełtamy w odrzańskiej wodzie jak błoto.

A gdzie w tym wszystkim jest systematyczna praca? Wychowawcza, edukacyjna, metodyczna? Gdzie jest program, który tłumaczy dzieciom, młodzieży, dorosłym, czym jest gospodarka morska: port, logistyka, przeładunki, stocznie, szkolnictwo, łańcuchy dostaw, bezpieczeństwo, praca, pieniądz?

Gdzie jest konsekwentne budowanie świadomości, że morze nie jest atrakcją — jest mechanizmem cywilizacyjnym!





Uczciwie - nie znamy odpowiedzi na pytanie, kim gospodarczo mamy być. Nie „Floating Garden”, nie wianek świętojański tylko miasto nad wodą o wyraźnej specjalizacji - jakie branże, jakie kompetencje, jaka infrastruktura, jakie kadry. **Ale nasze własne, a nie innych**, którzy u nas tylko teren dzierżawią. Do czego dążymy i jak ten cel chcemy osiągnąć? Jaki mamy plan na 5, 10, 20 lat. Wreszcie — kto ma odwagę powiedzieć: tego nie zrobiliśmy, tego nie umiemy, tu zawaliliśmy, tam trzeba zacząć od zera. Gdy odzyskamy status miasta morskiego, a nie reklamowego — chrzty statków znów staną się rutyną, nie ekscysem. Ceremoniał będzie zwieńczeniem pracy, a nie substytutem trudu. Światła będą ozdobą portu, a nie latarką w oczy, żeby nikt nie zobaczył pustki.

Dziś nikt już nie czyta „Duszy morskiej” Sobolewa — nie dlatego, że to literatura radziecka, tylko dlatego, że przestaliśmy wierzyć w etos. Na takich opowieściach wychowywały się pokolenia marynarzy. Mieli wzorce. Dyscyplinę. Dumę z fachu. Dziś ma im to zastąpić nowy żaglowiec za bajorńskie pieniądze i pokaz świetlny? Tyle że duszy nie da się kupić. Sprzedać — owszem. Zwłaszcza tanio.

I na koniec — rzecz najprostsza: my nie jesteśmy bez-

radni. My jesteśmy współwinni. Bo „my” wybieramy, „my” klaszczemy, „my” karmimy się wyborczym, politycznym spektaklem. A potem zdziwienie, że miasto pływa — tyle że nie w przyszłość, tylko w dryf. I nie w ogrodzie, tylko w mętnej wodzie.

PS Strategia nosi nazwę Floating Garden. Ogród to warzywa, nagietki, śliwki, hamak i grabie. I ja rozumiem metaforę — tylko że ktoś, kto tym obrazkiem chce opisać miasto z natury (skazane) uprzywilejowane do roli hegemonu gospodarczego, myli wizję z urojeniem. O co chodzi? Chyba wiem... O niekompetencję. Tej, niestety, nie da się zwalczyć lekami ani usunąć chirurgicznie. Bo z niej jesteśmy zbudowani. Ale żeby tylko my? Niestety — także nasza „strategia”. A czasem wygląda na to, że i nasza dusza.

Obrazy: Eugen Dekkert: Port (po lewej) i Stocznia (u góry), ze zbiorów Krystyna Pawlicza

Wiatr od zachodu, portfel od północy — czyli jak

Meklemburgia żyje z żagli, a Pomorze Zachodnie wciąż czeka na własny kurs regatowy

Kiedy patrzę na mapę Bałtyku, widzę dwa sąsiadujące regiony, leżące jak dwie siostry nad jednym morzem: Mecklenburg-Vorpommern i Pomorze Zachodnie. Jedna — uporządkowana, systematyczna, zgrabnie "wyprasowana" jak żagiel na A-classie. Druga — z potencjałem, żywiołowa, ale jakby z permanentnie odroczonym startem do regat. Obie mają wiatr, wodę, porty i żeglarzy. Ale tylko w jednej żeglarstwo stało się pełnoprawną gałęzią gospodarki, a w drugiej wciąż funkcjonuje bardziej jako **pomysł niż system**.

W Meklemburgii żeglarstwo nie jest tylko sportem. To gospodarka. Liczona w miliardach.

Tamtejszy urząd statystyczny i regionalne ministerstwa nie mówią o żeglarstwie w kategorii: „fajna rzecz dla turystów z Berlina”.

Oni mówią:

- 1 miliard euro obrotu rocznie w turystyce wodnej.
- blisko 19 tysięcy miejsc pracy.
- ponad 400 marin i portów jachtowych.
- 18 tysięcy miejsc postojowych na wybrzeżu.

To jest już skala przemysłowa.

W Meklemburgii nie buduje się marin, aby „ładnie wyglądała w folderze”. Tam port jachtowy musi zarobić na siebie — i zazwyczaj zarabia. Nawet w małej, sennej wiosce nad Boddenem. A tych mają tu sporo: Greifswalder Bodden, Saaler Bodden, Darß-Zingst Bodden. Na dobrą sprawę — struktura osadnicza po naszej stronie jest podobna. A więc — dlaczego w miejscach tak peryferyjnych, niewielkich, pozbawionych wielkiego zaplecza portowego i przemysłowego, jeden region potrafi systemowo zarabiać na żeglarstwie, a drugi...? W zatrwającym tempie buduje apartamentowce, ustawia na plaży

głośniki, wtacza beczki piwa, uruchamia garmazeryę i... o zgrozo! dzień i noc gra koszmarną muzykę. Łomot. Jazgot. Rumor. Delirka.

Od maja do września nad polskim morzem NIE SŁYCHAĆ SZUMU FAL! Zjeżdżają urlopowicze, jak przed wiekami watachy Wandali! Są niedojedzeni, niedopici, zgnusniali i sobiepańscy. A co mi tu będzie taka szantrapa piaskiem w oczy sypać? Ty, ty!!! Poszła mi na te palmy kokosy obgryzać... Widziałaś? O, jaka opalona małpa!

To cytaty.

Myślę, że dałoby się z takich scenek ułożyć kilka tomów współczesnej encyklopedii "O nadmorskich obyczajach lądowych Polaków..."

My mamy potencjał na miarę Zatoki Meklemburskiej, ale... bez funkcjonujących tam mechanizmów.

Zachodniopomorski Szlak Żeglarski to perełka. Bajeczka: Zalew Szczeciński, wyspy, porty, jeziora, krótkie skoki pomiędzy marinami.

Warunki lepsze niż w dużej części niemieckiego wybrzeża.

Problem? Polska gospodarka morska wciąż zachowuje się tak, jakby żeglarstwo było aktywnością rekreacyjną dla bogatych hobbyistów — a nie silnikiem lokalnego rozwoju. Tymczasem...

Badania dla Darłowa, Kołobrzegu, Dziwnowa pokazują, że:

- opłaty portowe + zakupy żeglarzy pokrywają koszty utrzymania marin,
- żeglarze zostawiają pieniądze w hotelach, barach, warsztatach, czarterach,
- porty jachtowe są źródłem czystego „dochodu zwielokrotnionego”: każdy złoty z marin zwraca się kilku złotowym impulsem, pobudzającym lokalną gospodarkę.

Są więc twarde dowody, że to działa.

Ale brakuje tego, co Meklemburgia ma od lat — systemu zarządzania żeglarską gospodarką, spójnej polityki i corocznej analizy ekonomicznej.



Kto więc żyje z żagli? Meklemburgia? Oczywiście.

Oni potrafią spiąć żeglarstwo z turystyką, transportem, handlową ofertą miast i — co najważniejsze — z planowaniem infrastruktury.

Pomorze Zachodnie? Żyje, lecz od przypadku.

Tu marina, tam port, gdzieś nowe pomosty, tam świetne szkoły, ale... bez zintegrowanej strategii.

Zachodniopomorskie marinny bardziej „są”, niż „działają jako branża”.

Dwie siostry nad Bałtykiem, dwa modele żeglarskiego świata.

Do dnia zamknięcia tego numeru nie otrzymaliśmy odpowiedzi Urzędu Marszałkowskiego na zestawienia porównawcze. Na analizy.

Te mają sens, jeśli pokazują: to mieliśmy, a to osiągnęliśmy. Tego nie było, to zbudowaliśmy. I taki biznes na tych działaniach zrobiliśmy. W dostępnych materiałach rzeczywiście trafiam na dotacje, subwencje, na wsparcie.

Ale nie widzę w tych działaniach polityki, ukierunkowanego, celowanego działania. Widzę rozdawnictwo.

Wciąż słyszę, że żeglarstwo to „niszowa rekreacja”, że „nie ma co przesadzać z inwestycjami”, a „mariny to koszt”.

W języku ekonomii te dwie postawy rozdziela przepaść.

Sąsiedzi traktują żeglarstwo jak biznes. My – jak hobby.



Tam są analizy, raporty, cele liczbowe, strategie, mierzenie efektów. Tutaj – dobre chęci, projekty punktowe i doraźne inicjatywy.

To nie kwestia braku wody. Mamy jej dużo. Tyle też piasku. To nie kwestia braku żeglarzy. Mamy ich wielu. To kwestia braku systemu.

Bałtyk nie pyta, kto ma strategię.

Ale rynek – owszem.

Dopóki Pomorze Zachodnie nie zrozumie, że żeglarska turystyka to nie „kaprys”, tylko szansa na wspinanie się po drabinie dochodów, dopóty będziemy regionem, przez który żeglarze tylko przepływają – zamiast w nim zostawać.

Bo żeglarstwo w XXI wieku to nie tylko wiatr i woda.

To turystyka, biznes, infrastruktura, miejsca pracy, eksport jachtów, serwis, logistyka, czarter, gastronomia i marka regionalna.

O! Właśnie to: marka regionalna! Dwa, trzy zygzaki na papierze, kilka banałów i komunałów, delirycznie zmontowane filmiki i ujęcia z dronów. To nie jest reklama. To jest kompromitacja.

Mecklenburg-Vorpommern to dawno zrozumiała.

Pomorze Zachodnie dopiero musi.

Podsumowując:

Nie ma w budżecie regionu pozycji „żeglarstwo: razem = X zł”. Wpływy są rozproszone (część trafia do gmin/miast, część do budżetu państwa, część do podmiotów portowych i marin), więc realnie pytanie brzmi: jakie strumienie pieniędzy generuje żeglarstwo w regionie i gdzie one „cumują” w finansach publicznych.

- Skąd brać dane - wiem. Pytać konkretne instytucje o dokumenty:
- Budżety gmin portowych (Szczecin, Świnoujście, Kołobrzeg, Dziwnów, Wolin itd.): wpływ z podatku od nieruchomości, opłaty miejscowej, dochody spółek miejskich (jeśli zarządzają mariną).
- Spółki/zarządcy marin: sprawozdania finansowe (KRS, BIP, raporty roczne) – przychody z usług portowych.
- GUS / Bank Danych Lokalnych: turystyka (noclegi), przedsiębiorczość w branżach powiązanych, rynek pracy.
- ROT/organizacje turystyczne regionu: badania ruchu turystycz-

nego (czasem mają moduły „turystyka wodna”).

- Urząd Marszałkowski: programy i ewaluacje projektów infrastruktury turystycznej/portowej (tam szukać wskaźników: liczba zawinięć, użytkowników, wydarzeń?).

Zatem - wiemy skąd, ale nikt tych danych nie sumuje i nie ogłasza, że mamy (?): **1 miliard euro obrotu rocznie w turystyce wodnej.**

Najwidoczniej nikomu nie zależy na wskazaniu konkretnych nakładów. Nie, nie dlatego, że są niskie. Nie wykluczam, że są ogromne. Gorzej z efektami tych nakładów. Ilu mamy w wyniku tych działań regatowców o sławie światowej? Ilu żeglarzy pokonujących oceany w tempie i trybie zaiste „kosmicznym”. Mamy sławnego gościa - Krzysztofa Baranowskiego. Mamy kilka wspaniałych żeglarek.

I to wszystko? Za te miliony?

Co znalazłem? Godne sumy. Oto ogólne dane:

- Dotacje bezpośrednie na żeglarstwo szkoleniowe młodzieży rocznie: 300–800 tys. zł, zależnie od kadencji i priorytetów politycznych
- 2000–2024 łącznie: ok. 8–15 mln zł (rozbite na dziesiątki małych grantów, zwykle 10–50 tys. zł)

Można zorganizować piękny chrzest statku. Można jego burty oblepić światłem, dronami i zachwytem. Tylko że to jest przyprawa – nawet nie do obiadu, do zdjęcia. A potem zostaje rachunek i cisza.

Żeglarstwo młodzieżowe jest przeciwieństwem ceremonii: nie błyska, nie klika się, nie robi ujęć z lotu ptaka. Jest pracą tygodniami i latami, w deszczu i wietrze, z instruktorem, z zasadami, z odpowiedzialnością.

Jeśli ktoś woli fajerwerki od systemu, to nie można mówić, że to „strategia morską”. To jest anty marketing w przebraniu żeglarsza.

Najuczciwsza puenta na dziś: żeglarstwo pewnie generuje pieniądze w regionie, ale większość „twardych” dotacji budżetowych nie zwraca się z zyskiem wprost do budżetu Pomorza Zachodniego jako jednej kieszeni – tylko rozlewa się między gminy (opłaty lokalne, nieruchomości), państwo (VAT), oraz rynek (usługi).

Stettins Wappen an allen Schiffen

Erlaß für die Heimattflagge — Rundschreiben der Stadt Stettin

Herb Stettina na wszystkich statkach

Zastępstwo dla bandery portu macierzystego — okólnik miasta Stettin

Już w czerwcu tego roku Szczecińskie Towarzystwo Żegluga „Maria” zwróciło się do władz miasta Stettin z prośbą o zezwolenie na umieszczanie gryfa — herbu miasta na dziobie swoich parowców. Miasto Stettin przyjęło tę prośbę jednocześnie jako cenną sugestię, tym bardziej że w innych miastach portowych zrealizowano już podobny pomysł promowania rodzinnego miasta. W związku z tym skierowano okólnik do wszystkich stettińskich armatorów. W piśmie tym m.in. stwierdza się:

Od czasu tzw. rewolucji narodowej jako flaga dziobowa (Göschflagge) zamiast herbu portu macierzystego powszechnie używa się flagi ze swastyką. Tym samym bandera portu macierzystego niestety zniknęła. Statki morskie większych armatorów, których portem macierzystym jest Hamburg, jak wynika z informacji prasowej, mają teraz po obu stronach dziobu hamburski herb, podobnie jak jest to przyjęte w marynarce wojennej. Jedna ze stettińskich firm żeglugowych, powołując się na to rozwiązanie, zaproponowała, aby podobnie postąpić u nas i umieścić herb Stettina na statkach stąd pochodzących.

Bylibyśmy niezmiernie radzi, gdyby pozostałe przedsiębiorstwa żeglugowe poszły za tą sugestią, ponieważ taka ozdoba dziobowa pozwoliłaby silniej wyeksponować stettińską tradycję żeglugową. Izba Przemysłowo-Handlowa poinformowała nas, że również uważa umieszczenie herbu za pożądane i stanowczo zaleca wydanie zezwolenia na stettiński herb jako ozdobę dziobową.

Jak dowiadujemy się ponadto, pierwszy stettiński herb został już umieszczony na parowcu „Majade”. Również pozostałe stettińskie parowce w najbliższym czasie wyruszą z portu Stettin w morze z gryfem jako ozdobą dziobu, reklamując w ten sposób swoje rodzinne miasto.

Stettiner Ersatz für Ostseewellen



Zamiast morskich fal...

Podwórkowe baseny, fontanny i zbiorniki wodne namiastką wód morskich.

Trasa rowerowa Berlin-Stettin-Morze Bałtyckie

Budowa w najbliższym czasie — pierwsze próby z drogami drewnianymi

Jak się dowiadujemy, już w bardzo niedalekiej przyszłości, zaraz po powołaniu i zatwierdzeniu komitetu roboczego do spraw budowy takiej

Stettins Wappen als Bugzierde



trasy rowerowej — pod kierownictwem generalnego inspektora dr. Todta oraz jego współpracownika dr.-inż. Schachta — rozpocznie się realizacja pierwszej w Niemczech dalekobieżnej drogi komunikacyjnej przeznaczonej specjalnie dla rowerzystów.

Chodzi o trasę Berlin-Stettin, a następnie — poprzez liczne odgałęzienia — dalej ku Morzu Bałtyckiemu. Przy jej projektowaniu stosowane będą podobne zasady, jakie obowiązywały przy planowaniu sieci Reichsautobahn. Na pierwszym planie znajduje się oczywiście piękno niemieckiego krajobrazu, którego najcenniejsze punkty widokowe mają zostać udostępnione rowerzystom dzięki tej nowej sieci tras.

Szczegółowe plany obejmują już także wybór materiałów budowlanych. Odcinki prowadzące przez miasta będą wykonywane z typowych materiałów, takich jak kamień, cegła oraz asfalt smołowy. Równolegle prowadzone są jednak próby zastosowania niemieckiego drewna na trasach pozamiejskich. Pnie drzew tnę się na odcinki długości 15 centymetrów, ustawia pionowo i przykrywa warstwą smoły, co ma zapewnić większą trwałość nawierzchni.

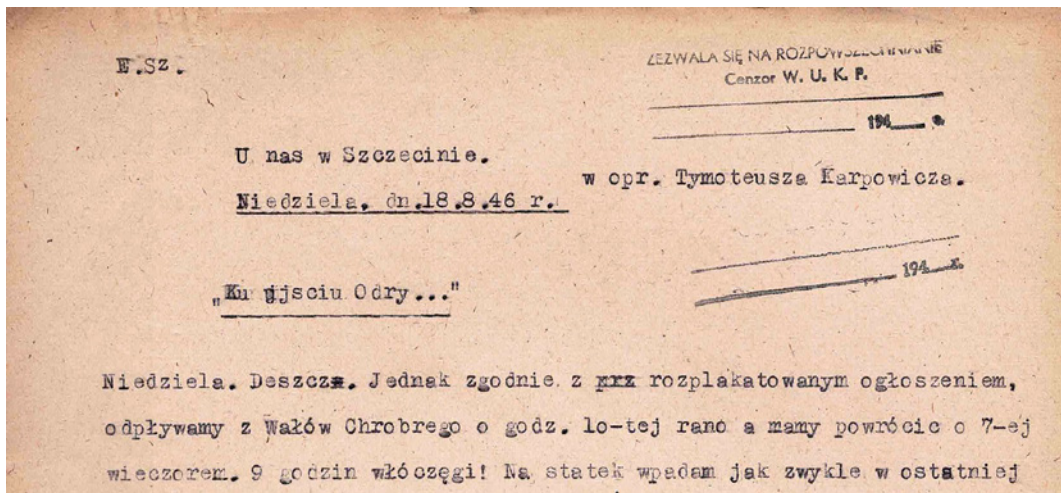
Dla jednokierunkowych dróg rowerowych przewidziano szerokość 1,5 metra, natomiast dla tras dwukierunkowych — 2,5 metra.

Choć w Niemczech jest już obecnie około 15 milionów rowerzystów, liczba ta — w porównaniu z innymi krajami — wciąż wydaje się niewielka. Zakłada się jednak, że dzięki budowie nowych tras ruch rowerowy znacząco wzrośnie, co przyczyni się także do dalszego rozwoju i stabilnego zatrudnienia w niemieckim przemyśle rowerowym.

Sonntagsausflug an die See



Niedzielną wyprawą nad morze



U nas w Szczecinie - reportaż radiowy, w opr. Tymoteusza Karpowicza. Emisja: niedziela dn. 18.8.46 r.

Niedziela. Deszcz. Jednak zgodnie z rozplakatowanym ogłoszeniem, odpływamy z Wałów Chrobrego o godzinie 10 rano, a mamy powrócić o 7 wieczorem. 9 godzin włości! Na statek wpadam jak zwykle w ostatniej chwili.

– Ostrożnie – ostrzega mnie ktoś z obsługi – nie utop się Pan.
– Nie ma obawy. Zbyt cenię życie. Proszę jednak łaskawie powieścić, gdzie tu można usiąść, ewentualnie znaleźć jakąś inną, dogodniejszą pozycję niż stanie na drżących od zmęczenia nogach?
– No, niech pan jakoś przysiądzie się kantem!
– Kantem...
– Co do wszystkich diabłów! Taki wielki chłop i nie rozumie – oburza się czternastoletni marynarz. – Przysiądź się Pan kontem już! – dorzuca zdenerwowany.

Posuwam się naprzód pośród zakapturzonych pasażerów w poszukiwaniu „kantu”. Oho! Jest! W ów „kant” wtapia chciwie swe oczy z parę dziesiątków ludzi zmęczonych tak jak ja. Jest to róg prowizorycznej ławy nie wiadomo z jakiego powodu głęboko wydrążony, a zagłębienie wypełniony jest wodą.

„Niech sobie! – myślę – wyschnę! – I siadam z miną obojętną.

Syrena. Prawe koło napędowe rozpoczyna miarową pracę i statek wolno opuszcza molo. Jakaś spóźniona grupka przybiega tuż, tuż przed zdjęciem pomostu.

– Panie łaskawy – woła starsza kobieta – zawróć Pan jeszcze!

Obok mnie umieszcza się rozgorączkowany lornetkujący pan, a dosłownie nade mną, uczepony jakiegoś pręta, fotograf – amator o zaferowanym wyrazie twarzy. Panowie ci czynią niekiedy tak fachowe uwagi, że wszyscy wybuchają śmiechem. Podróż staje się interesująca.

– Widzę, widzę – woła w tej chwili lornetkujący jegomość – czyj tam znów kapelusz zasłania!

– Co Pan widzi!

– Chwileczkę... Zaraz to bliżej określę.

– Ależ proszę pana, pan w tej chwili patrzy na magazyn znajdujący się 100 m przed nami. Nie widzę wcale potrzeby byś Pan wydawał nieuzasadnione okrzyki – oburza się ktoś z podróżnych.

– Panie fotografie! Pan mi ciągle jedną nogę stawia na głowę!

– Bardzo przepraszam. Lecz to z braku jakiegokolwiek oparcia.

W tej chwili mijamy pływający dok. Wśród dwóch potężnych, żelaznych ścian – okręt pasażerski „Kaliningrad”. Nieco dalej zrujnowane stocznie.

– Zaraz ma być lotniskowiec – pada podniecająca wiadomość. Wszyscy unoszą się z miejsca, penetrując wzrokiem najbliższy kształty.

– Nie tutaj! Trochę dalej – krzyczą od rufy.

Tymczasem jest Gołęcin. Potężne wzgórza zasiane domkami o czerwonych dachach, ujęte jest w obramowanie zwartej zieleni. Tylko ponad tą zielenią wystrzeła swobodnie, jasna wieża tutejszego kościoła. Mijamy drugi pływający dok. Na brzegu – olbrzymie prowizoryczne zagrody.

– Co to? Kacet-lager? – ktoś pyta.

– Nie! Tu będą stały konie i kurczaki

– Konie to tak! Ale kurczaki? Zwieją! Bój się pan Boga

– takie dziury!

– Gdzie jest lotniskowiec? Panowie, gdzie jest lotniskowiec? – niecierpliwą się pasażerowie.

– Widzę! Widzę! – woła posiadacz lornetki

– Thalatta! Thalatta! – przedrzeźnia ktoś z boku.

– Nic Pan nie widzisz – mówi jakiś sceptyk. – Mój kapelusz zasłania akurat pańskie szkła.

Wychodzi zza chmur słońce. Woda wypełnia się opalizującym blaskiem. Okrzyki radości tryskają nad pokładem. Równocześnie uwagę wszystkich przykuwa kulista budowla, wyglądająca jak kołpak bojarski na zielonej głowie wzgórza.

– I proszę... Jeszcze stoi – rzuca ktoś z niezadowolaniem.

– Panie szanowny! Co stoi? – pytają wszyscy pasażerowie.

– Psia krew! – dorzuca ten ktoś jeszcze jedno słowo jak łuczywo do ognia.

– Panie drogi, powiedzże pan na litość... Co to stoi – błagają go dalej.

– No co! Zamek Bismarcka!

Podnoszą się głosy protestu. Jak może coś podobnego istnieć. Bismarck – polakożerca! Zapanowało powszechne – święte oburzenie. W tej chwili mija nas łódź żaglowa – istna dżonka chińska. Wielobarwne płótno rozdęte wiatrem, tańczy na utworzonych przez nasz statek, falach, jak jaskrawe skrzydło motyla. Mijamy Stołczyn. Oto odbudowująca się fabryka cementu. Jest zapyłona i szara. Poza nią ciągną się olbrzymie wytwórnie nawozów sztucznych, w znacznym stopniu zniszczone. Nad brzegiem piętrzą się hałdy brunatnego surowca i gotowych nawozów. Naprzeciw, w Odrze – wrak żelaznej barki ze straszliwie rozdartym kilem. Tu Odra po raz drugi łączy się z Jeziorą Dąbskim. Od tego miejsca pustoszeją brzegi. Biorą go w posiadanie wszechobecne chaszcze trzcin. Słońce niemiłosiernie grzeje nam grzbiety.

– Uff, gorąco... – dyszy jakiś jegomość.

– To skacz pan do wody – radzi ktoś z boku.

– Panie! – trąca mnie pięścią w głowę lustrujący przestrzeń jegomość. – Zasłaniasz mi pan widok, to jest karygodne.

– Dlaczego „Kozle”? Co to jest „Kozle”? – podnoszą się niespodzianie pytania z rufy statku, na której wymalowany jest właśnie wyraz „Kozle”.

– Też się panowie pytacie! – odzywa się lekceważąco dama. – Kozle jest to młoda koza.

– Hm... Hm – słychać niezbyt zdecydowanie głosy.

– Kozle to jest port – włącza się do dyskusji staruszek.

– Od kiedy to kozle jest portem – czerwieni się niewiasta. – Co on powiedział? Pan nie zna jeszcze słownika polskiego!

– Kiedy nareszcie ujrzemy lotniskowiec? – podają zewsząd pytania.

– Mewy, mewy! – rozlegają się okrzyki.

– Ja panu mówiłem – usuń pan głowę... – otrzymuję po raz drugi uderzenia.



półkola zawraca z powrotem. Naturalnie wszyscy jesteśmy przygotowani, że zostaniemy wysadzeni na brzeg, by rozejrzeć się po okolicy. W tym miejscu na skos rzeki ułożyły się w regularnych odstępach smugi jasnej piany. Jak głębokie ogarnia nas rozczarowanie, gdy dowiadujemy się wręcz coś przeciwnego: wracamy do Szczecina.

– Przecież jest dopiero dwunasta!... Mamy wrócić na siódmą... Czy macie państwo zamiar tak wolno płynąć? – rozlegają się głośne protesty.

– Ano... Pod prąd... Być może – mruczy ktoś z boku.

Płyniemy jednak z normalną szybkością i na godzinę trzecią dobijamy do Szczecina. Wszyscy są trochę rozczarowani. Po pierwsze: lotniskowiec – widmo, nigdzie się nie ukazał, po drugie: nie wróciliśmy o siódmej.

(nr cenzora) X01251

17.8.46 - (oryginał w zbiorach Marka Koszura)

Zdjęcia z plaży w Międzyzdrojach: Jerzy Koszur, 1955

Tymczasem mewy, które nadleciały nam na spotkanie od samotnej latarni, wzbiły się olbrzymią gromadą nad statkiem i kwilią przejmująco. Z pokładu posypały się okruchy bułek, chleba i sucharów. Amator fotograf – w szalonych lansadach przebiega z miejsca na miejsce, jest nieostrożny, omal nie wypada za burtę. Niektóre z mew, chwytają pożywienie w locie. Inne spadając w dół błyskawicznie porywają z fal pokarm i o ile jest on większym kawałkiem, oddalają się gdzieś na bok, by usiadłszy na wodzie, rozszarpać go na części. Pasażerowie są ogarnięci gorączką karmienia. Z bufetu wykupiono ostatnie pierniki. Jakiś roztargniony jegomość wyrzuca klucze od swojego mieszkania zamiast utrzymanych w drugiej ręce bułki. Rozpacz. Żąda zatrzymania statku. Tłumaczą mu, że Odra w tym miejscu ma osiemnaście metrów głębokości. Siada więc przygnębiony, zrezygnowany.

Za chwilę nasz statek po opisanu łagodnego



Przecież jest dopiero dwunasta!... Mamy wrócić na siódmą... Czy macie państwo zamiar tak wolno płynąć? – rozlegają się głośne protesty.

– A no... pod prąd... być może – mruczy ktoś z boku.

Płyniemy jednak z normalną szybkością i na godzinę trzecią dobijamy do Szczecina. Wszyscy są trochę rozczarowani. Po pierwsze: lotniskowiec – widmo, nigdzie się nie ukazał, po drugie: nie wróciliśmy o siódmej.

Wycieczkowicze ^{żądają} wymagają ścisłości!...

X01251
~~X01249~~

17.8.46.

W numerach 05 i 07 TVSiódemki przedstawiłem dwa szkice pióra Marii Kureckiej-Wirpszy, pochodzące z rękopisu przechowywanego w archiwum Książnicy Pomorskiej. Prywatne notatki — dedykowane... dzieciom.

Czyli – nam?

Pierwszy - poświęcony był Tadeuszowi Borowskiemu, drugi - Władysławowi Broniewskiemu. Państwo Wirpszowie, na zaproszenie wojewody Leonarda Borkowicza podjęli się zadania utworzenia w Szczecinie, w 1946 i kolejnych latach - "kolonii" literackiej. Artyści o uznanych nazwiskach, z dorobkiem, rozpoznawalni, za - jak na owe czasy - "trofiejny" opierunek w postaci willi, dobrze wyposażonych, poniemieckich mieszkań - mieli przekonywać Polskę i świat, że Szczecin wrócił do macierzy, rozwija się, buduje środowiska twórcze. W rezultacie, eksperyment zakończył się całkowitym niepowodzeniem. By tworzyć - nie trzeba mieć domku z ogrodem czy mercedesa ściągniętego z Berlina. Szczecin, przedstawiał sobą ziemię jałową. Powietrze tu było morowe, a entuzjazm i zapal osadników, rzeczywiście zaowocował wieloma usprawnieniami w mieście. Ale nie zaciążył twórczo. Nie stał się konstrukcją, po której pięć się będą bluszcze i róże, winne grona i żywopłoty poezji czy malarstwa. Artyści przyjeżdżali, napili się wódki, powspominali, łzę uronili i... wracali do swoich naturalnych mateczników. A te, jeśli pozostały poza nowymi granicami Polski, odrastały w nowych miejscach, ale pełnych osadników, krajanów, zabużan i kresowiaków. Swoich. W notatkach Marii Kureckiej-Wirpszy znajdziemy jedynie ułamki, okruchy, migawki, anegdoty, strzępy zdarzeń często bardzo osobistych. Wszystkie wiążą się z twórcami, których Szczecin "nie porwał".

Czas bezpowrotnie zaciera wszystko: kataklizmy i mrugnięcie powieki. Z najwyższą pilnością wymazuje odczucia, reakcje, oceny i emocje. Dlatego tak cenne są te prywatne, wręcz poufne notatki. To nie pamiętnik. Nie autobiografia. To iskry zdarzeń, które zapłonęły i uleciały — by... zgasnąć.

Maria Kurecka-Wirpsza



Czas przeszły dokonany

(Fragmenty)

Wspomnienia o T. Borowskim, K.I. Gałczyńskim, S.J. Lecu

Dzieciom naszym

Konstanty
Ildelfons
Gałczyński

Konstanty Ildelfons Gałczyński fot. Internet



Ubrać go w beret, czarny, aksamitny, z fryzowanym piórem, w kryzę sztywną i białą, w połyskliwy cylinder i biały szal - a do ręki dać magiczną laseczkę (istnieje takie jedno zdjęcie). Napisano o nim już tak wiele i - tak bardzo mało. Dwoił się, troił, mnożył bez troski w najwspanialszych mistyfikacjach i bufonadach, był najczystszy kontynuatorem polskiego Renesansu - piewca latarni i księżyca, muzyki Bacha i chybliwych migotów płonących świec, szarych smutków, szarych ludzi i - złotą nicią najszczęśliwszej radości. W nieswoje się zabłąkał czasy i siedł przez nie, przedzierał się jak przez gęsty - jakże często złowrogi las. Za szkolnych czasów powtarzałam, urzeczona jedynie goryczą i melodią tych słów:

...Rannyś? Ten świat jest borem,
rąbałeś bór toporem,
toś się i zaciął....

Podporządkować go, wtłoczyć porządnie do kolejnej, literackiej szufladki, zaliczyć "w okresie międzywojennym" - wojennym - (stalag) - powojennym wreszcie - próbowali tego i nadal próbują uczeni w piśmie - a mimo to zawsze pozostaje nie pochwytna w jego wierszach - ta "reszta", która nie milczeniem jest - lecz najszczęśliwszą poezją. U żadnego chyba ze współczesnych mu - może z wyjątkiem wczesnego Tuwima - nie uderzała tak wyraźnie ta cecha: jest poetą - i niczym więcej być ani chce, ani umie.

Rankiem z domu wychodzimy,
wrogowie cudów -
każdy w swoją stronę...
A dopiero wieczorem
leży przed nami plon trudu
jak skrzypce - świeżo skończone.
Żona kwiat stawia na oknie,
drzewo w kominie bzyka,
na ręce złożone ogniem
płynie muzyka.

Dawno to pisał - w niedawnych zaś jeszcze czasach wytykali mu te i inne wiersze surowi krytycy, tyleż na poezji się znający co słoń na margarynie. Gromili i nosem kręcili, że wiersze te opisują jakoweś "małomieszczańskie" uroki życia i wążutki, domowy horyzont - gdy tu - dlaboga - Marksem wszystko trzeba wykrasić, a podeprzeć należycie i człowieka pracy, co w pocie czoła socjalizm twarzą i pozytywnie buduje - opiewać. Wielekroć, myśląc i mówiąc o nim w tych czasach cytowaliśmy sobie tylko - (bo komuż?) - ku przestrodze, słynną "Kronikę" Prusa, o gospodarzu, który za poradami licznych kumów kożę opacznie hodować zaczął w nadziei, że przemieni mu się nagle w ileż więcej cenionego jesiotra.

A przecież gdy powrócił do kraju - też jak niejako w jego życiu, w sposób nie pozbawiony tragikomicznej aury, jako że wkroczył żywy i cały do... krakowskiego kościoła, gdzie ponoć odprawiano właśnie modły za jego duszę - w ciasnej, długiej salce Związku Literatów na Krupniczej 22 tłok i ciżba takie były, że aż okna otworzyć musiano - a za drzwiami jeszcze cisnęli się tłumnie słuchacze, nawet na pobliskie słupy latarniane się wdrapując.

Nisko, z gęstwiną mocno już posiwiałych włosów, z przenikliwym spojrzeniem kocich ("kot" wolał go bliscy, tak też mówiła do niego i o nim Natalia), zielono cygańskich oczu, stał za stołem i mówił swym pełnym, ciepłym, mocnym głosem:

*Były dwie siostry: Noc i Śmierć,
Śmierć większa, a Noc mniejsza,
Noc była piękna jak sen a Śmierć,
Śmierć była jeszcze piękniejsza*

I potem już cała sala domagała się, krzyczała, powtarzała z nim razem radośnie i głośno: "Strasną zabę" i niezapomniane:

*Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie!
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Chcieliście Polski, no to ją macie!
(skumbrie w tomacie pstrąg)*

Histrionem był, cyganem urodzonym, o wiedzy zdumiewająco rozległej (jak dobrze znał - oprócz tego, że lubił - muzykę, zwłaszcza twórczość umiłowanego J.S. Bacha), poezję angielską, rosyjską, wiedzy z której - pozornie - nie robił użytku, o geście szerokim, fantazją jak szeroką pelerynę rozpościerając na wiatr, uchem niezawodnym łowiąc dźwięki i słowa.

Lubił pieniądze - i zarzucano mu to także, wielokrotnie. A któż - nie lubi? I po cóż uparcie hodować dawno zwiędły, psu na budę zdalny mit, że "prawdziwy" poeta głodem musi koniecznie przymierać i w dziurawych chodzić butach?

Lubił pić! Alkohol dokonywał w nim jednak zły przemian. Twarz mu się kurczyła w groźną maskę - oczy jarzyły się jak osłabłe latarnie, grube wargi wykrzykiwały złośliwie, ręce - niewspółmiernie do całej postaci długie - zdawały się nagle łapami goryla. Ludzie - nawet dobrze go znający - bali go się w takich chwilach.

Bodaj jedno z pierwszych naszych spotkań na tejże Krupniczej, jesienią 1946 roku tak się właśnie odbyło. W stołowie pustawo - wcześniej jeszcze pora - weszliśmy z Witoldem (Wirpszą - podkr. M.K.) na obiad i czekając, czytali "Dłonie księżniczki Krystyny" i "Ulicę Sarg", jakie wydrukował chyba "Tygodnik Powszechny". Nagle czyjaś ręka wydarła mi gwałtownie gazetę: za moim krzesłem stał pijaniusiński - Konstanty Ildefons - i krzyczał donośnie:

- Czytaj! Czytaj to głośno!

Apelacji nie było - i być nie mogło. Twarz miał chmurną, pociemniałą, kosmyki włosów wylały mu się nad czołem jak w masce Gorgony, oczy plonęły niebezpiecznie zielonym światłem. Jak tam potrafił - i zapewne drżącym raczej głosem - jęłam czytać piękne "Dłonie księżniczki Krystyny", a rytm drugiego wiersza i niezwykłość sytuacji sprawiły, że pełnym już głosem kończyłam:

*Ulica w deszcz - ulica w skos
Ja wam pokażę, jaka ulica!*

Autor odwrócił się na pięcie, wymruczał coś niezrozumiałego,

odmaszerował zdecydowanie w przeciwny kąt salki i - za chwilę rzucił, i prosto na kolana (czyli na jasną i - pechem - j e d y n ą jaką podówczas miałam spódniczkę, potężny snop ciemno amarantowych astrów, których łodygi obsłizgłe były już bardzo, wydzielając nie tylko woń rozkładu i zgnilizny, ale i - mnóstwo słuzowato zielonkawej wody, gdyż Gałczyński wyciągnął cały ów bukiet z wielkiego, glinianego wazonu, gdzie stać miał ku stołówki naszej ozdobie.

Nie wiadomo, czym zakończyłaby się sprawa, gdyby nie wejście ciemnowłosej, chmurnookiej, jedynej interwentki. Na widok Natalii szatan alkoholu kurczył i wypuszczał ze swych szponów poetę. Nie zawsze - dodać trzeba, w imię sprawiedliwości - ale - prawie zawsze. Tym razem zreiterował zaraz i z nagłą uciszony, potulny, spokorniały Gałczyński bez słowa odszedł wraz z żoną.

O tej przygodzie - której chyba nie pamiętał - nie mówiliśmy już. I w ogóle nie zdarzało nam się w życiu spotykać często, ani mówić ze sobą wiele. Inni otoczyli ich - ją i jego - ludzie, innych zyskali przyjaciół, mieszkali w Warszawie, my na wiele lat przenieśliśmy się do Szczecina, rozchodziły się drogi i urywały kontakty. Na egzemplarzu "Zaczarowanej dorożki" mam tylko - z okazji już wspomnianego koncertu na dwa głosy Broniewskiego i Gałczyńskiego, którego potem jakoś - czy jeszcze w Szczecinie czy podczas mej kolejnej bytności w Warszawie - nie zastałam, życzliwą dedykację z podpisem: "Niestety - latarnia - czyli - Natalia.

Była latarnią. Per fas et nefas (łacińska fraza oznaczająca "wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi środkami - podkr. M.K.) była światłem i strażnikiem płomienia, opiewaną w niezliczonych wierszach, wielbioną - gnębioną i doświadczaną okrutnie i na wszelkie sposoby. Żył dla niej zawsze wielki podziw, w latach późniejszych bliski już - przyjacielskim uczuciem, z całą świadomością, że - nie zdam się tu na wiele. Umiała bowiem nie tylko wprawna ręką dzierżyć ster wątpliej domowej łodzi na wzburzonych falach czasu, ale i sama znaleźć sobie w tej łodzi miejsce należyte. Była nie tylko kobietą bardzo piękną - i doskonale tego świadomą - umiała także trzeźwo i praktycznie radzić sobie z wszelkimi przeciwnościami w życiu. Ale do całego jej świata - na wskroś kobiecego - dostosować się ani nie umiałam, ani - chciałam zresztą. Pozostawał swobodniejszy i ile rozleglejszy teren poezji, gdzie czułam się raczej bezpieczna.

W Szczecinie mieszkali Gałczyńscy rok niespełna - w 1949 - gdy równy tęgiemu szlachciurze na zagrodzie ówczesny "wojewoda" Borkowicz (odznaczający się wtedy ponadto jeszcze rykliwie - tubalnym głosem i sumiastymi wąsiskami) usiłował przefflancować na ugory Dzikiego Zachodu choć kilka artystycznych kwiatków - ku ozdobie. Gromkim głosem obiecywał mieszkania i dawał je - co nie było rzeczą trudną, gdyż domów i willi opustoszałych było w bród. Nie obiecywał natomiast nikomu jedzenia - i słusznie - gdyż żywności w owych czasach prawie w Szczecinie nie było (prócz chleba, wódki i papierosów - najczęściej w dumnej nazwie "Triumf"), choi dla poetów sprawa to dość istotna. Nawet dla ciszących się podówczas uznaniem tak wielkim - "literatów" - jak np. także w Szczecinie tkwiący Osmańczyk - konieczność zdobycia pieniędzy na utrzymanie zmuszała do częstych, parokrotnych w miesiącu - wyjazdów do stolicy. Wszystko już w owych czasach ustalono "odgórnie" - a coś dopiero - literaturę.

Gałczyńscy dostali więc od Borkowicza ładny domek w dość dużym ogrodzie na tzw. Pogodnie - w willowej dzielnicy, przy zacisznej uliczce Marii Curie-Skłodowskiej. Ale oprócz nazwy dzielnicy - pogody nic w tym czasie nie zapowiadało. Socrealizm ogłoszony, świeżo, twardo i urzędowo - żadnych "izmów" - a już najbardziej poetyckiego indywidualizmu - tolerować nie zamierzał. Zamknięto krakowsko-zakopiański kabaret "7 kotów", którego współzałożycielem i twórcą licznych do niego tekstów był Gałczyński, znikły z "Przekroju" pełne poetyckiej dezynwoltury "Listy z fiołkiem", szara i szczelna kurtyna milczenia opadła na miniaturowy teatrzyk "Zielonej gęsi", wierszy szalonego miłośnika zaczarowanych dorożek, migoczących świec i latarni, potężnej muzyki Bacha i srebrnie lśniącego księżycy - nigdzie już niemal nie drukowano. Usiłował się - "przełamać" - pisywał krótkie wiersze - jak ten na otwarcie szczecińskiej radiostacji, czy inny - o tramwajowej konduktorze - gdzie w toporne i odgórnie ustawione ramy tchnąć starał się nieśmiało isiskrę prawdziwej poezji. Ale z

przymusów tych - wyraźnych, widocznych - nic nie wychodziło, a raczej pojawiały się wiersze wątłutkie, mizerne, anemiczne, jakby tępym kocem pióra wbrew własnym pragnieniom pisane.

Gałczyński pił wtedy więcej niż zazwyczaj. Któregoś poranka wyłądował nieoczekiwanie u nas, na Głębokim, pijany już tak bardzo, że porozmawiać z nim nie było sposobu. Panicznie przerażony jego widokiem Różewicz, który często wtedy na Głębokie przyjeżdżał, ukrył się za kępą krzaków, chcąc przeczekać ów niesamowity „napad”. A Konstanty Ildefons, chwiejnym i rozkołysanym krokiem, w końcu wyłądował w domku Andrzejewskich, gdzie początkowo opadł z sił i dał się namówić na krótki odpoczynek. Ledwo jednak gospodarz — zamykając cichutko drzwi pokoju, w którym rozpaczliwego gościa ułożono do snu — chciał odejść, poeta zerwał się, rycząc lwim zaiste głosem, i jął się z gospodarzem szarpać i szamotać, wypalając mu papierosem piętno na dłoni. Potem przez otwarte (parterowe) okno dał nura do ogrodu.

Bezradni gospodarze zadzwonili po Natalię, która zjawiała się niebawem i raz jeszcze — któryż to już raz! — zdołała opanować sytuację.

Doraźnie tylko. Wkrótce potem Gałczyński dostał zawału mięśnia sercowego — choć choroba ta nie była jeszcze wtedy tak „modna” i powszechna jak dziś. Przypisywano ją wyłącznie wieloletniemu nadużywaniu alkoholu. O nadużyciu przeciwnym — odporności, wytrzymałości i poetyckiej psychiki — nie mówił nikt.

Chory — po wielotygodniowym leczeniu — miał się już lepiej, natomiast Natalia leciała z nóg. Nadmierna nerwowość i pobudliwość, tak charakterystyczne w tej chorobie, jej przede wszystkim dawały się we znaki. Gałczyński nie chciał już leżeć bez ruchu i spokojnie, jak nakazywali lekarze — grymasił, kaprysił, domagał się godzinami głośnego czytania ulubionych poetów rosyjskich: Błoka, Jesienina; pragnął odwiedzin, nowinek, pociechy.

Umęczona Natalia zadzwoniła do Marysi Andrzejewskiej, ta z kolei zwerbowała mnie do pomocy. Obie plotłyśmy byle jakie głupstwa, zagadując czas, który skwapliwie wykorzystywała odpoczywająca w sąsiednim pokoju żona niesforemego pacjenta.

— Ale mnie już nic nie boli, nic mi nie jest, wstaję — naprawdę, mówię wam — upierał się Gałczyński, odpierając wszelkie perswazje. Zielone jego oczy poszarzały i przygasły, we włosach zaś było już znacznie więcej siwizny. Przez pewien czas pozwalał się jeszcze zagadywać, a potem przymknął oczy i tonem zmęczonego dziecka poprosił, byśmy wyszły, bo chce spać.

Ledwie jednak znaleźliśmy się przed domem, cichy, niemal ptasi okrzyk sprawił, że jak na komendę obie spojrzałyśmy w stronę balkonu: na pięterku stał poeta i teatralnym gestem zrzucił nam prosto pod nogi dwie piękne, czerwone róże.

Niebawem Gałczyńscy przenieśli się do Warszawy; Natalia — z pomocą przyjaciół — znalazła cichy, zielony kąt na Mazurach, w uwiecznionej w wierszach leśniczówce Pranie. W literaturze dało się już odczuwać pierwsze, nieśmiałe jeszcze powiewy nadchodzącej „odwilży”.

W małym mieszkaniu przy Alei Róż byłam raz tylko — przejazdem, zmęczona, nieuważna. Prócz znakomitej herbaty, z której zawsze słygał gościnny gospodarz, i rodzinnego ewenementu w postaci pierwszej „trwałej”, jaką zrobiła sobie wtedy dorastająca córka Kira (efektem tej fryzjerskiej eskapady była tak zaskoczona i wściekła, że zamknęła się w łazience i nie sposób było jej stamtąd wywabić), pozostała mi w pamięci jedynie pracownia Gałczyńskiego: pokój wąski, biały, z

oszkłąną, prawdziwą dorożkarską latarnią ustawioną na biurku.

Ze spotkania nie zachowałam żadnych wątków rozmowy — była bezładna i płytka: jakieś książki pozostawione ongiś w Szczecinie, nieważne wiadomości o wspólnych znajomych, muzyka.

Jesienią 1952 roku byłam w Krakowie, gdy do mieszkania Wisławy Szymborskiej wpadło dwóch rozentuzjasmowanych „młodych”.

— Posłuchajcie! Najnowszy Gałczyński! Niebawem!

I rzeczywiście — niebawem na owe czasy była ta „Podróż Hipolita Bulwecia do Ciemnogradu”. Wracalo wszystko: kabaret i groteska, pozory „małego światka małych ludzi”, a sens istotny — o ileż rozleglejszy i głębszy! Rymy niby na poczekaniu, jak z rękawa wytrząsane, a ponad tym wszystkim — prawdziwa, własna poezja.

Charakterystyczne dla tamtej chwili było i to, że po ukończeniu głośnej lektury sporego już wówczas maszynopisu zaraz urządziliśmy burzliwą dyskusję na temat zasadniczy: przejdzie czy nie przejdzie (oczywiście przez cenzurę!).

I nie mam dziś za złe, po latach, krakowskim kolegom owej makabrycznej, zaiste, niespodzianki, jaką zgotowali mi niespełna półtora roku później. Znowu przyjechałam ze Szczecina — Gałczyński już nie żył — znowu, szukając noclegu, zawędrowałam do któregoś z gościnnych mieszkań na Krupniczej, a gospodarz — w asyście paru znajomych — uprzejmie przepuścił mnie przodem, otwierając drzwi ciemnego pokoju.

Wtedy — w owych ciemnościach — bliski i żywy rozległ się głos poety:

*co się łzą oświeciło,
to słońcem wschodzi.
Co się w ziemię wrzuciło,
to się urodzi;*

*co się w wiatr rozmotało,
to się zmota.
Za pagórkami
cicha woda.*

Płyta, na której Gałczyński nagrał swoje „Niobe” i jeszcze inne wiersze, wyszła wtedy świeżo spod prasy, a szok, jakiego doznałam, słysząc w ciemności żywe słowa niedawno zmarłego autora, był doprawdy niemały — skoro do dziś na powtórzenie owego „ekspery-

Natalia i Konstanty Ildefons Gałczyńscy - Fot. Internet



mentu z płytą” zdobyć się nie umiem.

Ale gdy minęło pierwsze zaskoczenie — odczułam coś podobnego do wdzięczności. Bo został żywy.

Wiele jego wierszy, uważanych początkowo za błahostki, bagatelki, zabaweczki, figliki — po latach roziskrzyło się, rozbłysło, ujawniło przemysłnie, może i dziecinnie (poeta-ludens?) ukryte w nich piękno: bufonadę pełną powagi, prześmiewki pełne gorczy, sowizdrzalskie żarciki — pełne zadumy.

Nie — nie był z tych, którzy pytają: „czemu ma służyć sztuka?”. I nigdy w jego ciężkiej, kwadratowej głowie pod gęstwą zawsze rozwiniętych włosów nie zrodziłoby się takie pytanie.

Ale też nie był bynajmniej żywiołowym rymotwórcą „z bożej łaski”, zonglującym wierszami jak garścią kolorowych piłek. Był poetą. Prawdziwym. I nic więcej nie trzeba — ani da się — o tym powiedzieć.

„Śmierć — była jeszcze piękniejsza.” A w każdym razie — miło-

sierna.

W zimowy ranek, jak co dzień, zasiadł przy biurku, by zielonym atramentem i dużymi, zamaszystymi, choć jakby dziecinnymi nieco literami zapisać kolejny, biały arkusz papieru. I zdołał napisać jeszcze: „A kiedy noc...”

Gdy Natalia weszła, przynosząc mu jak co dzień filiżankę kawy, zdołała już tylko przekonać się, że niepostrzeżenie odszedł w ową noc — tę, o której pisał tak wiele, a o której już nigdy napisać nie zdoła.

Cztery lata później, gdy — już mieszkając w Warszawie — na kilka dni przyjechałam do Szczecina, jeden z miejscowych dziennikarzy, od piętnastu niemal lat tam osiadłych, z niemalym zakłopotaniem zapytał, czy nie zdołał wskazać, gdzie właściwie w tym mieście mieszkał niegdyś Gałczyński.

— Był nawet projekt, żeby tę ulicę nazwać jego imieniem — powiedział. — Ale jakoś nikt nie potrafił sobie przypomnieć i wskazać nie potrafił.

Kolorowe czasy, czarno-białe...

Pamiętam... Wczasy w Makowie Podhalańskim. Początek lat sześćdziesiątych?

Ojciec wrócił z któregoś z pobliskich miasteczek. Rozmawiali z Matką długą chwilę. Widzę, jak patrzy w Jej oczy. Te są niewzruszone. Argumentuje, przekonuje, uzasadnia, ledwie zauważalnie gestykuluje. Miał dar przekonywania. Pewnie też nieobca mu była erystyka. Potrafił rzucić cytaty z literatury, z poezji, albo jakąś łacińską sentencję.

Gdy po kolacji wychodziliśmy z Matką ze stołówki, Ojciec właśnie wysiadał z autobusu, z którego wytaszczył karton, związany sznurkami. Cieszył się bardziej niż ja, gdy dostałem pierwszy rower.

Powiększalnik nazywał się Beta. Ten na zdjęciu - sprzed wojny.

Ojciec ustawił go na stole w pokoju domu wczasowego.

— Tu wsuwasz negatyw, tu ustawiasz ostrość, dobierasz przysłonę, dopasowujesz czas naświetlania do czułości papieru — ten: miękki lub twardy, połysk albo mat. Ale jest też półmat.

Najbardziej lubiłem jedwabisty. Miał w swojej strukturze coś z trzeciego wymiaru. Szczególnie portrety dobrze się na nim prezentowały. Takie tajemnicze... A jeśli do tego jeszcze dodać odcień sepii...

I rysował cały ciąg technologiczny: kuwety z wywoływaczem, z

wodą do płukania, trzecia — utrwalacz. Już na podłodze — miednica, żeby wypłukać naświetlone i gotowe odbitki.

Wieczorem, z kocami na oknach, w zupełnej ciemności, po omacku, przy ledwie żarzącej się żarówce dającej czerwone światło — odbywało się misterium naświetlania papieru. Sekwencja: *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...* albo: *W imię Ojca i Syna, i Ducha zastępowała stoper.. Świętego* — Ojciec dodawał, gdy pewne szczegóły chciał doświetlić, a w tym samym czasie, dłonią zasłaniał inne partie zdjęcia.

Arkusik papieru łądował w odczynnikach chemicznych. Z wolna wyłaniał się obraz, kształty... Tak, to ja z niedźwiedziem w alejce w parku, a na drugim — siedzimy w pijalni wód mineralnych.

Ta magia, te wrażenia są we mnie do dziś tak żywe i wyraziste jak smak kawy palonej według receptury sztokholmskiej. Cierпка, trochę chropowata, ale jak aromatyczna!

Zapytałem Ojca, dlaczego nie robi odbitek kolorowych.

— Żartujesz? — cała dezaprobata, jak każda Jego emocja, wyrażały się w modulacji głosu, nigdy w wyrazie twarzy.

Uzasadniał, że brak chemikaliów, że takie odbitki byłyby bardzo drogie, a w gruncie rzeczy — zabiłyby magię zdjęcia.

- *Magią są kolory* — wołałem bezgłośnie.

— Popatrz... Na kolorowej spódnicy Matki, na tym zdjęciu, wszędzie dominuje kolor brązowy. A na odbitce czarno-białej — policz, ile jest odcieni szarości? Tu głębia ostrości, której nie zauważasz na kolorowym zdjęciu; a w wersji monochromatycznej wręcz zaskakuje. Tu masz ujęcie z Kasprowego Wierchu — ile sekwencji naliczysz? A na kolorowej będzie tylko łagodna przejście od obrazu ostrego po zamglony. Albo tutaj, ten portret. W co wpatrujesz się przede wszystkim? W oczy osoby portretowanej. A na fotografii kolorowej widzisz, że ma po prostu zaczerwieniony nos...

Przez lata dziesiątki godzin spędzałem w ciemni fotograficznej, studiując subtelności procesów chemicznych. Eksperymentowałem z naświetlaniem, z „szukaniem” ziarna (dziś powiedzielibyśmy — pikseli?), z różnymi rodzajami obiektywów, żarówek... Fascynujące było zastosowanie żarówki halogenowej do negatywów o czułości 27 DIN.

Ojciec chyba nigdy nie używał lampy błyskowej. Tak przygotowywał i ustalał ekspozycję, by nie wymagała sztucznego doświetlenia.

— To ujęcie zrobimy jutro, między jedenastą a obiadem. Będzie dobre światło — mówił.

Światło... Czyż słowo to nie kojarzy się najlepiej z blaskiem i cieniem? Białą i czernią?

Światło wypełnia wszystko, co jest między alfą i omegą.





Foto: Jerzy Koszur, 1950



Wyrok Pegaza

Alkohol jako kara za wrażliwość

W powojennej literaturze polskiej alkohol był nie tylko towarzyszem, lecz często wspólnym mianownikiem biografii. Niektórzy pili z rozpacz, inni z nudy, jeszcze inni – z potrzeby złudzenia, że życie da się ośwoić. Ale są tacy, o których można powiedzieć coś więcej: że alkohol był wyrokiem ich Pegazów. Nie wyborem, lecz konsekwencją daru. Trucizną, która płynęła z tej samej studni, z której czerpali słowa.

Borowski – trzeźwy w piekle

Tadeusz Borowski był człowiekiem, który zbyt wcześnie poznał najpodlejsze oblicze świata. Auschwitz uczynił z niego świadka absolutnego – kogoś, kto rozumiał, że po takim doświadczeniu nie istnieje już niewinny język.

Jego proza, jak ostrze skalpela, tnę rzeczywistość bez sentymentu. Jest jak spojrzenie, które nie pozwala odwrócić wzroku, ale i nie daje żyć.

Po wojnie Borowski próbował jeszcze wierzyć – w odbudowę, w człowieka, w nowy ustrój. Wierzył w coś, w co wierzyć już nie potrafił. Pisał, ale pisał coraz bardziej wbrew sobie.

Trauma nie zniknęła, a świadomość – ta, która uczyniła go pisarzem – zaczynała go niszczyć.

Wódka stawała się sposobem na chwilowe oślepienie, próbą zatrzymania nieustannego widzenia.

Nie można w nieskończoność pamiętać zła i pozostać przy zdrowych zmysłach. Borowski nie pił, by zapomnieć o obozie.

Pił, by przestać o nim myśleć. A że jego Pegaz miał skrzydła z drutu kolczastego – każdy lot kończył się krwawieniem.

Broniewski – poeta pod białą-czerwoną chmurą

Władysław Broniewski – żołnierz, komunista, patriota, romantyk i liryk w jednej osobie.

Jego życie było serią starć między ideą, a rzeczywistością. Walczył o wolność, trafiał do więzień, pisał hymny, których echo wybrzmiewało z ust propagandy.

Nosił w sobie gniew i liryzm, wiarę i zwątpienie, siłę i czułość.

I jak każdy, kto żył zbyt intensywnie – potrzebował oddechu.

Po śmierci ukochanej córki Joanny, także poetki, ten oddech zamienił się w duszenie.

Pisał jeszcze „Elegię o śmierci córki”, jedno z najczulszych wyznań w polskiej poezji, ale po niej już nic nie mogło być takie samo.

Wódka przestała być towarzyszem – stała się losem.

W jego poezji zawsze drgał rytm sprzeczności: między rewolucją a metafizyką, między miłością do człowieka a rozczarowaniem światem.

Ten rytm wymagał energii większej, niż mógł unieść.

I może właśnie dlatego jego Pegaz miał u wodopoju – spirytus – bo tylko tak potrafił wlecieć nad ból istnienia.

Gałczyński – błazen i liryk

Konstanty Ildefons Gałczyński pił inaczej.

Nie z rozpacz, lecz z pragnienia iluzji, z tęsknoty za światem piękniejszym niż ten, który widział.

W jego przypadku alkohol nie był formą ucieczki od traumy wojny, lecz od chaosu życia.

Był poetą o duszy aktora – błaznem i mistykiem, kabareciarzem i lirykiem. Potrafił w jednym wierszu zderzyć świętość z groteską, nędzę z ironią, a wszystko to w rytmie tak naturalnym, że wydawał się pod słuchany od samej muzy.

Wódka u Gałczyńskiego była częścią widowiska, elementem rytuału twórczego.

Bywało, że inspirowała, ale częściej – zabierała równowagę.

To, co w „Zaczarowanej drodze” było lotem nad codziennością, w życiu prywatnym zamieniało się w upadek.

Jego Pegaz był poetą lunatycznym – unosił się między snem a jawą, nie znosząc prozy świata.

A ponieważ świat był brutalny, trzeźwy, urzędowy – Gałczyński wołał być po stronie iluzji.

Tyle że ta iluzja, karmiona alkoholem, z czasem przestała być poezją, a stała się fizjologią.

Mówi się, że zmarł z wyczerpania serca. Ale można też powiedzieć: zmarł, bo jego serce było zbyt poetyckie, by znosić rytm codzienności.

Dar, który boli

Borowski, Broniewski, Gałczyński – trzech różni, a jednak podobni. Każdy z nich nosił w sobie zbyt wiele: pamięci, emocji, ironii, wiary. Każdy próbował ujarzmić rzeczywistość słowem, a kiedy słowo przestawało wystarczać, sięgał po kieliszek.

Nie z rozkoszy, lecz z desperacji.

Ich alkoholizm był nie tyle grzechem, co konsekwencją wrażliwości.

Pegaz, który dawał im natchnienie, nie znał litości: wymagał, by czuli głębiej, patrzyli dalej, rozumieli więcej.

A człowiek, który rozumie za dużo, nie ma gdzie odpocząć.

Epilog – po stronie światła

W ich twórczości alkohol bywał nie tylko destrukcją, ale i metaforą.

Borowski pił, by zgasić pamięć.

Broniewski – by przetrwać stratę.

Gałczyński – by uwierzyć, że poezja wciąż jest możliwa.

Każdy z nich płacił za talent życiem, które pod koniec wymykało się z rąk.

Ich Pegazy nie były końmi łagodnymi, lecz narowistymi.

Nie niosły ku wolności, lecz ku granicy – tej, po której już tylko cisza.

Czy to naprawdę konieczne, by wielkość poety domagała się autodestrukcji?

Czy cena wrażliwości musi być płacona w spirytusie, bólem i samotnością?

A może po prostu – poeci piją za nas, byśmy my mogli pozostać trzeźwi wobec świata, który sam w sobie bywa upojeniem nie do zniesienia?

Epilog szczeciński

Wszyscy trzech – Borowski, Broniewski i Gałczyński – mieli w swoim życiu epizod szczeciński.

W mieście odbudowującym swoją tożsamość po wojnie, rozważali – każdy po swojemu – czy zdołają znaleźć tu swoje miejsce, czy nie osiąść nad Odrą, w miejscu, **gdzie morze styka się z pamięcią**.

A jednak i tu pili.

Nie z radości, lecz z potrzeby przynależności – w towarzystwie lokalnych poetów, malarzy, dziennikarzy, którzy w powojennym Szczecinie szukali sensu i wolności słowa.

Pili razem – jakby w przekonaniu, że dopóki szklanki są pełne, a rozmowa trwa, Pegaz nie zrzuci ich z grzbietu.



Fragmenty wiersza Władysława Broniewskiego

„Wino i łyż” (1931)

Otwarcie: ironiczny toast

**„Wypijmy wino za życie,
gorzkie jak łyż.”**

Wino (radość, upojenie, wspólnotę) i łyż (ból, rozczarowanie, egzystencjalny ciężar).

Ta ironiczna apostrofa – „wypijmy” – jest typowa dla jego poezji lat trzydziestych: to braterstwo w klęsce, wspólne picie z losem, którego nie da się inaczej znieść.

Gorzka świadomość przemijania

**„Bo życie – to wino czerwone,
co płonie i chłodzi w ustach,
a potem zostaje popiół i sen.”**

Wino jako kondensacja życia: intensywnego, krótkiego, pięknego i zarazem destrukcyjnego.

To wino – czyli życie – płonie w ustach, ale po jego smaku zostaje tylko popiół (śmierć, wypalenie).

Bunt i rezygnacja

**„Nie pytaj, poeto, czemu
gorzknieje krew w kielichu.
Pij – póki ciepło jeszcze w dłoniach.”**

To klasyczny dla Broniewskiego ton romantycznego buntu i fatalizmu.

Nie ma sensu pytać „dlaczego” – życie samo jest trucizną, a poetę ratuje tylko moment, chwila, akt intensywnego przeżycia.

Pojawia się tu motyw wspólnoty pokoleniowej – „my, poeci, pijemy, by żyć, choć wiemy, że to nas zabija”.

Finałowa puenta (klamra egzystencjalna)

**„Wypijmy wino za życie,
gorzkie jak łyż.”**

Powrót do motywu zamyka wiersz klamrą. To toast nad losem, który nie daje nadziei, lecz wymaga solidarności w cierpieniu. Broniewski mówi o życiu jak o nieustannym piciu gorzkiego trunku, w którym miesza się ekstaza i rezygnacja.

Wiersz „Wino i łyż” to miniatura o ogromnej gęstości emocjonalnej. Broniewski tworzy tu coś w rodzaju poetyckiego epitafium dla swojego pokolenia – ludzi, którzy przeszli wojnę, rozczarowanie polityką i utratę wiary w sens, ale mimo to chcą żyć „choćby na kredyt”. Wino nie jest tu symbolem upojenia, lecz metaforą tragicznego świadectwa: życie upaja tylko po to, by za chwilę spalić.

3 stycznia 2026 roku minęło 100 lat od oficjalnego uruchomienia w Stettinie lokalnej rozgłośni radiowej oraz nadajnika retransmitującego ogólnoniemiecki program tworzony i redagowany przez berlińską firmę Funk-Stunde.



Projekt pierwszego ekranu strony internetowej RundfunkStettin.de

Achtung, Achtung, hier spricht Stettin (2)

Trzy lata pracowałem nad projektem www.rundfunkstettin.de, którego celem było odtworzenie tamtych wydarzeń. Chciałem poznać ludzi budujących radiofonie w jednym z największych miast Republiki Weimarskiej i opisać skutki — jak uczy historia, nie zawsze wyłącznie korzystne — powstania medium, które rewolucyjnie zmieniło życie kulturalne i gospodarcze pomorskiej społeczności.

Mój cel był prosty: opracować monografię stettińskiej rozgłośni. Ta jedna — spośród wielu niemieckich stacji — nie doczekała się własnej „legendy”. Jej los nie był spektakularny: epizod krótki, a przez to — w skali radiofonii europejskiej — niemal efemeryczny. Tak właśnie, na tle epoki, widzę dziś „przypadek Stettina”.

O tych poszukiwaniach pisałem na profilu:
<https://www.facebook.com/rundfunkstettin/>

Powstało kilkadziesiąt postów — często przy jakże ważnym wsparciu osób zainteresowanych tematem.

Niestety... Trudno budować opowieść ze strzępów i zatartych śladów — praktycznie bez dokumentacji. Nie zachowały się archiwa stettińskiego radia. Nie ma dokumentacji programowej. Brakuje wykazu pracowników. Jedynym materialnym świadkiem tamtych dni pozostaje gmach, w którym dziś mieści się liceum przy ulicy Mariackiej. To tam, wiosną i latem 1925 roku, urządzano redakcję, dwa studia, administrację, halę maszyn (panie przepisywały teksty serwisów informacyjnych, pogadanek i prelekcji) oraz pomieszczenia aparatury. Stamtąd — najprawdopodobniej podziemnym kablem, choć nie da się wykluczyć, że częściowo również linią napowietrzną — przesyłano sygnał do nadajnika zlokalizowanego w Zabelsdorf (Niebuszewo).

Na początku poszukiwań nie przypuszczałem, że praktycznie nie uda się odnaleźć nic więcej: ani o samej rozgłośni, ani o jej ludziach.

Uzupełnieniem serwisu facebookowego miała być strona internetowa — z planszą, którą po raz pierwszy (wyżej) publikuję właśnie tutaj. Dziś jednak taka strona składałaby się raczej z pytań niż z odpowiedzi.

Trzy lata temu zastanawiałem się, jak tę opowieść rozpocząć. Od faktu? Od zdania: oto **sto lat temu w tym mieście zaczęła się nowa epoka — czas radia**: szybkiej informacji, muzyki bez granic, literatury i teatru docierających do ludzi przez mityczny eter. Notowania giełdowe, wiadomości bankowe, kursy walut, wiadomości z portu o statkach wypływających i wracających z rejsów, przywożących towary, na które oczekiwali kupcy, trendy w gospodarce krajowej i globalnej stały się — przynajmniej w teorii — bliższe zwykłym odbiorcom niż kiedykolwiek wcześniej. Jakkolwiek zaskakująco brzmi to dla współczesnych uszu: sto lat temu Stettin wszedł do grona miast nowej cywilizacji.

Owszem, eter niósł przekazy z całego świata, ale mieszkańcy Stettina byli w tym procesie w dużej mierze uczestnikami biernymi. Jednak setki, a potem tysiące odbiorców — w Niemczech na koniec 1925 roku było już ponad milion indywidualnych zezwoleń radiowych (Rundfunkgenehmigungen) — zetknęły się z dorobkiem kultury właśnie dzięki radiu. Najważniejsze zaś, że do mieszkań weszły głosy z daleka. Cisza przestała pogłębiać samotność i klasowe wykluczenie w społeczeństwie tak wielowarstwowym jak to sprzed stu lat.

Informacje, recytacje, debaty, transmisje sportowe, wiece polityczne, słuchowiska, audycje umuzykalniające dla dzieci, programy edukacyjne i religijne — cały pakiet treści i wrażeń dotąd dla wielu ludzi

- nieznanym. Świat w całej złożoności zmaterializował się w dźwięku, w kakofonii języków. Wieża Babel — znów, a może dopiero naprawdę — stała się faktem. Weszła do mieszkań, dotychczas zazwyczaj milczących.

Tu i ówdzie ktoś grał na skrzypcach albo na pianinie. Tam na chwilę rozbrzmiewał gwar bawiących się dzieci. Gdzieś tam słychać było okrzyki obwoźnych sprzedawców czy rzemieślników. Ruch uliczny tworzył falę szumu bardziej z odgłosów kroków niż z dźwięków samochodów i tramwajów. Cisza wypełniała przestrzeń — i władała myślami.

Radio zmieniło ten stan nieodwracalnie. Tysiące ludzi dotychczas spędzających w ciszy i samotności długie wieczory nie odchodziło już od odbiornika. Ktoś do nich mówił. Czekali na ten głos, „rozmawiali” z nim jak z domownikiem. Tematy wieczornych audycji stawały się treścią porannych rozmów: w biurze, na spacerze, w podróży. Ludzie wymieniali doświadczenia i zachwyty. Technicy w rewolucyjnym tempie udoskonalali urządzenia i techniki nadawcze. Świat — jak podobno powstał z jednego słowa — teraz zamieniał się w ich nieskończone miliony.

Kilka dni temu znalazłem w internecie intrygujące zdjęcie: klimat, kompozycja, ujęcie — niemal malarskie. Zima 1925 roku w Stettinie.

Więc tak wyglądał wtedy ten "nasz" świat?

Tuż przed Gwiazdką uruchomiono techniczną emisję programu radiowego. Od wiosny 1925 budowano w Stettinie centrum nadawcze. Sprowadzano aparaturę — wycofaną z eksploatacji w innych ośrodkach. Stettin miał być bowiem przede wszystkim stacją pośrednią: wzmacniać sygnał berliński, który poprzez sieć nadajników pośrednich miał dotrzeć aż do Królewca. Jednocześnie władzom miasta udało się wynegocjować „okienka” w berlińskiej ramówce: na regionalną tematykę, koncerty miejscowych artystów, wystąpienia polityków i naukowców, relacje sportowe.

W stettińskich domach tej eksperymentalnej transmisji słuchano głównie na odbiornikach kryształkowych, w prymitywnych — i mocno ograniczonych pasmowo — słuchawkach.

Szalenie ciekawi mnie, jak wyglądały wnętrza mieszkań z pierwszymi odbiornikami radiowymi. Może wśród domowych pamiątek zachowały się fotografie takich scen? Stettinianie słuchają radia... Ach, to byłby rarytas dla dokumentalisty!

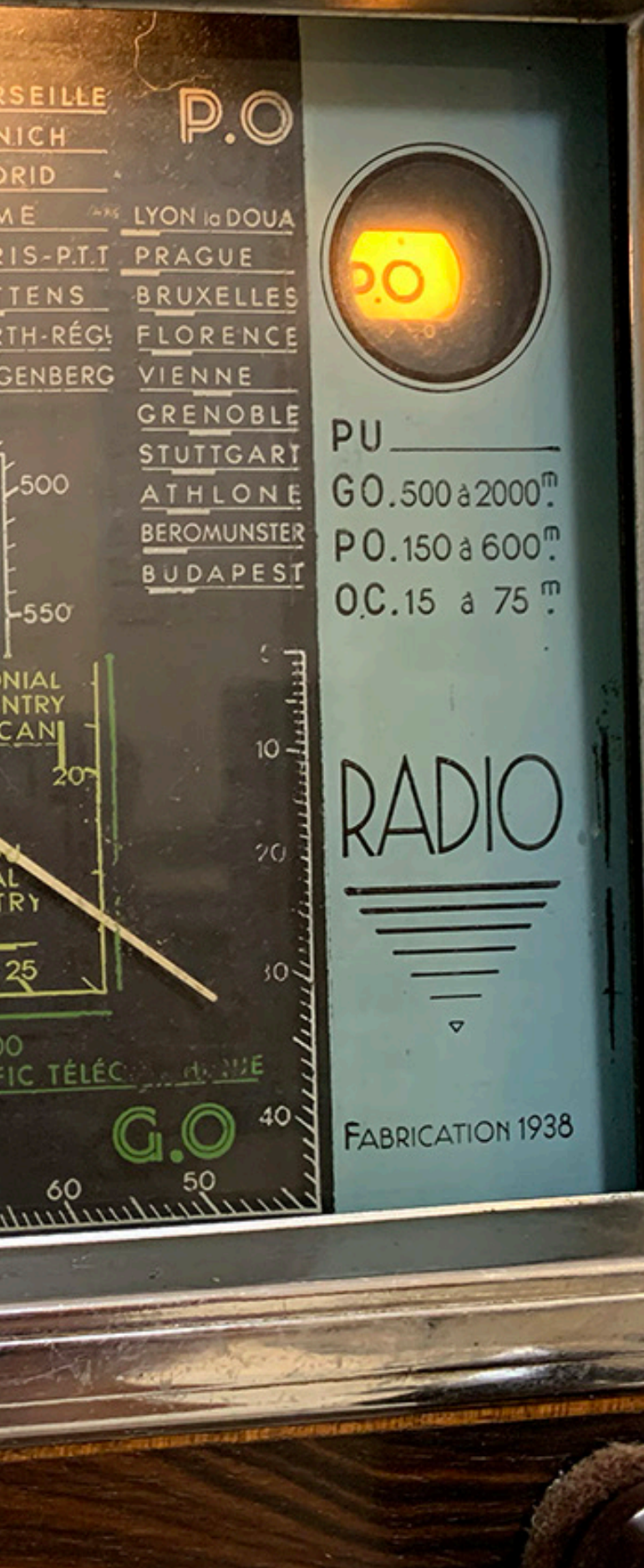
Wyobraźmy sobie: jest niedziela, 3 stycznia 1926 roku, punktualnie godzina 12.00. Stettin rozpoczyna emisję swojego pierwszego programu — koncert oraz uroczystą inaugurację Rundfunk Stettin. W studiu... No właśnie: nawet nie wiem, czy przemówienia wygłaszano w studiu przy Mariackiej. W tych — mimo wszystko mikroskopijnych — pomieszczeniach nie zmieściłby się ani licznie zaproszeni goście, ani orkiestra. A ta, jak wynika z programu drukowanego w „Pommersche Rundfunk Zeitung”, rzeczywiście dała koncert.

Nie zachowały się stettińskie gazety, które zapewne relacjonowałyby to wydarzenie. Z jednym wyjątkiem. Wycinek relacji reporterskiej, znalazłem w zasobach archiwum w Poczdamie. Niewiarygodne, prawda? Nigdzie nie natrafiłem na kompletne egzemplarze codziennych gazet z tamtego dnia ani z dni następnych, w których można by zna-

leźć relację z otwarcia rozgłośni. A przecież to było lokalne święto techniki i nowoczesności. Z drugiej strony — cóż - tylu, ilu radio miało entuzjastów, tylu też miało przeciwników: ci uznawali ten wynalazek za zgubny, trywialny, wymierzony w „wysoką kulturę”.

Ostatecznie moją opowieść o radiu stettińskim postanowiłem rozpocząć od przywołania wieczoru wigilijnego 1925 roku. Jesteśmy w Elberfeld (dziś: Wuppertal). Jest wczesne popołudnie...





Josef Goebbels: Podpalić cały kraj...

- Wigilia...

I trzy kropki.

Był perfekcjonistą. Pióro napelnił atramentem, zebrał z biurka dokumenty, zapisał podniszczoną redaktorską teczkę i zgasił lampę, której kobaltowy klosz łagodnie rozpraszał światło.

Josef Goebbels w 1925 roku nie był jeszcze „ministrem od mediów”, tylko sprawnym funkcjonariuszem partyjnej maszyny: Gau-geschäftsführer i jednocześnie Schriftleiter (redaktor) pisma „National-sozialistische Briefe”. Funkcjonariusz partyjny i agitator. To oznaczało robotę bez romantyzmu: organizację pracy działaczy w terenie, prowadzenie korespondencji, spinanie struktur, pilnowanie, żeby wieści miały coraz większą frekwencję — i osiągały propagandowy cel: zdobycie władzy. Najskuteczniejszym narzędziem pozyskania „lektoratu” były przemówienia: dobrze skonstruowane i odpowiednio podane. Retoryka, dramaturgia, słownictwo, gestykulacja... Partyjniacy niemal codziennie organizowali zebrania i wiece. Propaganda dla ówczesnej NSDAP nie była dodatkiem — była sposobem funkcjonowania partii.

Równolegle, jako redaktor „NS-Briefe”, Goebbels pracował w organie skrzydła Strasserów — piśmie pomyślanym jako narzędzie wewnętrznej walki o linię ruchu, w tonie antykapitalistycznym i krytycznym wobec centralizmu monachijskiej góry, a więc uderzającym pośrednio w styl przywództwa Hitlera. I to warto podkreślić: w tym okresie Goebbels nie był jeszcze „wiernym apostołem”. W zapiskach i ocenach z lat 1925/26 pojawiają się momenty krytyki Hitlera — zanim nastąpi późniejsza konwersja w lojalność absolutną.

Właśnie wtedy zaczął prowadzić swoje — w efekcie monsturalnych rozmiarów — dzienniki. 14 grudnia 1925 zanotował: **„Radio! Radio! Radio im Hause!”** („Radio! Radio! Radio w domu!”). To jeszcze Goebbels-mieszczuch, oczarowany radiem jako symbolem codziennej nowoczesności. Jego zachwyt nad radiem jako narzędziem politycznym ujawni się dopiero w 1933 roku, kiedy — już jako minister — zacznie mówić o radiu jak o najnowocześniejszym i najważniejszym instrumencie oddziaływania na masy, wciągającym społeczeństwo w „sprawy publiczne”. W wystąpieniach z 1933 roku odsłoni swoją polityczną wizję eteru.

To miejsce jest najważniejsze, by dopisać uwagę kluczową: radio w Niemczech do 1933 roku miało być w założeniu ponadpartyjne i apolityczne. Wolne od agitacji partyjnej. Obowiązywała zasada ograniczania agitacji i propagandy politycznej; partie miały minimalne możliwości wykorzystania radia do kampanii, a państwo — z obawy przed nadużyciami — trzymało eter w ryzach regulacji. Przykład najbardziej przyziemny: każdy obywatel, który chciał legalnie słuchać radia, musiał uzyskać zgodę odpowiedniego urzędu na posiadanie odbiornika i regularnie opłacać abonament.

Wrócił do biurka. Dopisał jeszcze kilka zdań, żeby nie pominąć niczego z wydarzeń ostatnich godzin. Był skrupulatny: księgowy zdarzeń. Nie wyróżniał jednych, nie lekcewał innych — umiał syntetycznie odnotować i wychwycić istotne elementy każdego dnia. Metodyczny egzekutor faktów.

Spojrzał na blat pełen rozpoczętych tekstów. Codziennie dyktował po kilka, kilkanaście stron uwag, przemówień, wystąpień i analiz — w tym - pisał swój dziennik, który stał się powiernikiem nowych wizji, zadań i obsesji. Wczoraj do późnej nocy pracował nad mową „Lenin czy Hitler?”. Był zadowolony z jej kształtu i wydźwięku — sprawiała mu „dziką radość”. Wygłosi ją 19 lutego 1926 roku w Opernhaus w Königsbergu (Królewiec, dziś Kaliningrad), a następnie wyda drukiem w Zwickau.

„Tylko jeden ruch jest zdolny to osiągnąć: narodowy socjalizm, ucieleśniony w wodzu Adolfie Hitlerze” — przekonywał.

Być może czuł niedosyt, że słucha go tak niewielu, a nakłady druków są zbyt niskie. Radio byłoby kluczem do stworzenia nowego świata.

Wyszedł na ulicę. Okropna pogoda — i podobno taka sama panowała tego dnia w Bremie i Hamburgu. Wrocławska „Brockauer Zeitung” informowała, że aura nie ulegnie zmianie do końca roku: rozległy niż znad Europy Zachodniej będzie przemieszczał się na wschód, przynosząc częste, zmienne w intensywności opady deszczu. A on — nie wykluczam — wiedział już, że wieczór spędzi przed radioodbiornikiem: tym cudownym, najostrożniejszym dłużej rzeźbiącym nową, obywatelską świadomość. Goebbels odczuwał emocje niezwykle. Niedawno świętował 28. urodziny.

Świat w domu...

Ale kto obraz tego świata namaluje słowami, muzyką, a nade wszystko wiadomościami? Kto zdecyduje, co podkreślić, a co pominąć?

Powołane w 1923 roku firmy Funk-Stunde oraz DRADAG (Deutsche Rundfunkdienst AG, pod nadzorem RMI — Reichsministerium des Innern, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy) stały się kluczowymi filtrami niemieckiego eteru. Pierwsza koncentrowała się na audycjach literackich i naukowych, transmisjach kulturalnych i sportowych, popularyzacji wiedzy, edukacji oraz rozrywce. Druga redagowała i dystrybuowała materiały informacyjne — polityczne i gospodarcze — przekazywane rozgłośniom lokalnym i regionalnym. Te emitowały kilka razy dziennie własne serwisy, wykorzystując materiały agencyjne. Redaktorzy mogli je selekcjonować, ale nie mieli pełnej swobody by je przerabiać, wpływać na stronę merytoryczną przekazów.

Niemal równolegle radio organizowało się w polskich realiach. Obie strony bacznie analizowały przepływy fal radiowych przez granice — dla ludzi wciąż świeże, dla radia - niewidoczne.

W intencji władz radio miało funkcjonować jako kanał przekazywania społeczeństwu wiadomości o działaniach administracji oraz celach politycznych i gospodarczych państwa, przy jednoczesnym zabezpieczeniu przed nadużyciami i niekontrolowanym wykorzystaniem medium do walki partyjnej. W tym duchu minister Karl Jarres wskazywał, że radio — owszem — można „wykorzystywać do politycznego oddziaływania...”, ale potrzebne są regulacje ograniczające ryzyko nadużyć. Mechanizm kontroli oparto m.in. na rozwiązaniach własnościowo-organizacyjnych: zakładano, że większość akcji ma należeć do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy, oraz że obsada kluczowych funkcji redakcyjnych będzie powiązana z odpowiedzialnością wobec rządu.

W Niemczech powojennych zbudowano radio publiczne tak, jakby ktoś chciał raz na zawsze uniemożliwić powrót do modelu „ministerialnego mikrofonu”. Fundamentem jest konstytucyjna Rundfunkfreiheit (wolność mediów/radia) z art. 5 Ustawy Zasadniczej — rozumiana szeroko: chroni cały proces, od zdobywania informacji po program i dystrybucję, przed ingerencją państwa. Federalny Trybunał Konstytucyjny w wyroku o ZDF (25.03.2014) jeszcze wyraźniej ograniczył udział przedstawicieli państwa w gremiach nadzorczych do maksymalnie jednej trzeciej składu — żeby publiczne media nie stały się „Staatsfunk”. W tym sensie współczesna niemiecka konstrukcja jest programowo anty-DRADAG: nie „rządowy kanał informacyjny”, lecz instytucja, której niezależność ma być chroniona prawem, strukturą i składem organów nadzoru.

W Polsce misja publiczna także zapisana jest w „języku wysokim”:

Konstytucja mówi, że KRRiT „stoi na straży wolności słowa, prawa do informacji oraz interesu publicznego w radiofonii i telewizji”. Problem zaczyna się tam, gdzie ideał zderza się z mechaniką władzy — bo realny wpływ na media publiczne daje nie patos misji, lecz kadry. I tu wchodzi model polski, który przez lata koncentrował spór wokół powołań: Rada Mediów Narodowych — powołana ustawą z 2016 r. — ma kompetencje powoływania i odwoływania zarządów oraz rad nadzorczych TVP, Polskiego Radia i PAP. W praktyce napięcie nie biegnie więc między „neutralnością a propagandą” wprost, tylko między konstytucyjną obietnicą pluralizmu a tym, kto i jak obsadza stanowiska kierownicze instytucji — bo to ludzie nadają ton, selekcjonują tematy i rozstrzygają, czy w informowaniu zwycięża odwaga, czy asekuracja.



Rewolucja kulturowa

Kurt Günther, (1893-1955) należał do eksperymentatorów w zakresie ekspresjonizmu, dadaizmu i weryzmu, był członkiem Drezdeńskiej Grupy Dada. Jego „Der Radionist (kleinlicher Bürger am Radio)” (wyżej) zdaje się sugerować, że radio to jednak atrybut mieszczaństwa. I ta opinia, była wówczas dość powszechna. Człowiek naprawdę kulturalny chodził na koncerty, był w operze i teatrze, nie ograniczał się tylko do okraszonych trzaskami i zakłóceniami przekazów radiowych, odbieranych najpierw za pośrednictwem ciężkich i ograniczających poruszanie się słuchawek a potem dudniących głośników, w których skrzypce Stradivariiego brzmiały jak... pisk nieoliwionych zawiasów wrót od stoł. Bo tamto społeczeństwo miało w sobie wzorce kolorów i brzmień oglądanych i zasłyszanych niegdyś w bezpośrednim zetknięciu z ich źródłem. Tymczasem w słuchawce otrzymywali schemat interpretacji, pod który podkładali brzmienie „wyssane” z sal koncertowych.

Dziś miliardy ludzi nigdy nie usłyszą jak naprawdę brzmi Stradivarius, jak wygląda prawdziwa fenicka purpura. Najlepszy sprzęt nie odda istoty i ducha dźwięku i koloru naturalnego.

Ów „Radionista” Günthera trzyma w ręce... partyturę „Czarodziejskiego fletu”. A więc wiemy, że słucha transmisji spektaklu operowego. To jeszcze jeden znak czasu — partytura. Wtedy ludzie słuchali muzyki wycytując ją z zapisu nutowego.

Zapisy nutowe symfonii, muzyki kameralnej czy całych oper były na księgarskich półkach eksponowane na równi z romansami i pozycjami filozoficznymi. Trudno uwierzyć, ale miliony melomanów znało Wagnera czy Brucknera właśnie z partytury. Bo gdzie miałby „na żywo” muzyki takiej słuchać? Teraz dostali od losu wielki dar - radio.

Taki drobiazg...

Hans Bredow: oświecić kraj

Równolegle z wątkiem Goebbelsa i kwestiami politycznymi zamierzałem poprowadzić opowieść o Hansie Bredowie. Bez potrzeby dodatkowego uzasadniania: to rzeczywisty ojciec radiofonii niemieckiej — a śmiało twierdzić, że także europejskiej, a w pewnym sensie i światowej — jeśli chodzi o definiowanie zadań publicznych, jakie radio ma spełniać, oraz o budowę porządku prawnotechnicznego regulującego zasady, rytm i technikę emisji programu.

Zapisałem...

Wigilia...

I trzy kropki.

Był perfekcjonistą. Inżynierem. Poskramiaczem niewidzialnych wibracji, rezonansów, nośnych i wywołujących swoimi przepływami - interferencji.

Hans Bredow ten dzień także spędzał w berlińskim biurze. Szkicował tekst wystąpienia, które niebawem wygłosi w Stettinie. Zaraz po Nowym Roku pojedzie tam, aby wziąć udział w uruchomieniu lokalnej rozgłośni — ostatniego z regionalnych ośrodków niemieckiej sieci radiowej, stacji strategicznej, promieniującej na całe Pomorze.

Ze swojego gabinetu dyrektora Wydziału Telegrafii Bezprzewodowej w Ministerstwie Poczty Republiki Weimarskiej — patrzył na tonącą w deszczu Berlin. Za kilka miesięcy obejmie nowe, przygotowywane od tygodni stanowisko: przewodniczącego Reichs-Rundfunk-Gesellschaft, zrzeszenia wszystkich nadawców. Będzie współkształtował reguły funkcjonowania radia, które już wtedy, u swego zarania, próbowano uczynić narzędziem porządkowania życia społecznego.

Kierowca ministerialny zameldował się w sekretariacie. Przejął teczkę pełną dokumentów i otworzył drzwi panu dyrektorowi.

— Wesołych świąt, Fräulein...

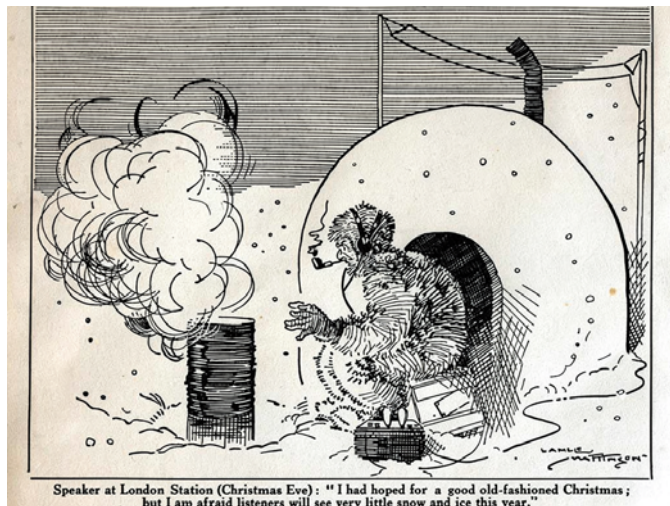
W tej teczce zapewne znajdowała się dokumentacja na zapowiadaną konferencję w Genewie. Tam, wiosną 1926 roku, uzgadniano międzynarodowy podział częstotliwości dla poszczególnych radiofonii narodowych: tak, aby przez odpowiednio dobrane moce nadajników ograniczyć wzajemne zakłócenia. Bredow współtworzył tę misterną mapę: europejską sieć neuronów radia. Ustawiał na niej stacje główne i wiodące, ale też takie jak Stettin — pośrednie, a jednak kluczowe ogniwa w układzie, w którym plan częstotliwości decydował o zasięgu i stabilności odbioru. Nadajnikowi „Stettin” przydzielono długość fali 241 metrów — a więc kanał emisji, pod który musiała „podstroić się” i stacja, i słuchacze.

Pokryć cały kraj... stałą, stabilną emisją na wysokim poziomie — to brzmiało jak projekt cywilizacyjny, nie tylko techniczny.

W całych Niemczech sytuacja nadawcza była już w miarę ustabilizowana. Jedyne problemy stanowiło Pomorze: wielki obszar o strategicznym znaczeniu, a przez długi czas pozbawiony gęstej sieci nadajników pośrednich. Bredow rozważał, którą z ofert miast zaakceptować — które z nich ma stać się rdzeniem radiofonii pomorskiej. Z geograficznego punktu widzenia, ale przede wszystkim ze względu na rangę, prestiż i ciężar administracyjny, Stettin pozostawał poza konkurencją. Tu musiało powstać „normalne” radio — pełnoprawny ośrodek, a nie tylko przekazańnik. Tak zapewne myślał najbardziej wpływowy funkcjonariusz niemieckiej radiofonii. I tak też się stało — choć podobno Magdeburg długo nie mógł się pogodzić z przegraną w walce o tę funkcję.

Świat wlewał się do Europy niczym fale tsunami. Wielką popularnością cieszyły się przekazy z Ameryki — ale tych można było słuchać głównie nocą, nieraz do trzeciej nad ranem. Programy z Wysp Brytyjskich i Francji odbierano nieco lepiej, choć wciąż z irytującym, cyklicznym „zanikaniem” sygnału: do zera, by po chwili wrócił z pełną

mocą. Tam również wigilijny wieczór tonął w przelotnych opadach zimnego deszczu, co zilustrowano w świątecznym wydaniu londyńskiego „Radio Times”.



Speaker London Station (Wigilia): „Miałem nadzieję na dobre, staromodne święta Bożego Narodzenia, ale obawiam się, że w tym roku radiosłuchacze zobaczą bardzo mało śniegu i lodu”. Niemniej, nad swoim igloo ma rozciągniętą antenę, na uszach słuchawki, a kryształowy odbiornik, nie, to już lampowy! - stoi na śniegu. Nic nie było w stanie w 1925 roku zniechęcić ludzi od słuchania radia.

Gdyby Josef Goebbels miał w aucie numer tego tygodnika i przeczytał listy słuchaczy, uchwyciłby emocje, z jakimi komentowano układ programu, treści audycji i styl prowadzenia anteny. On takiego radia — pełnego kompromisów, niespójnego, tłumaczącego się publiczności — sobie nie wyobrażał.

Redakcja odpowiadała na pretensje dość obcesowo, sugerując krytykom, aby sami spróbowali ułożyć ramówkę: najpierw na jeden dzień, potem na tydzień, a wreszcie na cały rok. **„To praca, przy której można oszaleć — a i tak nie zadowolili się wszystkich”.**

Tę opinię redaktora „Radio Times” podzieliła słuchaczka, pani May Watson-Welsh, bardzo zainteresowana kontynuacją cyklu reportaży z miast kontynentu. Krytykom audycji odpowiadała: *kilku nierozsądnych narzekaczy zamieszcza swoje pretensje w gazetach codziennych. Zapominają, że są tylko jednostkami wśród miliona zadowolonych słuchaczy. Należy się spodziewać, że w ośmiodzinnym programie dziennym niektóre pozycje nie przypadną do gustu każdej osobie — więc po co narzekać lub oczekiwać niemożliwego?*

Milion słuchaczy... Miliony...

Goebbels już wtedy potrafił przemawiać dwie godziny do zebranego tłumu. Czuł jego reakcję, panował nad nią, podsycił ogień ideologiczny. Przez radio byłby zdolny... podpalić cały kraj.

Hans Bredow chciał ten kraj... oświecić. Kilka miesięcy wcześniej wydał zgodę na nagrywanie audycji emitowanych na żywo — bo radio w tamtym czasie działało się „tu i teraz”: w eter szło wszystko, co powiedziane, i zniknęło natychmiast.

Wilhelm Doegen — lingwista, prawnik i historyk, który szczególnie upodobał sobie fonetykę jako przedmiot badań, muzykę ludzkiej mowy — zafascynowany rozwojem radia chciał zbudować portret „głosu radiowego”. Dla Bredowa urządzenie Doegeny okazały się jednak także rozwiązaniem problemu ulotności przekazów. Teraz komen-

tarze, prelekcje, rozmowy można było nagrywać, odtwarzać później, archiwizować na płytach szelakowych i wysyłać do innych nadawców.

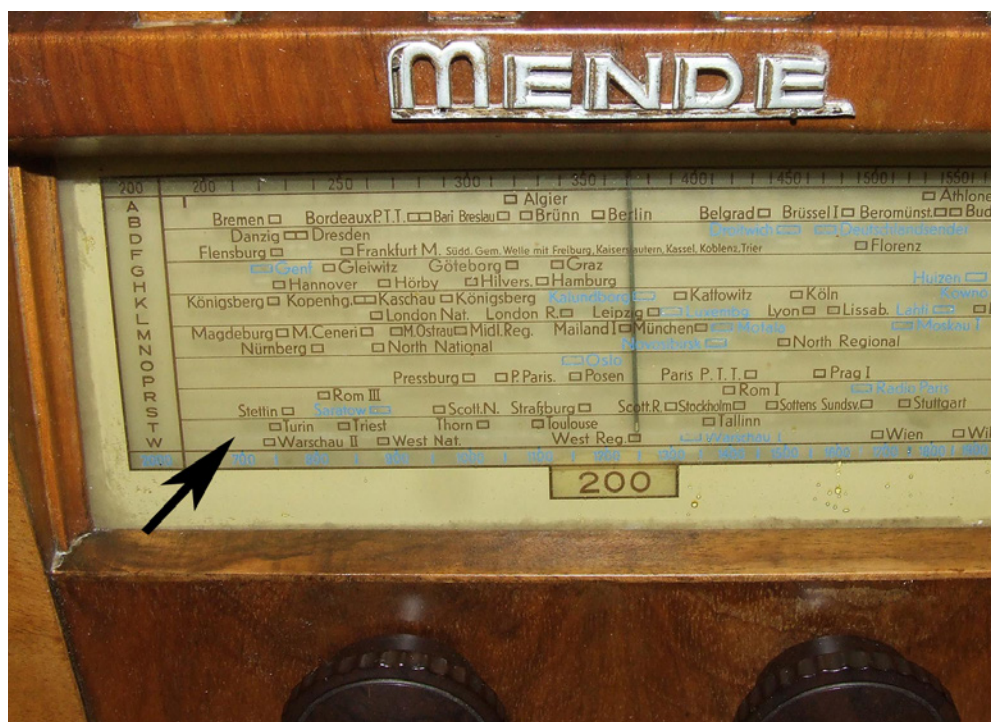
Tak radio zyskiwało nieśmiertelność.

A więc Stettin...

Na początku 1924 roku — o czym pisałem w numerze 03/2025 „TVSiódemki” — władze niemieckiej poczty porozumiały się z władzami Stettina. W Zabeldorf, na terenie wykupionym od prywatnych działkowców (łącznie z płonami ogrodowymi), rozpoczęto budowę centrum nadawczego. Rok później Hans Bredow, rodem z Schlawe (Sławno), przyjechał na berliński Dworzec Szczeciński niemal prosto z sylwestrowej sali balowej. W gronie kilku współpracowników jechał do Stettina z satysfakcją, że „domkanie” nadawczą sieć radiową nad całą republiką: uruchomi działające od świąt Bożego Narodzenia 1925 roku centrum nadawcze i miejscową redakcję berlińskiej firmy Funk-Stunde.

Stettinianie mówili o niej „Rundfunk Stettin”, bo retransmitując sygnał berliński, a docelowo obejmując nim całe Pomorze, tutejsi radiowcy mieli opowiadać światu o tym, co dzieje się w ich mieście i regionie. Na skali odbiorników, obok nazw miast i stolic z całego świata, pojawiła się nazwa stacji: Stettin.

Pociąg mknął szlakiem zbudowanym przez Berlin-Stettiner Eisenbahn-Gesellschaft w 1843 roku. Była to trzecia dalekobieżna linia



wychodząca z Berlina i pierwsza, która łączyła stolicę z Pomorzem. Stettin stał się punktem, w którym te szlaki się krzyżowały — węzłem, przez który prowadziły połączenia w stronę wybrzeża i dalej na wschód. Spółka, wykupiona w 1897 roku przez państwo pruskie, zbudowała sieć o łącznej długości 960 kilometrów. Istotny udział w jej kapitale mieli stettińscy przedsiębiorcy; na czele Komitetu Kolejowego stanął burmistrz Stettina Andreas Friedrich Masche, a miasto zebrało kapitał o jedną trzecią przewyższający udział Berlina. Ta inwestycja miała kluczowe znaczenie dla rozwoju gospodarczego. We wstępnym projekcie zakładano, że kolej stettińsko-berlińska będzie przewozić rocznie około 40 tysięcy pasażerów i co najmniej 20 tysięcy ton towarów — a uzyskane wpływy pokryją koszty budowy i eksploatacji, zapewniając jednocześnie wysoki zysk.

Jak bardzo te relacje zmieniły się po stu latach? O transporcie kolejowym na tej trasie wręcz nie ma co mówić. Natomiast na przejściu granicznym w Kolbaskowie pojawia się w ciągu doby ponad 15 tysięcy pojazdów — w tym ciężkich transportowców ponad 3200. Wiozą one (w przybliżeniu) dziesiątki tysięcy ton ładunków. Szacuje się, że granicę przekracza ponad 20 tysięcy osób.

I tak jak wówczas dołączano do sieci kolejne miasta — a niektóre, jak Stargard czy Neubrandenburg, aspirowały do roli nowych centrów na krzyżujących się trasach — tak teraz Bredow rysował sieć nadajników radiowych. Ich zasięg, jak przeszła nad sześcioma mostami zbudowanymi dla kolei berlińsko-stettińskiej, miał zapewnić mieszkańcom Prus Wschodnich możliwie niezakłócony odbiór programu.

Za oknem przedziału przesuwiała się równina, gęsto zalesiona; nieliczne domostwa, wielokilometrowe odległości między wioskami i osadami. Wokół sporo zwierzyny leśnej. Bredow pewnie poddawał się monotonnemu rytmowi kół uderzających o łączenia szyn. O czym myślał? O pracy wykonanej już nad radiofizyką kraju — i o nowych wyzwaniach. Ledwie kilkanaście miesięcy wcześniej ruszyła lawina: systematyczne nadawanie programów w całej republice. Radio — choć technicznie znane od początku XX wieku — dopiero pod koniec I wojny światowej osiągnęło ten poziom rozwoju, który pozwolił przekazywać treści **bezwzględnie** nie tylko zegarmistrzom (do nastawiania zegarków) i pasażerom statków pełnomorskich (zastępując im gazety), lecz szerokiej publiczności: jako medium.

Bredow od zawsze był pochłonięty zagadnieniami techniki transmisyjnej. W 1913 roku pojechał do Nowego Jorku, by eksperymentować z telefonią bezprzewodową. Wysokie budynki nadawały się tam idealnie na maszty nadawcze. Uśmiech na jego twarzy zdradzał satysfakcję i pewne rozrównienie, gdy wracał pamięcią do pionierskich lat. W jednym z apartamentów Tower Building ustawił mikrofon i gramofon, a w kilku punktach miasta rozmieszczono odbiorniki ze słuchawkami. O głośnikach i wzmacniaczach nikt wówczas nawet nie myślał. Nazajutrz miała odbyć się eksperymentalna transmisja, na którą zaproszono dziennikarzy. Niespodziewanie przyszedł telegram z Berlina: proszę pilnie wracać i negocjować z Marconim warunki korzystania z jego wynalazku.

Hans Bredow wsiadł na najbliższy statek do Europy. Na pełnym morzu otrzymał depeszę z Nowego Jorku, od współpracowników, którzy — zgodnie z jego wskazówkami — mieli przeprowadzić najważniejszy z dotychczasowych eksperymentów. Telegram był lakoniczny: jutro rano, 10.00 — kabina radiooficera na statku. O czasie zameldował się w radiostacji w towarzystwie kapitana parowca „George Washington”. Obaj przyłożyli słuchawki do uszu. Przez szum oceanu usłyszeli... muzykę, a potem słowa techników z ekipy Bredowa: działa! Udało się! Gratulacje! Możemy przesyłać bezprzewodowo nie tylko sygnały i impulsy, ale dźwięk — na wielkie odległości, bez przewodów między nadajnikiem i odbiornikiem.

22 lutego 1913 roku, na pełnym morzu, z dala od brzegów, człowiek po raz pierwszy usłyszał głos z odległego o setki mil łądu — bez zwłoki czasowej, bez zasadniczych zniekształceń, choć jeszcze bez wyraźnego wzmocnienia. Intymnie. Bredow musiał doznać wrażenia szczególnego, niemal transcendentnego: ta transmisja brzmiała jak głos... nie z tej Ziemi.

Wiedział już, że fala wysyłana z nadajnika dociera do odbiornika i jest poprawnie dekodowana. Teraz trzeba ją tylko wzmocnić — albo nadawać z większą mocą — by zyskała na zasięgu i mogła być swobodnie odbierana. Cel był jasny. A więc niemal rozwiązany. Meißner i Rokob, pracując na zlecenie Bredowa w laboratorium Telefunken, opracowali odpowiednie urządzenia: pierwszy zbudował nadajnik lampowy, drugi skonstruował jego serce — lampę wzmacniającą sygnał.

Pociąg zwolnił. W oddali liczne światła rozpadały się na iskry w kroplach deszczu spadających z brunatnego, późno popołudniowego nieba. Na dworcu w Stettinie na Hansa Bredowa czekał dyrektor tutejszego okręgu poczty. Ruszyli do miasta.

— Hm, pięknie!

Podziwiał oświetlone, okazałe, pełne solidnych kamienic i przestronne miasto — trzecie pod względem wielkości w Niemczech. W oknach migotały choinkowe światelka, w centrum stały smukłe latarnie; wszędzie świąteczny nastrój i — mimo słoty — ulice dość ludne.

— Do hotelu pojedziemy później. Proszę od razu do Sendezentrum.

Auto ruszyło w kierunku Zabelsdorf: do najnowszego niemieckiego centrum nadawczego, choć w znacznej części zbudowanego z urządzeń wcześniej używanych w innych ośrodkach.

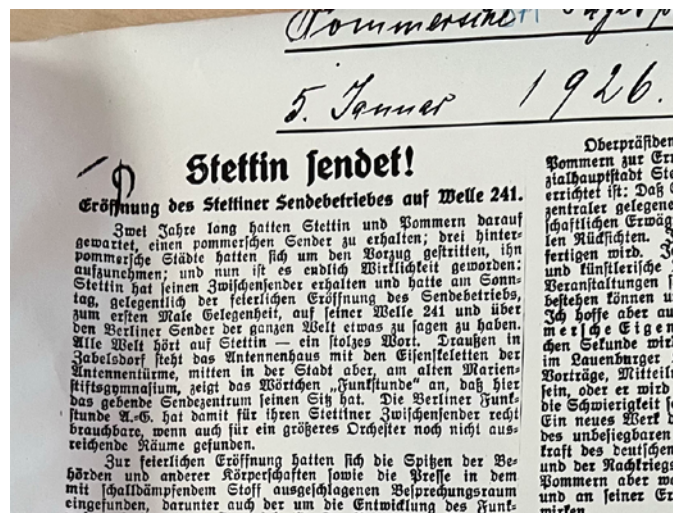
Wieczór 3 stycznia 1926: program, który da się (może) wskrzesić

Wieczorem, w hotelu, jeszcze jedno spotkanie z organizatorami uroczystego otwarcia Rundfunk Stettin. Dla lokalnych władz to jedyna okazja, aby — za pośrednictwem sekretarza stanu Hansa Bredowa — uzyskać dodatkowe wsparcie i pomoc w staraniach o większą niezależność w komunikowaniu się z mieszkańcami regionu: wykraczając poza nieliczne pasma przeznaczone na wiadomości lokalne, wyodrębnione z bloków programowych produkowanych przez berlińską Funk-Stunde.

Muzyka i literatura stettińska — to kwestie najważniejsze. Niech nasi artyści zmierzają z twórcami z Berlina, Kolonii czy Monachium. Tamtych znamy aż nazbyt dobrze. My także mamy wielkie indywidualności. I jeszcze większe plany. Ale do transmisji z teatru i sal koncertowych potrzebny jest sprzęt — i, oczywiście, więcej miejsca na wspólnej antenie.

Co dalej? Co przyniesie rok 1926 i lata następne... Radio wzbudza jednoznaczne emocje w środowiskach partyjnych. Telewizja — jeszcze jako obietnica i wynalazek nie wychodzący z laboratorium — zaprzęta umysły, lecz wymaga coraz większych nakładów na badania i infrastrukturę. Z pewnością będzie w przyszłości potężnym narzędziem oddziaływania — ale radio już istnieje. Bredow doskonale rozumiał, jakie skutki mogłyby przynieść wystąpienia przywódców partyjnych, przemawiających do milionów — przede wszystkim do niezdecydowanych wyborców. Słowa płynące z radiowego głośnika łatwo zamienić w szyki manifestującego tłum, w zmilitaryzowane oddziały, zastępy młodych aktywistów, stadiony wypełnione fanatycznymi partyjniakami, kolumny maszerujące po horyzont. Telewizja — radio wzbogacane o obraz — pozostawi jeszcze mniej miejsca na komentarz i dystans wobec spektaklu emocji oraz politycznych namiętności. A władzy o nic innego nie chodzi, jak o gromadzenie tłumów pod jednym sztandarem. Media elektroniczne zyskiwały status broni totalnej.

Późny wieczór. Hans Bredow położył na stoliku nocnym maszynopis jutrzejszego wystąpienia. Każde słowo będzie uważnie analizowane — przez słuchaczy, ale przede wszystkim przez polityków.



Reporter „Pommersche Tagespost”, relacjonujący uroczyste otwarcie studia stettińskiego, w numerze 03 z 5 stycznia 1926 roku streścił główne tezy wystąpienia sekretarza stanu dr. Bredowa.

Radio — (w wolnym tłumaczeniu) — jest platformą skupiającą setki tysięcy ludzi, którzy w tym samym czasie mogą uczestniczyć w jednym wydarzeniu: słuchać tego samego koncertu albo naukowego wykładu. To funkcjonalność niebywale ważna także dla przyszłych pokoleń. Za 10 czy 20 lat nikt nie będzie w stanie zrozumieć, jak ludzkość mogła żyć bez bliskiego kontaktu ze światem zewnętrznym, jaki zapewnia radio.

Odnosił również do głosów krytykujących sposób zarządzania niemiecką radiofonią. Administracja działa — jego zdaniem — bezstronnie. Jednak fakt, że skargi są rzadkie i pojawiają się raz z lewej, raz z prawej strony sceny politycznej, ma świadczyć o tym, że system idzie we właściwym kierunku — zapewniał Bredow.

Nie istnieje metoda układania audycji tak, aby wszyscy słuchacze byli zawsze usatysfakcjonowani każdą z nich. Nie da się programów radiowych dostosować do światopoglądów, koncepcji artystycznych



czy aktualnych nastrojów całej publiczności. Satysfakcję może znaleźć każdy, kto z bogactwa oferty starannie wybierze audycje, które mu odpowiadają, a ponadto ze zrozumieniem i tolerancją odniesie się do realizacji odbiegających od jego oczekiwań.

Na zakończenie — relacjonował reporter „Pommersche Tagespost”

— sekretarz stanu dr. Bredow, jako przedstawiciel Ministerstwa Poczty Rzeszy, oficjalnie przekazał nowy przekaźnik radiowy stettinśkiej Oberpostdirektion, administracji technicznej oraz sekcji programowej Funk-Stunde z Berlina.

Uroczystości odbywały się w tym Altes Marienstiftsgymnasium.

Dlaczego właśnie ten obiekt wybrano na siedzibę berlińskiej stettinśkiej rozgłośni? Poszukuję dokumenty, zdjęcia i wspomnienia związane z tym miejscem. Kto odpowiadał za technikę, kto za emisję? Można się domyślać: gmach znajdował się w kulturalnym centrum miasta. „Okablowanie” mikrofonami pobliskiego teatru czy Filharmonii wydawało się silnym argumentem za wyborem tej lokalizacji. Ale to tylko moje domysły.

Interesuje nas wieczór 3 stycznia 1926 roku. Cóż za emocje, jakie napięcie — i jakie oczekiwania.

O specyfice i charakterze występu w radiu praktycznie nikt z zaproszonych artystów nie miał pojęcia. Czy towarzyszyła im myśl: „jak to działa”? W jaki sposób mój śpiew lub recytacja będzie słyszana w świecie, a nie, jak dotąd, w sali koncertowej?

Nie podejmuję się opisywania tych emocji. Każda próba będzie tylko nieudolną protezą ówczesnego napięcia.

Oto program, który nadano ze studia przy placu Mariackim, w budynku dawnego Marienstift-Gymnasium:

20.30 – Stettin. Konzert

01. Stettiner Festmarsch v. B. Seidler-Winkler, Stettiner Funk-Kapelle
02. Prolog, verfasst von Hans Lierke, Stettin, gesprochen von Rud. Korf (Stadttheater Stettin)
03. Begrüßungsansprache W. Hadert, Leiter der Senderstelle Stettin
- 04a. Verborgenheit v. Hugo Wolf
- 04b. Heideröslin v. Schubert
- 04c. Zueignung v. R. Strauss: Eva Hildebrand (Stettin)
- 05a. Ich grolle nicht
- 05b. Der Hidalgo v. R. Schumann: Hans Priem (1. Operettentenor vom Stadttheater Stettin)
- 06a. Schwesterlein
- 06b. Die Sonne scheint nicht mehr so schön
- 06c. Da unten im Tale
- 06d. Feinsliebchen, du sollst mir nicht barfuß gehn v. Brahms-Gilcher: Helene Lachmansk-Schaal (Sopran) und Roland Hell (Tenor), Berlin

Kurze Pause

7. Fledermaus-Ouvertüre v. Joh. Strauss, Stettiner Funk-Kapelle
- 08a. Erlaube mir, feins Mädchen
- 08b. Ach Modder, ich will en Ding han
- 08c. Mein Mädle hat einen Rosenmund v. Brahms: Eva Hildebrandt
- 09a. Komm, Zigeuner
- 09b. Grüß mir die Frauen aus der Operette „Gräfin Mariza“ v. Kálmán: Hans Briem
- 10a. Ach, wie ist's möglich dann
- 10b. In einem kühlen Grunde
- 10c. Du, du liegst mir im Herzen
- 10d. Die Auserwählte. Arrangiert von B. Seidler-Winkler: Helene Lachmansk-Schaal und Roland Hell

Am Wolkenhauer (Stettin), Flügel: Ulrich Hildebrandt und Erich Rust.

Anschließend: Bekanntgabe der neuesten Tagesnachrichten, Zeitanzeige, Wetterdienst, Sportnachrichten. Daran anschließend bis 1 Uhr: Tanzmusik. Stettiner Funk-Kapelle. Kapellmeister H. Scheibehofer.

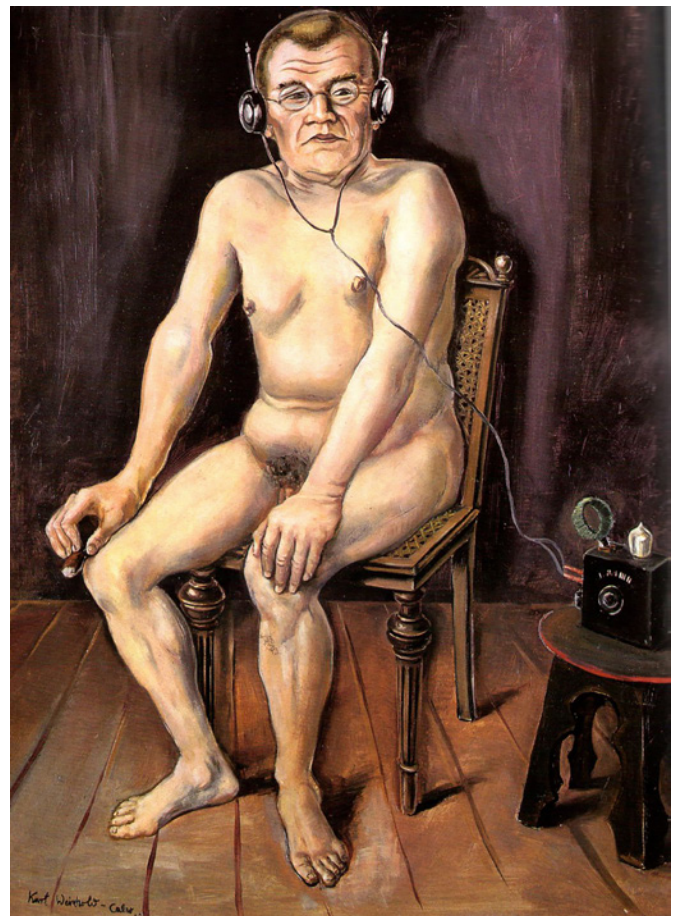
Trzy i pół godziny — tyle trwał pierwszy, stettinśki radiowy koncert live, najprawdopodobniej z przerwą na wiadomości, prognozę pogody i serwis sportowy.

Marzyło mi się... Marzyło mi się, aby zrekonstruować ten program i wyemitować go dokładnie w setną rocznicę: 3 stycznia 2026 roku.

Jak widać z gazetowej notatki, stettinśkie radio miało swoją... orkiestrę. Stettiner Funk-Kapelle! Zapewne tworzyli ją muzycy pracujący na co dzień w tutejszym teatrze, operze, szkołach muzycznych. Kierował nią maestro Bruno Seidler-Winkler. To pionier technik nagrań, współtwórca sukcesów firm takich jak Edison czy Deutsche Grammophon. Aranżował cenione do dziś zapisy akustyczne wielkich dzieł operowych i symfonicznych. Pamiętajmy: technologia analogowa wymagała opracowania partytury tak, by instrumenty i głosy nie złyły się w jedną masę dźwięków. To nie to, co dziś: jeden mikrofon — i perfekcyjny zapis, w którym słychać wszystkie niuanse interpretacji.

W programie pojawiają się też inne nazwiska. Hans Lierke — być może to ten ceniony dziennikarz i korespondent wojenny? Sekwencję: *Achtung, Achtung, hier spricht Stettin* odczytał Rudolf Korf — czy to ten znany dramaturg? A Helene Lachmansk-Schaal? Artystka z Berlina: pianistka, akompaniorka, a w internetowych bazach praktycznie nieobecna (znalazłem tylko anons prasowy z jej nazwiskiem z 1911 roku). To niczego nie przesądza: ogromna część archiwów wciąż nie została zdigitalizowana. Może jednak ktoś z Państwa wie o niej — i o pozostałych wykonawcach — coś więcej?

Po przemówieniu Wilhelma Haderta, kierownika stettinśkiej rozgłośni, w eter popłynęła melodia i słowa pieśni *Verborgenheit* Hugona Wolfa. Nie znalazłem nagrań z lat 20. XX wieku. A chciałbym odnaleźć najstarsze rejestracje fonograficzne utworów wybranych do programu inauguracyjnego koncertu. Wspaniale byłoby usłyszeć otwierający audycję *Stettiner Festmarsch* — przypisany w programie Bruno Seidler-Winklerowi — albo przynajmniej dotrzeć do zapisu nutowego. Zapraszam do wspólnego poszukiwania: nagrań, partytur, biogramów artystów.



Kurt Weinhold namalował w 1929 roku „człowieka z radiem”... Dlaczego człowiek jest nagi? Co oznacza podtytuł tej pracy: homo sapiens? Radio miałoby „napęlić” człowieka wiedzą o świecie niejako „od początku”?



Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzymie...

Adam Mickiewicz
— Ruiny zamku w Bałakławie (Sonety krymskie)

Szczecin, ul. Korsarzy, z widokiem na wieżę kościoła zamkowego [Stettin, Groß Ritterstraße], fot. autor nieznany, pocz. XX w.,
Okładka pierwsza - Wilhelm Hoffmann (1897-1986), olej na płycie malarskiej, połowa XX w. (w zbiorach Marka Koszura)